



**You have downloaded a document from  
RE-BUS  
repository of the University of Silesia in Katowice**

**Title:** Koleżanki z Birkenau : esej o pamiętaniu

**Author:** Halina Rusek

**Citation style:** Rusek Halina. (2019). Koleżanki z Birkenau : esej o pamiętaniu. Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach - Licencja ta pozwala na kopiowanie, zmienianie, rozprowadzanie, przedstawianie i wykonywanie utworu tak długo, jak tylko na utwory zależne będzie udzielana taka sama licencja.



UNIwersYTET ŚLĄSKI  
W KATOWICACH



Biblioteka  
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki  
i Szkolnictwa Wyższego

H A L I N A R U S E K

# Koleżanki z Birkenau

Esej o pamiętaniu



WYDAWNICTWO  
UNIwersytetu śląskiego



# Koleżanki z Birkenau

Esej o pamiętaniu



Prace Naukowe



Uniwersytetu Śląskiego  
w Katowicach  
nr 3898

**Halina Rusek**

# **Koleżanki z Birkenau**

**Esej o pamiętaniu**

Recenzent  
Krzysztof Łabędź

## Spis treści

Wstęp . . . . .	7
Rozdział I	
Koleżanki . . . . .	19
Rozdział II	
Kobiety w Auschwitz-Birkenau . . . . .	27
Rozdział III	
Droga do Auschwitz . . . . .	33
Rozdział IV	
Kwarantanna. Choroby. Selekcje . . . . .	49
Rozdział V	
Praca . . . . .	69
Rozdział VI	
Życie codzienne . . . . .	87
Rozdział VII	
Paczki i listy . . . . .	95
Rozdział VIII	
Flossenbürg – Wolkenburg. Rok 1944 . . . . .	103
Rozdział IX	
Droga do Dachau – „marsz śmierci”. Kwiecień 1945 . . . . .	111

Rozdział X	
Wolność – Weiden . . . . .	121
Rozdział XI	
Droga do domu . . . . .	131
Rozdział XII	
Listy . . . . .	139
Zakończenie . . . . .	153
Ilustracje . . . . .	157
Bibliografia . . . . .	171
Summary . . . . .	175
Zusammenfassung . . . . .	177

## Wstęp

Książka *Koleżanki z Birkenau. Esej o pamiętaniu* jest o tym, co zapowiada tytuł: o koleżeństwie zrodzonym w ekstremalnych warunkach obozu koncentracyjnego i utrwalanym tam, w niepojętej dla wielu z nas codzienności. To także książka o pamiętaniu. Wyrosła z poczucia powinności zachowania i rozpowszechnienia przekazu o jednym z etapów życia kilku młodych dziewcząt, który zaciążył na całej ich biografii, na ich tożsamości, a także na naszych historiach – członkach ich rodzin; powinności odczuwanej przez nas – kolejne pokolenia dzieci i wnuków Koleżanek.

Tytułowe Koleżanki to grupka więźniarek KL Auschwitz-Birkenau, których ścieżki obozowego życia kilkakrotnie przecięły się w ciągu około dwóch lat spędzonych w obozie. W różnym czasie mieszkały w jednym bloku, spały na jednej koi, razem wyjechały z Oświęcimia do pracy w obozie Wolkenburg i kilka z nich razem uciekło z transportu do Dachau, z towarowego wagonu, na małej stacji Weiden w Niemczech, na niemiecko-czeskim pograniczu. Razem też przeżyły jeden z najpiękniejszych, jak mówią, okresów w swoim życiu – parę miesięcy cudem odzyskanej wolności, spędzonych w tym miasteczku pod opieką amerykańskiego wojska. Niektóre z nich razem wyruszyły w długą, niełatwą podróż do domu.

Tylko trzy z Koleżanek przekazały opowieść o swoim życiu więźniarek i wstrząsających odczuciach z tym związanych. Jedną z nich jest Alodia Gradek z domu Kokosza, moja Mama, której wspomnienia obozowe nagraliśmy w wielogodzinnych rozmowach. Drugą jest Lucyna Targońska z domu Niścior, najserdeczniejsza przyjaciółka Mamy, wysiedlone „dziecko Zamojszczyzny”, której wywiad udzielony pracownicy Państwowego Muzeum w Oświęcimiu-Brzezince zachował się w rodzinnych zbiorach<sup>1</sup>. Trzecia to

---

<sup>1</sup> Relację Lucyny Targońskiej nagrała w formie wywiadu pracownica Muzeum w Oświęcimiu Jadwiga Dąbrowska. Na papierowej wersji wywiadu widnieje data 29.11.2002 – jest to data przesłania Lucynie jednego z dwóch egzemplarzy relacji.

Maria Rudzka-Kantorowicz z domu Włodarczyk, jak Mama pochodząca z Sosnowca i mieszkająca tam całe swoje życie, która spisała swoją obozową opowieść i jedną z kopii przekazała Mamie<sup>2</sup>. Te trzy przekazy są osiłą przewodnią książki, głównymi i najważniejszymi źródłami wiedzy o czasie spędzonym „w piekle”, jak jedna z nich powiedziała, w miejscu „gehenny», gdzie traci się wszelką nadzieję”.

Esej o pamiętaniu z naukowego punktu widzenia to przyczynek dotyczący pamięci – tematu zajmującego obecnie szczególnie ważne miejsce w socjologii i wielu pokrewnych jej naukach<sup>3</sup>. Powstało na ten temat wiele opracowań, także w Polsce<sup>4</sup>, jednak znalezienie wśród nich ram najbardziej odpowiadających przedstawianym przeze mnie treściom okazało się trudnym zadaniem – między innymi dlatego, że pamięć jako pojęcie naukowe bywa kategoryzowana na różne sposoby. Jeden z tych sposobów zakłada istnienie trzech jej wymiarów: zbiorowego, społecznego i biograficznego. Ten trzeci to pamięć indywidualna, ta właśnie, która stała się podstawą relacji biograficznych Koleżanek. Odnosi się ona nie tylko do zachowanych w myślach obrazów przeszłości czy przebiegu zdarzeń, ale zawsze jest ich wersją. Warunkuje ją – co podkreśla wielu znawców i z czym nie sposób się nie zgodzić – zarówno indywidualny bieg życia, jak i szerszy kontekst społeczno-kulturowy. To on kształtuje określone sposoby zapamiętywania i odtwarzania biograficznych doświadczeń, które zawsze odnoszone są do pamięci zbiorowej, kolektywnej<sup>5</sup>. Z owego kontekstu, społecznych ram, jak pisze Maurice Halbwachs, wywodzą się schematy myślenia kierujące spostrzeżeniami w określonym kierunku. Osobiste wspomnienia powstają,

---

<sup>2</sup> M. RUDZKA-KANTOROWICZ: *Przeżyłam piekło w Auschwitz-Birkenau*. Styczeń 2002 rok (wcześniejsza wersja wspomnień pochodzi z marca 2000 roku), maszynopis.

<sup>3</sup> Francuski historyk Pierre Nora, szczególnie często przywoływany w tekstach o pamięci, mówi o „epoce upamiętniania”, gwałtownej erupcji pamięci, jej obecnie już światowym wymiarze. Zob.: *Epoka upamiętniania, rozmowa z Pierre'em Norą*. W: J. ŻAKOWSKI: *Rewanż pamięci*. Warszawa, Wydawnictwo Sic!, 2002, s. 59–60.

<sup>4</sup> Zob. m.in.: M. KULA: *Nośniki pamięci historycznej*. Warszawa, Wydawnictwo DiG, 2002; M. ZALESKI: *Formy pamięci. O przedstawianiu przeszłości w polskiej literaturze współczesnej*. Warszawa, Wydawnictwo słowo/obraz, terytoria, 2004; A. SZPOCIŃSKI, P.T. KWIATKOWSKI: *Przeszłość jako przedmiot przekazu*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2006; A. SZPOCIŃSKI: *Pamięć społeczna jako czynnik integracji i źródło konfliktów*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2008; P.T. KWIATKOWSKI, L.M. NIJAKOWSKI, B. SZACKA, A. SZPOCIŃSKI: *Miedzy codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2010; M. ZIÓŁKOWSKI: *Pamięć i tożsamość narodowa. Przypominanie i zapomnianie w służbie polityki*. „Athenaeum. Polskie Studia Politologiczne” 2011, nr 28, s. 149–166; B. SZACKA: *Czas przeszły: pamięć – mit*. „Współczesne Społeczeństwo Polskie wobec Przeszłości”. T. 3. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2015.

<sup>5</sup> K. KĄZMIERSKA: *Biografia i pamięć. Na przykładzie pokoleniowego doświadczenia ocalałych z zagłady*. Kraków, Zakład Wydawniczy Nomos, 2008, s. 90.

zdaniem badacza, głównie przez komunikację w grupie – pamięta się to, co można odnieść do pamięci zbiorowej, która z kolei możliwa jest do zaobserwowania poprzez indywidualne akty pamięci<sup>6</sup>. Czy jednak każdą postać pamiętania można ująć w naszkicowany przez Halbwachsa schemat? Także indywidualną pamięć doświadczeń traumatycznych, takich jak pamięć obozu koncentracyjnego, dana nielicznym w skali narodu? Skłonna jestem udzielić na to pytanie negatywnej odpowiedzi. Już bowiem sam przekaz doświadczeń wojennych ma swoją specyfikę.

Barbara Szacka pisze w związku z tym o dwóch opowieściach o wojnie: jedna dotyczy wydarzeń wielkiej historii, druga mówi o tym, co przeżywali ludzie. Podmiotem pierwszej jest naród, drugiej – jednostka. Wszelkie opowieści o przeszłości, pamięć zbiorowa, przyporządkowane są, zdaniem autorki, trzem sferom: pierwsza to historia, która tworzy narracje jako profesjonalna dyscyplina naukowa; druga to obieg społeczny, wprowadzający opowieści o przeszłości przez różne środki przekazu (na przykład podręczniki szkolne). Tutaj wiedza zgromadzona przez historyków jest upraszczana i często instrumentalnie wykorzystywana (w artykułach publicystycznych, przemowach politycznych, powieściach, filmach, serialach). Trzecia sfera to wyobrażenia zwykłych ludzi. Sfery druga – ta uproszczona, przetworzona – i trzecia nie zlewają się ze sobą, na ich styku występują napięcia i konflikty. Z jednej strony mamy narracje, w których wydarzenia i postaci z przeszłości są ujednoznaczniane i przetwarzane we wzorce i w antywzorce, istotne dla spójności i tożsamości grupy, głównie narodowej. Z drugiej zaś występują narracje, które pokazują ludzki wymiar tych przetworzonych w symbole wydarzeń i postaci, co często jest odbierane jako ich odbrązawianie. W przekazach publicznych przeważa raz jedna, raz druga opowieść. Obie są potrzebne. Obydwie sfery tworzą dwa odrębne przekazy – „istnieją obok siebie na podobieństwo informacji na dwu kanałach telewizji lub w dwóch plikach na komputerze, które osobno trzeba otworzyć”<sup>7</sup>. Natomiast wielka historia jest tłem dla indywidualnych przekazów, normą i nośnikiem wspomnień jednostek.

Co dzieje się z indywidualnymi przekazami wraz z upływem czasu? Szacka odpowiada na to pytanie: zdaniem teoretyków opowieści przekazywane bezpośrednio rzadko trwają dłużej niż trzy pokolenia. Mamy zatem do czynienia z wysychaniem tego źródła, ale czy to oznacza zanik spojrzenia na drugą wojnę światową z perspektywy doświadczeń jednostki? Nic takiego według Szackiej nie ma miejsca – obraz wydarzeń historycznych oglądanych

---

<sup>6</sup> M. HALBWACHS: *Společne ramy paměti*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2008, s. 243–250.

<sup>7</sup> B. SZACKA: *Jak opowiadamy przeszłość?*. „Znak” kwiecień 2012, nr 683, <http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6832012barbara-szackajak-opowiadamy-przeszlosc/> [dostęp: 15.04.2019].



z perspektywy uwikłanych w nie jednostek przenika do sfery publicznej za sprawą różnych wytworów: powieści, obrazów, filmów, literatury pamiętnikarskiej<sup>8</sup>. Takie właśnie zadanie wyznaczyłam sobie jako autorce tworzonego eseju – przeniknięcie do jak najszerszych kręgów odbiorców, do sfery publicznej, do świadomości także – a właściwie przede wszystkim – tych, których sposób myślenia jest daleki od naukowego.

Encyklopedyczna i słownikowa, lakoniczna definicja określa esej jako krótką rozprawę naukową lub literacką ujmującą temat w sposób subiektywny. Łączy ona elementy prozy artystycznej, naukowej i publicystycznej<sup>9</sup>. Moim zamiarem było eseistyczne przedstawienie zagadnienia zasługującego w innym kontekście na głęboką analizę naukową: kształtowania się sposobu postrzegania świata i kreowania się tożsamości indywidualnej jednostek, które zderzyły się z działaniami podejmowanymi w celu unicestwienia człowieka; z formułą obozu koncentracyjnego, której podstawą było pozbawienie jednostek wszelkich praw, a nawet ich eksterminacja. Za najlepszą drogę do zrealizowania tego zadania uznałam wykorzystanie metody biograficznej – dobrze znanej przedstawicielom różnych dziedzin nauki, w tym szczególnie bliskich mi socjologii i antropologii kulturowej. Metoda ta zakłada badanie tego, co jednostkowe, związane z ocenami, wartościami, przeżyciami. Zakłada poznawanie prawdy o człowieku – o nim samym i jego tożsamości. Dzięki niej możemy poznać punkt widzenia wybranych osób, ich motywów działania, sposób rozumienia świata, chcemy spróbować popatrzeć na rzeczywistość ich oczami<sup>10</sup>. Jest to jedna strona podejścia biograficznego – druga opiera się na przekonaniu, że procesy makrostrukturalne zakorzenione są w poziomie mikro, w życiu jednostek, które tworzą różnorodne zbiorowości. Życie pojedynczego człowieka zawiera w sobie informację o społeczeństwie i czasach, w których żyje czy żył. Zatem badamy biografię nie tylko po to, żeby poznać wrażliwość człowieka, jego system wartości, decyzje, ale także po to, żeby „spojrzeć na cały świat społeczny zapisany w jego losie”<sup>11</sup>.

W celu poznania określonego wymiaru życia Koleżanek i społecznego kontekstu, w jakim tworzyła się ich obozowa biografia, zastosowałam wywiad autobiograficzny narracyjny przeprowadzony z Mamą (z dużymi

<sup>8</sup> Ibidem.

<sup>9</sup> [www.sjp.pwn.pl/szukaj/esej](http://www.sjp.pwn.pl/szukaj/esej) [dostęp: 17.04.2019]; *Nowa Encyklopedia Powszechna*. T. 2. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2004, s. 43.

<sup>10</sup> Zob. J. SZCZEPAŃSKI: *Odmiany czasu teraźniejszego*. Warszawa, Wydawnictwo Książka i Wiedza, 1971; E.R. BABBIE: *Badania społeczne w praktyce*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2004; K. KĄZMIERSKA: *Biografia i pamięć...*; D. SILVERMAN: *Prowadzenie badań jakościowych*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2009.

<sup>11</sup> P. BEDNARZ-ŁUCZEWSKA, M. ŁUCZEWSKI: *Podejście biograficzne*. W: *Badania jakościowe. Metody i narzędzia*. T. 2. Red. D. JEMIELNIAK. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2012, s. 91.

przerwami w latach 2005–2010), utrwalony w postaci nagrania dokonanego w ciągu kilkunastu dwu- lub trzygodzinnych sesji bądź w formie notatek (dłuższe sesje okazywały się być dla Mamy zbyt wyczerpujące emocjonalnie). Przeprowadziłam także analizę dokumentów osobistych – notatek i listów Mamy, relacji spisanych przez Lucynę (w postaci wywiadu udzielonego pracownicze Muzeum w Oświęcimiu) i napisanej przez Marię opowieści o życiu jej i jej siostry w obozie koncentracyjnym. Trzy relacje zamieszczone w książce są podobnymi materiałami biograficznymi – Lucyna i Mama udzieliły autobiograficznych wywiadów (nagrywanych) stanowiących materiał źródłowy w ramach nobilitowanej w ostatnich latach historii mówionej. Obydwie opowiadają o własnych doświadczeniach, będąc jednocześnie uczestniczkami historycznych zdarzeń<sup>12</sup>. To pewna forma „pamiętników”, podobnie jak relacja Marii – spisana przez nią autobiograficzna opowieść z określonego czasu.

Trzy młode dziewczyny opowiadały o sekwencji przeszłych zdarzeń z perspektywy terażniejszego – w chwili opowiadania – ich życia. Oznacza to, że rekonstruując przeszłość, czyli w znanym ujęciu Gabriele Rosenthal historię życia – *life story* (życie przeżyte) – przedstawioną w terażniejszej narracji o życiu (opowieści o życiu dokonanej w czasie terażniejszym) – *life history*<sup>13</sup> – trzeba wziąć pod uwagę, że przedstawienie wydarzeń z przeszłości jest uformowane przez terażniejszość narracji. Terażniejszość autora biografii determinuje perspektywę postrzegania przeszłości i czasami tworzy specyficzną przeszłość. Jak twierdzą znawcy problematyki, terażniejsza perspektywa warunkuje wybór wspomnień, czasowe i tematyczne ich połączenie<sup>14</sup>. W narracjach Koleżanek zależność ta wyraźnie się zaznacza, co determinowało moje podejście do analizy ich opowieści – wzięłam pod uwagę to, że opowieść o przeszłości jest konstruowana na podstawie terażniejszości, ale także to, że terażniejszość wyłania się z przeszłości. Podejście to nawiązuje do zaproponowanej przez wspomnianą Rosenthal metody analizy danych uzyskanych dzięki badaniom biograficznym:

- wymóg pozwolenia na wgląd w genezę i sekwencyjną postać historii życia;
- zbliżenie się do przebiegów wydarzeń i do doświadczeń (a nie tylko do terażniejszych interpretacji);

---

<sup>12</sup> K. KAŻMIERSKA: *Autobiograficzny wywiad narracyjny – kwestie etyczne i metodologiczne w kontekście archiwizacji narracji*. „Studia Socjologiczne” 2014, 3 (214), s. 229–231.

<sup>13</sup> G. ROSENTHAL: *Badania biograficzne*. W: *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów*. Red. K. KAŻMIERSKA. Kraków, Zakład Wydawniczy Nomos, 2012, s. 281.

<sup>14</sup> Ibidem, s. 282. Zob. także: F. SCHÜTZE: *Analiza biograficzna ugruntowana empirycznie w autobiograficznym wywiadzie narracyjnym. Jak analizować autobiograficzne wywiady narracyjne*. Tłum. K. WANIEK. W: *Metoda biograficzna w socjologii...*, s. 141–279.

- rekonstrukcja teraźniejszych perspektyw opowiadających i różnica między tymi teraźniejszymi perspektywami a tymi, które zostały przyjęte w przeszłości<sup>15</sup>.

Obok wskazanych metod wykorzystałam także wywiad swobodny oparty na liście tematów. Przeprowadziłam go z trzynastoma osobami, których wiedzę uznałam za ważne źródło informacji na temat opisywanych zagadnień. Były to dzieci Lucyny (Jan) i Marii (Barbara), a także członkowie mojej rodziny i znajomi, którzy byli odbiorcami biograficznych relacji Mamy. Pytania skierowane do nich dotyczyły nie tylko zapamiętanych treści, lecz także okoliczności i subiektywnych odczuć, jakie towarzyszyły temu odbiorowi. Tylko niektóre fragmenty uzyskanego poprzez te wywiady materiału uznałam za istotne dla treści eseju.

\* \* \*

Niniejsza publikacja, sygnowana moim nazwiskiem, nie jest tylko moją książką – zawarłam na jej stronach także to, co opracowaliśmy rodzinnie, poszukując przez kilka lat rozproszonych materiałów, rozmawiając z osobami, które jeszcze mogły opowiedzieć nam o tamtym czasie i odwiedzając miejsca tak dalekie, jak Kanada. Jest to książka moja, mojej siostry Jadwigi i mojego syna Tomasza. Szkoda, że nie zdecydowaliśmy o jej napisaniu wcześniej, kiedy jeszcze żyła Mama i Lucyna, i kilka ich koleżanek, kiedy nie tylko na piśmie można było poznać to, co odczuwały, spędzając część swojej młodości w obozie koncentracyjnym.

Mama i Lucyna dostały się do Auschwitz zimą 1943 roku, jedna miała siedemnaście, druga szesnaście lat. Maria jako dziewiętnastolatka trafiła do obozu kilka miesięcy później. Wszystkie stały się więźniarkami politycznymi – Mama ujęta w pierwszej ulicznej łapance na kieleckim dworcu, Lucyna wysiedlona ze swojej wsi koło Zamościa, Maria zamknięta z młodszą siostrą Miecią i ojcem w więzieniu i potem w oświęcimskim obozie za konspiracyjną działalność ojca. Czemu były winne? Teraz, po zanurzeniu się w ich dojmujących, powiedzielibyśmy strasznych, wręcz niesamowitych opowieściach wiem, że nie jest to właściwe pytanie. Wina i niewinność nie mają tu nic do rzeczy.

O tym właśnie jest ta książka. O próbie poszukiwania odpowiedzi na pytanie, jak to się stało, że jedni ludzie stanęli z trudnym do opisanie okrucieństwem przed innymi ludźmi i postanowili ich odczłowieczyć i unieścić. Książka jest o tym, jakie siły trzeba w sobie wyzwolić, żeby to przeżyć i po tym wszystkim zacząć zwyczajne życie. Czy ono jest możliwe? Nie, nigdy do końca w przypadku Mamy, Lucyny, Marii nie było zwyczajne.

---

<sup>15</sup> G. ROSENTHAL: *Badania biograficzne*. W: *Metoda biograficzna w socjologii...*, s. 283.

Przez cały czas piętno wypalone na osobowości nastolatek, na ich tożsamości, dawało o sobie znać – raz z większą, raz z mniejszą siłą. Skoro tak było, nie mogliśmy pozostać obojętnymi na nieustanne pamiętanie przez Koleżanki o tamtym czasie – postanowiliśmy utrwalić je i przekazać dalej. Trzy były więźniarki najtrudniejszego do przeżycia obozu w Auschwitz-Birkenau pozostawiły po sobie ważną spuściznę – jej upowszechnienie uznaliśmy za powinność.

Od wczesnej młodości wiedziałyśmy z siostrą o pobycie Mamy w Oświęcimiu, nie pozwalała o tym zresztą zapomnieć numer wytatuowany na ręce Mamy, ale nic poza tym – Mama po prostu nic na ten temat nie mówiła. Teraz, z perspektywy tak odległego czasu wydaje się, że nie była w stanie powrócić we wspomnieniach do tego fragmentu swojego życia. Z biegiem lat ostrość tych wspomnień jakby złagodniała, bo Mama zaczęła opowiadać. Pamiętamy te opowieści, ale przede wszystkim są one spisane. Utrwaliłyśmy na piśmie Mamy opowieść-rzekę w przekonaniu, że zasługuje na włączenie do tych świadectw, które nie pozwolą zapomnieć o tym, co ludzie mogą zrobić ludziom.

Najstarszy syn Lucyny Jan wspomina, że ich mama „od zawsze” gromadziła, zwłaszcza w długie jesienne i zimowe wieczory, swoją gromadkę pięciorga dzieci i snuła oświęcimskie opowieści. Wszystkie pilnie słuchały, choć tylko najstarsze mogły zrozumieć ich sens. Janek Targoński dostarczył mi wiele cennych materiałów, które wzbogaciły wywiad Lucyny – artykuły w miejscowej prasie, notatki, zdjęcia. Te ostatnie niestety rzadko pokazują Lucynę; w jej młodości, na wsi, nikt nie robił zdjęć.

Poza nagraniem wspomnień Mamy i spisaniem opowieści Lucyny i Marii w książce zamieszczam listy – te, które zachowały się w rodzinnych archiwach. Znaleźliśmy w nich tylko jeden list od Lucyny do Mamy i kilka listów Mamy pisanych do Lucyny od końca lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Inne zostały zapewne przez adresatki zniszczone. Ważnym i cennym źródłem wiedzy są też listy Marii wysyłane z Oświęcimia nielegalną drogą do brata i narzeczonego, którzy po aresztowaniu rodziny zostali w Sosnowcu.

Listy Mamy do Lucyny, choć pisane kilkadziesiąt lat po zakończeniu drugiej wojny światowej, a więc także ich oświęcimskiej gehenny, zawierają – prawie każdy – wspomnienia z obozu, a przede wszystkim z Weiden. Z biegiem lat ten etap życia wydaje się szczególnie ważny dla Mamy: tak, jakby tych kilka miesięcy przeżytych w atmosferze niczym nieskrępowanej radości z odzyskania wolności rekompensowało jej nieco szare i niełatwe życie starszej osoby. Dobrze, że Mama obok koszmarnych wspomnień z Oświęcimia miała taki psychiczny azyl.

Mama dużo czytała, zwłaszcza w starszym wieku, kiedy po prostu miała już na to czas – gazety, ale przede wszystkim książki. Jej biblioteczka

zawierała głównie literaturę „obozową”, wiele książek wspomnieniowych i popularnonaukowych, także reportaże i biografie. Szczególnie chętnie Mama czytała o przeżyciach więźniów z Auschwitz-Birkenau. Wraz z siostrą ofiarowywałyśmy jej książki o tej problematyce przy różnych okazjach. Teraz zadaję sobie pytanie: czy to dobrze, że Mama całe swoje życie zanurzona była w obozowej przeszłości? Dlaczego nieustannie do niej wracała zamiast raczej wypierać ją z pamięci? Z jakiej wewnętrznej potrzeby nie mogła się od tej problematyki oderwać? Nie znajdziemy już odpowiedzi na te pytania, poza niezadawalającym stwierdzeniem, że to, co w naszym życiu ważne, jakieś dojmujące czy traumatyczne przeżycia, nie chce nas opuścić. W ostatnich latach życia ciężar przeszłości okazał się jednak dla Mamy zbyt trudny do uniesienia – zrezygnowała z czytania literatury obozowej. Mówiła, że jest to dla niej zbyt emocjonujące.

### Refleksje Jadwigi – starszej córki Alodii

O tym, że Mama była w Oświęcimiu, wiedziałyśmy z siostrą od zawsze, chociaż w dzieciństwie Mama nie rozmawiała o tym z nami. W domu zawsze mówiliśmy „Oświęcim”. To nie było dla nas miasto, ale przede wszystkim obóz koncentracyjny. Dowodem na jej pobyt tam był numer wytatuowany na rękę i zdjęcie zrobione w obozie. Leżało ono w małym pudełku wśród innych czarno-białych zdjęć, tak jakby było normalną pamiątką. Wiedziałam, co to za zdjęcie, ale przez lata w ogóle nie myślałam, że ono jest inne, że nie pasuje do normalnego życia. Wiedziałam też, że przyjaciółką Mamy z Oświęcimia była pani Lucyna mieszkająca w Wisłowcu koło Zamościa, chociaż ważniejsze było to, że na Boże Narodzenie pani Lucyna przysyłała nam paczki z własnymi owocami. W jednej z nich przysły jabłka-olbrzymy. Zrobiły na mnie wyjątkowe wrażenie. Takich wielkich jabłek nigdy przedtem ani potem nie widziałam.

Ten Oświęcim był obecny w całym naszym dzieciństwie, chociaż na bardzo dalekim planie. Niemniej jednak od czasu do czasu pojawiał się głównie w związku z jakąś osobą, którą Mama знаła z tamtych czasów.

Przez całe lata nie miałam spójnego obrazu gehenny, jaką Mama przeżyła w Oświęcimiu. Nie zmieniły tego nawet w sposób istotny moje wizyty w muzeum Auschwitz-Birkenau. Byłam tam trzy razy. Jeden raz pojechałam nawet z Mamą i naszą sąsiadką panią Tłumaczową, z którą Mama się przyjaźniła. Muzeum zrobiło na mnie wstrząsające wrażenie, tak jak prawdopodobnie na wszystkich zwiedzających. Nie mogłam sobie jednak wyobrazić, że moja Mama spędziła tam kilka lat.

Mama odwiedzała Oświęcim kilkakrotnie. Ostatni raz była tam w czerwcu 1997 roku ze swoją koleżanką Hanią, także więźniarką. Razem z nimi był

mąż Hani, moja siostra Halina i jej wówczas siedemnastoletni syn. Pogoda była bardzo ładna i ku zdziwieniu Mamy, jak potem mi opowiadała, po tylu latach groza tego miejsca zbladła i dominował sielski nastrój. Było zielono, słonecznie i cicho. Oprócz nich nie było nikogo w pobliżu. Według słów Mamy nawet jedno z najgorszych miejsc naznaczone śmiercią – strażnica, gdzie esesmani selekcjonowali więźniarki wracające z pracy – straciło całą grozę. W dodatku okazało się, że każda z nich pamięta co innego. Nie mogły się na przykład zgodzić, jak była pomalowana strażnica. To było dla Mamy duże zaskoczenie, bo chociaż przeżyć z obozu niczym nie dało się usunąć – wryły się one w pamięć, naznaczając całe życie – to niektóre wspomnienia się zatęchły.

Rozmawiając z Mamą, zorientowałam się, że wyzwolenie i kilka miesięcy spędzonych w Weiden były dla niej szczególnie ważne. Mama miała wtedy dwadzieścia lat. Oczywiście chodziło przede wszystkim o koniec wojny i gehenny obozowej. Równie ważne było jednak i to, że Mama i jej koleżanki znalazły się w mieście wyzwolonym przez wojsko amerykańskie. Nagle niewolnice, które mogły umrzeć z głodu, chorób lub mogły w każdej chwili zostać zabite dla kaprysu, znalazły się w powojennym raju; schludne miasto, nawet z asfaltowymi drogami, Niemcy może niespecjalnie przychylni i przyjaźni, ale przynajmniej ze strachu neutralni, polscy żołnierze wypuszczeni z niewoli z wojskową aprowizacją amerykańską, ludzie uwolnieni z niewoli z całej Europy no i „bogaci” żołnierze amerykańscy. Wśród tych ostatnich byli także „Polonusi” mówiący po polsku. Łatwo było się porozumieć, zdobyć jedzenie, także takie rarytasy, jak czekolada. Rozkwitło życie towarzyskie. Koleżanki wkrótce miały znajomych i wielbicieli. Świat się przed nimi otworzył, wydawało im się, że gdyby chciały, to mogłyby wyjechać nawet do USA! Postanowiły jednak wracać do domu. Mama przyniosła z Weiden album na zdjęcia w płóciennnej okładce, na której napisała swój numer obozowy. Jest to album głównie Mamy. Na początku albumu umieściła zdjęcia z tego okresu. Są to dziś kiepskiej jakości, pożółkłe fotografie, ale pokazują wreszcie normalne życie. Koleżanki, którym odrosły włosy, mają modne wtedy fryzury. Ubrane są w sukienki uszyte przez Lucynę ze zdobycznych materiałów. Pozują ze swoimi nowymi znajomymi.

Koleżanki w Weiden organizują sobie zwykłe życie, jednak warunki, w jakich żyją, nie są zwyczajne. Dużo się dzieje wokoło. Niektóre wydarzenia są przyjemne, inne nie, jeszcze inne wywołują zdziwienie. Mama, sprząając przez krótki czas w mieszkaniu zajmowanym przez Amerykanki będące w wojsku, zauważyła, że przyniosły one na wojnę suknie balowe!

Mama, wracając do domu z zasobnej strefy amerykańskiej, przyniosła nadzwyczajne jak na warunki wojenne rzeczy, na przykład ciepły śpiwór czy materiały na ubrania. Wśród tych „zdobyczy” był też materiał ze spadochronu – bardzo dobry jedwab w brązowo-zielony wzór wojskowy. Wydaje



mi się, że Mama uszyła sobie z niego sukienkę na ślub w rodzinie, który odbył się wkrótce po wojnie. Nie mam pewności co do tej sukienki, ale świetnie pamiętam spadochron, gdyż w latach sześćdziesiątych mieliśmy z tego materiału uszyte torby na zakupy. Także w taki sposób wojna była obecna w naszym życiu wiele lat po jej zakończeniu.

## Refleksje Tomasza – wnuka Alodii, mojego syna

Ta książka to esej o pamiętaniu. Co to dla mnie znaczy? Pamiętaniu czego – i dlaczego? Nie pamiętam z dzieciństwa rozmów w rodzinnym gronie o wojnie i pobycie Babci w obozie. Takich rozmów chyba po prostu nie było. Wiedziałem oczywiście, skąd na przedramieniu Babci wziął się wytatuowany numer 30 504 i że Babcia jeździła regularnie do Częstochowy na spotkania byłych więźniów. Wiedziałem, że paczki z żywnością i słodyczami, które czasami dostawała, przychodziły za pośrednictwem fundacji Kolbego. Te słodczyce z reguły przypadały mnie, jako jedynemu wnukowi. Jako dziecku wojna kojarzyła mi się z pysznymi czekoladkami...

Pierwszą wizytę w Brzezince, między innymi z Babcią i panią Hanią Tarkowską, jedną z koleżanek z Birkenau, która kilkanaście lat temu odwiedziła Babcię wraz ze swoim mężem, zapamiętałem przede wszystkim jako opowieść o tym, jak grupa dziewcząt zdołała przetrwać niewolę dzięki wzajemnej pomocy. Szeregi baraków ciągnące się od bramy aż do komór gazowych oczywiście zrobiły na mnie, nastolatku w trzeciej klasie liceum, piorunujące wrażenie. Ale ani Babcia, ani pani Hania nie rozpamiętywały niewoli. Przede wszystkim wspominały swoje koleżanki i solidarność, jaka między nimi panowała.

Z upływem czasu Babcia coraz częściej opowiadała o wojnie. Robiła to szczególnie chętnie podczas pobytów w ukochanej rodzinnej wsi swoich rodziców Ludyni. To tam spędziła pierwsze lata okupacji i to stamtąd wyruszyła do pobliskich Kielc, w których trafiła na łapankę... Pod koniec życia, w swoich opowieściach, zabierała rodzinę w „podróż w czasie” do wojennej Ludyni, do obozów w Brzezince i Wolkenburgu, do ucieczki z transportu w drodze do Dachau i wreszcie do pobytu w Bawarii po wyzwoleniu. We wszystkich tych wspomnieniach głównym i najważniejszym wątkiem pozostawały koleżanki.

Praca nad tą książką była dla mojej mamy, cioci i dla mnie kolejnym etapem tej „podróży w czasie”. Kiedy spisywaliśmy i redagowaliśmy kilkadziesiąt godzin opowieści Babci nagranych na dyktafon w ostatnich latach jej życia, odsłaniały się przed nami kolejne wątki i tematy do zbadania. A to prowadziło nas do coraz to nowszych odkryć. Tak znaleźliśmy na przykład, niemal przypadkiem, zdjęcie Babci w obozowym pasiaku na

okładce wydanej niedawno książki KZ *Wolkenburg* niemieckiego historyka Pascala Cziborri<sup>16</sup>.

Sprawdzaliśmy nie tylko fakty historyczne, ale też kolejne wątki z życia obozowych koleżanek, zestawiając ich relacje ze wspomnieniami Babci. W taki sposób latem 2018 roku trafiłem do domu Hani „Lucy” Chrzęszcz i jej męża Jerzego, niedaleko Halifaksu w Kanadzie. Hania jest siostrzenicą i zarazem przybraną córką Gieni Sadzińskiej, która we wspomnieniach Babci zajmuje szczególne miejsce. To dwudziestodwuletnia Gienia namówiła grupę współwięźniarek, w tym moją Babcię, do ucieczki, kiedy pociąg wiozący je do Dachau stanął na stacji w Weiden. Babcia do końca życia była za to Gieni wdzięczna. Pozostały w serdecznym kontakcie, nawet wtedy, kiedy dzielił je ocean.

Nasze rodziny podtrzymywały ten kontakt także po śmierci Gieni, a potem mojej Babci. Ja sam nigdy wcześniej jednak z rodziną Gieni nie rozmawiałem, a mimo to, kiedy kilka miesięcy przed podróżą do Kanady zadzwoniłem do Hani z informacją, że będę w okolicy, nalegała, żebym zamiast w hotelu zatrzymał się na kilka dni w jej domu. Powiedziała: „przecież jesteśmy właściwie rodziną”. Rozmawialiśmy wiele godzin o tym, jak Gienia i Babcia wspominały wojnę. Gienia nigdy nie uważała się za bohaterkę dlatego, że zmobilizowała koleżanki do ucieczki. Powtarzała, że wszystkie nawzajem zawsze podtrzymywały się na duchu i tylko dlatego, że czuła to wsparcie, zdobyła się na taką odwagę.

Kilkadziesiąt lat temu trudny do wyobrażenia dramat połączył kilka młodych dziewczyn. Przeżyły razem koszmar, a jednak miały niesamowite szczęście, bo nie podzieliły losu milionów osób, które nigdy nie wydostały się żywe z niewoli... Przetrwanie na pewno w dużym stopniu zawdzięczały sobie nawzajem. W ten sposób ich losy, a potem losy ich rodzin, zostały splecione niezwykle i ponadczasową więzią. Ta książka to wyraz szacunku dla tych dziewczyn i pamięci o nich, z których jedna została moją Babcią.

\* \* \*

Przygotowując publikację o Koleżankach z Birkenau, przejrzałam i przeczytałam pokaźną liczbę książek, artykułów naukowych i popularnonaukowych dotyczących różnych aspektów funkcjonowania hitlerowskiego obozu Auschwitz-Birkenau. Poszukiwałam w nich informacji o zdarzeniach, faktach, które trzy nastoletnie więźniarki zawarły w swoich wspomnieniach. Poszukiwałam zatem dopełnienia, objaśnienia i potwierdzenia ich opisów

---

<sup>16</sup> P. CZIBORRA: *KZ Wolkenburg. Todesmarsch nach Dachau*. Bielefeld, Wydawnictwo Lorbeer Verlag, 2018.



i wiedzy. Trzy pozycje książkowe okazały się do tego celu szczególnie przydatne:

- Lechosław CEBO: *Więźniarki w obozie hitlerowskim w Oświęcimiu-Brzezince*. Katowice, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 1984;
- Irena STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz*. „Głosy Pamięci” nr 12. Oświęcim, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, 2016;
- Hermann LANGBEIN: *Ludzie w Auschwitz*. Oświęcim, Wydawnictwo Państwowego Muzeum Oświęcim-Brzezinka, 1994.

Hermann Langbein (1912–1995) – Austriak, był więźniem obozu w Auschwitz, do którego przybył z Dachau. Uchodził za Niemca, co zapewniło mu funkcję w hierarchii więziennej. Poznał bliżej wielu esesmanów, dzięki czemu, jak pisał, mógł nieść pomoc innym więźniom. Należał do aktywu podziemia politycznego i był zorientowany w sytuacji więźniów z różnych grup narodowościowych. Był badaczem dziejów obozu Auschwitz, prowadził działalność wychowawczą i uświadamiającą, dotyczącą odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie. Pierwsze wydanie *Ludzi w Auschwitz* ukazało się w 1974 roku. Jego książka jest doskonałym źródłem poznania tego obozu, przewodnikiem po wszystkich blokach i komandach w Auschwitz, Birkenau, Buda-Werke, z małymi lagrami górniczymi i przemysłowymi, a nawet po koszarach załogi SS, po oddziałach komendantury. Dla Langbeina głównym źródłem wiedzy był sekretariat lekarza garnizonu SS, w którym Austriak pracował. We *Wprowadzeniu* przytoczył słowa Martina Walsera, niemieckiego pisarza, które chciałabym uczynić mottem swojej książki:

Czym był Auschwitz, wiedzą tylko więźniowie. Nikt poza nimi<sup>17</sup>.

---

<sup>17</sup> H. LANGBEIN: *Ludzie w Auschwitz*. Oświęcim, Wydawnictwo Państwowego Muzeum Oświęcim-Brzezinka, 1994, s. 20.

## Rozdział I

# KOLEŻANKI

Do końca swojego życia Mama wspominała swoje koleżanki, które odegrały w jej życiu szczególnie ważną rolę. Opowiadała nie tylko o Luci i Marysi, ale także o innych, z którymi połączyła ją niezniszczalna, jak się okazuje, więź młodych ludzi walczących o przeżycie.

Oto Koleżanki:

### **Mama – Alodia Gradek z domu Kokosza (1925–2013)**

numer 30 504

Alodia, na którą mówiono Lola, urodziła się w Sosnowcu i tu mieszkała do końca swojego życia. Nie zdążyła rozpocząć edukacji w średniej szkole handlowej, której inauguracja miała nastąpić we wrześniu 1939 roku. Mimo to, po powrocie do domu po zakończeniu wojny w 1945 roku, Mama pracowała jako ekspedientka w jednym z sosnowieckich sklepów. W 1950 roku wyszła za mąż za Stanisława – naszego ojca, który całe dorosłe życie, do uzyskania statusu emeryta, związany był jako zawodowy kierowca z kopalnią „Sosnowiec”.

W 1950 roku urodziła się Jadwiga, a w 1953 urodziłam się ja – młodsza córka. Kiedy osiągnęłyśmy wiek szkolny, Mama wróciła do pracy – między innymi w bibliotece Naczelnej Organizacji Technicznej, gdzie doczekała wieku emerytalnego.

Przez długie lata Mama współpracowała z sosnowieckim oddziałem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, przez pewien czas pełniąc w nim nawet funkcję skarbnika. Zakończyła ten ważny dla siebie etap życia dopiero wtedy, kiedy problemy zdrowotne ograniczyły jej aktywność ruchową.

Mama nie od razu po zakończeniu wojny została uznana za więźniarkę Auschwitz-Birkenau. Napisała do administracji dawnego obozu list z prośbą o wydanie odpowiedniego zaświadczenia. Otrzymała jednak odpowiedź informującą, że w archiwum nie znaleziono żadnych dokumentów na nazwisko Alodia Kokosza, a przy numerze 30 504 widnieje inne nazwisko. Wkrótce jednak sprawa wyjaśniła się – w Krakowie znalazły się obozowe zdjęcia Mamy ukryte razem ze zdjęciami innych więźniów przez kogoś, kto w Auschwitz pracował przy ich fotografowaniu.

### **Lucia – Lucyna Targońska z domu Niścior (1926–2008)**

numer 26 992

Lucyna urodziła się 6 października 1926 roku we wsi Wisłowiec, niedaleko Zamościa. Lucyna – dla Mamy Lucia. Wisłowiec otaczają malownicze wzgórza, rozciągające się po horyzont lasy i urodzajne pola, i patrząc na ten sielski obrazek, trudno uwierzyć, że niegdyś znalazł się wśród tych kilkuset wsi na Zamojszczyźnie, które w czasie wojny zostały objęte hitlerowską akcją wysiedleń i pacyfikacji. Jej efekt to 120 tysięcy ofiar, z których jedna trzecia, a w tym prawie 15 tysięcy dzieci – Dzieci Zamojszczyzny – zostało zamordowanych lub zmarło z zimna i głodu.

Głównym celem akcji przesiedleńczej miało być stworzenie na Zamojszczyźnie, ale także w innych wschodnich regionach, wzorcowego obszaru kolonizacji niemieckiej, po uprzednim wysiedleniu Żydów i Polaków. Większość Żydów została wymordowana w ośrodkach zagłady, głównie w Bełżcu. Polaków kierowano do pracy przymusowej, niektórych zakwalifikowano do zniemczenia lub przesiedlenia na inne tereny, a pozostałych kierowano do obozów koncentracyjnych. Mieli zostać poddani szybkiemu wyniszczeniu, a jednocześnie stanowić siłę roboczą<sup>1</sup>.

Po wojnie Lucyna wróciła na Zamojszczyznę do Wisłowca i nigdy tej wsi na dłużej nie opuściła. Zamieszkała w rodzinnym domu. W 1946 roku, na kursie krawieckim w Lublinie, poznała swojego przyszłego, o trzynaście lat starszego od siebie męża Michała, jednego z wykładowców. Rok później wyszła za mąż, mieli pięcioro dzieci – Jana, Wojciecha, Andrzeja, Marysię i Ewę. Z najstarszym Jankiem utrzymujemy stały kontakt. Małżeństwo Lucyny było nietypowe – na odległość. Jej mąż mieszkał i pracował w Lublinie, ona mieszkała w Wisłowcu, na co nalegała jej matka, ubolewająca, że straciła w Oświęcimiu męża, inne dzieci rozproszyły się w całym kraju i w domu została tylko Lucyna.

---

<sup>1</sup> H. KUBICA: *Zagłada w KL Auschwitz Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1942–1943*. Oświęcim–Warszawa, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, 2004, s. 19.

Przez wszystkie powojenne lata, aż do śmierci Lucyny w 2008 roku, Mama utrzymywała z nią stały kontakt. Przyjaciółki pisały do siebie listy, ale nie pamiętam, kiedy spotkały się po raz pierwszy po wojnie i jak często się spotykały. W 1968 roku Mama z nami, swoimi córkami, wybrała się do Wisławca. Jechałyśmy pociągiem, autobusem i szłyśmy dosyć daleko piechotą. Pamiętam tę chwilę, kiedy zobaczyłyśmy panią Lucynę czekającą na nas za swoim domem, na skraju łąki czy sadu. Mama poszła w jej stronę i rzuciły się sobie w ramiona. To była jedna z najbardziej wzruszających chwil w moim życiu. Nigdy tego spotkania nie zapomnę.

W późniejszych latach przyjaciółki spotkały się kilkakrotnie w Częstochowie, podczas corocznych pielgrzymek byłych więźniarek obozów koncentracyjnych na Jasną Górę. Lucyna częściej niż Mama brała w nich udział, a nawet co najmniej dwukrotnie, wracając z Częstochowy, wstąpiła do Sosnowca. W prywatnym archiwum Mamy zachowało się zaproszenie na jubileuszową, pięćdziesiątą pielgrzymkę więźniarek, która odbyła się na Jasnej Górze w maju 1995 roku.

Na wieść o śmierci pani Lucyny Mama na jakiś czas jakby wycofała się z życia, a zmartwienie i ból malowały się długo na jej twarzy. Martwiłyśmy się o Mamę, odeszła ostatnia jej towarzysza oświęcimskiej niedoli. Razem z moim synem Tomkiem pojechałam do Wisławca na pogrzeb Lucyny. Był to kolejny wzruszający moment w dziejach naszych rodzin. Uczestnicząc w uroczystościach pogrzebowych, miałam przed oczami moją Mamę pograżoną w smutku z powodu utraty serdecznej przyjaciółki i powierniczki wspomnień z przeszłości.

### **Gienia – Genowefa Czarnowska z domu Sadzińska (1923–1992)**

numer 38 157

O Gieni wiemy to, co napisały o niej we wspomnieniach Mama, Lucyna i Maria, jak i z relacji przybranej córki Hani, z którą Tomek spotkał się w sierpniu 2018 roku w Kanadzie. Według relacji Mamy Gienia trafiła do Oświęcimia w wieku 20 lat w czasie nielegalnej podróży z „robót” z Niemiec do Polski. Tak relacjonuje to Mama:

Tam gdzie pracowała, miała bardzo źle i zaryzykowała jazdę bez przepustki, ale jej się nie udało – w drodze do domu skontrolowali ją i przywieźli do obozu w Oświęcimiu. Nawet palec wskazujący u lewej ręki miała sztywny, sama go sobie skaleczyła siekierką, bo liczyła, że ją zwolnią do domu.

Jednak to nie pomogło, Gienia musiała zostać w gospodarstwie Niemca, wyleczyć palec i pracować dalej.

W Oświęcimiu Gienia pracowała w kuchni obozowej:

Może miała lepiej, bo nie głodowała, ale narażona była na ciągłe kary za organizowanie żywności. W jednej z takich kar skakały po kuchni żabką.

Koleżanka skacząca obok niej upadła i kiedy Gienia chciała jej pomóc, *aufizerka*<sup>2</sup> uderzyła ją cegłówką w twarz, po czym ślad – skrzywiony nos – pozostał jej na stałe. Mama pisze o Gieni jako o osobie szczególnie odważnej i koleżeńskej:

Mogła coś pomóc koleżankom, bo umiała po niemiecku, nauczyła się, będąc w Niemczech. W późniejszym czasie dużo nam pomogła.

Hania, córka Gieni, zapamiętała niektóre opowieści swojej przybranej mamy – między innymi wzruszającą opowieść o tym, jak Gienia spotkała po zakończeniu wojny w Niemczech, na ulicy, swoją siostrę idącą ze swoim malutkim dzieckiem. Razem postanowiły wyjechać do Kanady – najpierw, w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, dotarła tam Gienia, później jej siostra z rodziną. Gienia jechała tam do umówionej wcześniej pracy w charakterze pomocy domowej u architekta mieszkającego w Halifaksie. Tam wyszła za mąż za Polaka Bernarda Czarnowskiego (1915–1992), który urodził się w Kanadzie, dokąd na początku XX wieku przybyli jego rodzice – prawdopodobnie jako żydowscy emigranci z Rosji. Gienia nie miała swoich dzieci, ale wychowywała córkę swojej siostry – Hanię (urodzoną w 1945 roku), nazywaną „Lucy”. Decyzja ta zapadła z chwilą, kiedy rodzice Hani postanowili przenieść się z Halifaksu do Ontario, pojechali tam z synem, a Gienia zdecydowała zaopiekować się ich córką. Od tej pory Hania traktowała ją i jej męża jak rodziców. Wyszła za mąż za polskiego marynarza, który nielegalnie dostał się do Kanady. Mają troje dzieci, spośród których żadne nie mieszka w tej części Kanady.

W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku Gienia wraz z mężem odwiedziła Polskę, a między innymi naszych rodziców. Nie było to udane spotkanie. Zapamiętałam uwagę Mamy, że chyba doszło do sprzeczki na tematy polityczne. W kilku listach do Lucyny Mama wspomina o tym, że nie ma żadnego kontaktu z Gienią, która obrażona, po nieudanej wizycie, już więcej się nie odezwała. Mama pisała o tym na początku XXI wieku; wtedy Gienia już od kilku lat nie żyła. Moja siostra Jadwiga pamięta, że wcześniej Gienia i Mama utrzymywały raczej regularny kontakt listowny.

---

<sup>2</sup> Aufizerka to jedna ze spolszczonych nazw niemieckiego *aufseherin* – kobiety pełniącej funkcję nadzorczyni w nazistowskich obozach. Więźniarki używały także innych określeń: aufzejerka, aufsejerka, auzejerka, aufseherinka – niektóre z nich znajdują się w relacjach Koleżanek.

W każdym liście przychodził z Kanady jeden dolar. Mama składała je pieczołowicie, dzięki czemu, już jako uczennica liceum, mogłam w Peweksie kupić sobie wymarzone dzinsy.

### **Józia – Józefa Dróżdź z domu Matusik (1925–2012)**

numer 31 239

To bliska, znana z dzieciństwa koleżanka Mamy z Sosnowca. Dostały się do Oświęcimia prawie w tym samym czasie, razem przeszły cały szlak więziarski. Po zakończeniu wojny Mama często kontaktowała się z Józią, po latach nawet moi rodzice i rodzina pani Józi zamieszkali blisko siebie, na jednym osiedlu. Mama i pani Józia odwiedzały się często, właściwie aż do śmierci Józi w czerwcu 2012 roku. Mama głęboko przeżyła śmierć swojej koleżanki, chociaż niewiele na ten temat mówiła.

### **Hania – Henryka Góralewicz z domu Tarkowska (ur. 1924)**

Urodziła się w Wągrowcu w 1924 roku. Zarówno Mama, jak i Lucyna podają jej numer obozowy 66 407, jednak w ewidencji więźniów w zbiorach Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu pod tym numerem nie występuje nazwisko Henryki Tarkowskiej. Jest to zapewne jej numer obozu we Flossenbürgu, do którego Henryka Góralewicz została skierowana jesienią 1944 roku. Mama, opisując zdjęcie, na którym figuruje ze swoimi koleżankami, pisze o Hani:

Do obozu trafiła z Niemiec, gdzie pracowała w jakiejś fabryce. Stamtąd podejrzana o sabotaż trafiła do Oświęcimia. Była bystra, rozzębiona i koleżeńska. Nie wiem, dlaczego mówiłyśmy na nią Hania, tak było zawsze i było tak po wyzwoleniu.

### **Marysia – Maria Rudzka-Kantorowicz z domu Włodarczyk (ur. 1922)**

numer 54 679

Maria w 2012 roku spisała swoje obozowe wspomnienia i zawarła je w maszynopisie zatytułowanym *Przeżyłam piekło w Auschwitz-Birkenau*. Jeden z egzemplarzy ofiarowała Mamie, opatrując go dedykacją:

Loli Gradek, więźniarce Auschwitz nr 30 504, mojej współtowarzyszce niedoli, z którą razem na koi bloku nr 26 w Birkenau, i w obo-

zie Wolkenburg-Flossenbürg przeżyłam piekło hitlerowskich obozów śmierci – swoje traumatyczne wspomnienia ofiaruje Maria, Sosnowiec, 12 stycznia 2004 roku<sup>3</sup>.

Maria Rudzka-Kantorowicz urodziła się w Sosnowcu 15 sierpnia 1922 roku i całe swoje życie spędziła w tym mieście. Píše we wspomnieniach:

Sosnowiec, moja miłość, miasto, w którym się urodziłam, zestarzał się razem ze mną. W jubileuszowym 2002 roku obchodzić będziemy okrągłą rocznicę – miasto stulecie, a ja osiemdziesiątkę.

W biogramie zamieszczonym na stronie internetowej Archiwum Historii Mówionej<sup>4</sup> można o Marii i jej rodzinie o głębokich tradycjach socjaldemokratycznych znaleźć dosyć szczegółowe informacje. Jej ojciec, znany w Sosnowcu działacz Polskiej Patrii Socjalistycznej, Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego i „Orła Białego”, opiekował się sosnowieckim oddziałem Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, pracował w kopalni, potem w łaźni miejskiej, hodował z rodziną krowy, a później otworzył trafikę przy ruchliwej ulicy w Sosnowcu. Maria pod koniec lat trzydziestych ubiegłego wieku ukończyła prywatną szkołę handlową i w 1939 roku, po śmierci matki, przejęła prowadzenie trafiki. Ojciec natomiast zaangażował się w działalność konspiracyjną. Po zamknięciu trafiki Maria dostała pracę w urzędzie telegraficznym i jednocześnie zaangażowała się w konspirację – pomagała rozprowadzać nielegalne druki.

Działalność polityczna ojca i jej samej doprowadziła do aresztowania w nocy z 11 na 12 sierpnia 1943 roku Jana Włodarczyka i jego dwóch córek: Marii i młodszej Mieczysławy, w ramach akcji „Oderberg”<sup>5</sup>. Z więzienia w Mysłowicach siostry przewieziono do Brzezinki. Ojciec najpierw

---

<sup>3</sup> Fragmenty wspomnień Marii w 2005 roku opublikowała „Gazeta Wyborcza”: W. GAŁĄZKA: *Obozowe wspomnienia Marii Rudzkiej-Kantorowicz z Sosnowca*. „Gazeta Wyborcza. Magazyn Katowice” 27.01.2005, s. 2.

<sup>4</sup> Archiwum Historii Mówionej. Relacje biograficzne, <https://relacjebiograficzne.pl> [dostęp: 20.02.2019], biogram Marii Rudzkiej-Kantorowicz.

<sup>5</sup> Akcja znana jako „Oderberg” polegała na aresztowaniu w jedną sierpniową noc działaczy podziemia lewicowego z zagłębiowskich powiatów będzińskiego, sosnowieckiego i chrzanowskiego w celu jego całkowitej likwidacji. Aresztowano wówczas 750 Polaków, w tym całe rodziny, nawet z małymi dziećmi. Aresztowani dorośli trafili do obozów koncentracyjnych, głównie do Oświęcimia, gdzie większość z nich zginęła. Bliśko 200 dzieci odebrano matkom i umieszczono w tzw. Polenlagrze nr 38 koło Raciborza, a później rozesłano do innych Polenlagrów. Część dzieci zmarła, nieliczne zwolniono, inne zaginęły po przewiezieniu w głąb Niemiec. Szerzej zob. A. CYRA: *70. rocznica Akcji „Oderberg”*, <https://dzieje.pl/aktualności/70-rocznica-akcji-oderberg> [dostęp: 14.07.2016].



został przewieziony do Oświęcimia, potem do obozu w Mauthausen, gdzie zmarł.

W swoich wspomnieniach Maria pisze krótko o powrocie do domu po zakończeniu wojny:

Powróciłam, ale domu nie było. Po naszym aresztowaniu gestapo zlikwidowało cały dorobek życia rodziców. W dawnym mieszkaniu przebywali obcy, nowi lokatorzy. Ojciec zginął w obozie w Mauthausen. Młodszy brat, aresztowany pod koniec 1944 roku, cudem uniknął śmierci. Powrócił i czekał na nas w świeżo przydzielonym mieszkaniu. Byłam najstarszą z rodzeństwa i na mnie spoczywało urządzenie od podstaw nowego domu, zapracowanie na utrzymanie i kształcenie brata. Było bardzo ciężko. Ale trudniejsze było przystosowanie się do nowych form życia.

Powróciłam z innego świata. Obóz zostawił piętno. Cieszyłam się z przebywania w otoczeniu bliskich mi ludzi. Najszczęśliwszą byłam jednak, kiedy pozostawałam sama. Nareszcie mogłam przebywać w ciszy. Nie ocierać się o czyjeś ciało. Nie słuchać lamentów współtowarzyszek niedoli, nieprzyjaznych niemieckich komend. Zrzucić balast nieustraszonej optymistki, pocieszycielki strapionych.

Bez przerwy zjawiali się znajomi. Nagabywali o opowiadanie lagrowych przeżyć. Przychodziło mi to z wielkim trudem. Ciągłe powracanie do bolesnych przeżyć sprawiało, że w nocy nękały mnie lagrowe koszmary. Rano wstawałam wpół przytomna. Moi bliscy chcieli zobaczyć miejsca, gdzie przebywałam. Namówiono mnie na wycieczkę do Birkenau. Pojechałam. Patrzyłam na opustoszały lagier, głos uwiązł w gardle, wszystko odżyło w pamięci. Już nigdy tam nie pojechałam. Moje lagrowe przeżycia były nietykalną świętością.

Przed wojną w Sosnowcu Maria kształciła się w szkole kupieckiej. Świetnie nauczyła się języka niemieckiego, bo ojciec marzył, żeby córka studiowała w Wiedniu. „Bardzo szanowaliśmy w rodzinie niemiecką solidność. Nawet do malowania ścian w domu zamawiało się robotników ze Śląska, że niby taka niemiecka kultura pracy, że fachowcy” – mówi pani Maria. Teraz nie potrafi spokojnie słuchać niemieckiego<sup>6</sup>.

Maria nie pisze, kiedy po wojnie była w Oświęcimiu-Brzezince, to zresztą nie ma większego znaczenia. Była tam tylko raz, bo na więcej wizyt w tym miejscu-cmentarzu, niemym świadku upokorzenia nie setek, tysięcy, ale milionów ludzi, nie starczyło jej sił. Wspominała o tym wydarzeniu Barbara, córka Marii. Basia wspomina także, że mama nie opowiadała im, dzieciom i reszcie rodziny, o czasie spędzonym w Auschwitz-Birkenau.

---

<sup>6</sup> W. GAŁĄZKA: *Obozowe wspomnienia...*, s. 2.



Czasem tylko przywoływała jakieś zabawniejsze zdarzenia z tego okresu. Nie mówiła o istocie życia w obozie koncentracyjnym<sup>7</sup>.

Po powrocie w 1945 roku do Sosnowca Maria do emerytury pracowała w kilku zakładach, wyszła dwukrotnie za mąż (drugi raz po śmierci w 1972 roku pierwszego męża). Miała dwoje dzieci, do dzisiaj żyje córka Barbara. Po przejściu w 1978 roku na emeryturę aktywnie działała w Polskim Związku Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych.

### **Micia – Mieczysława Szmatoła z domu Włodarczyk (1925–1999)**

numer 54 680

Młodsza siostry Marii przeszła razem z nią całą tragiczną drogę od więzienia w Mysłowicach, poprzez Auschwitz-Birkenau, obóz w Wolkenburgu, ucieczkę z kolejowego transportu do Dachau, po wyzwolenie w Weiden. Po zakończeniu wojny wróciła do Sosnowca, wyszła za mąż i tu spędziła resztę swojego życia. Miała dwoje dzieci i przez całe życie utrzymywała z siostrą i jej rodziną bliskie kontakty. Mieczysława zmarła w 1999 roku, pokonana przez krótkotrwałą, ale ciężką chorobę.

---

<sup>7</sup> Z wywiadu z Barbarą, córką Marii. Grudzień 2018.

## Rozdział II

# KOBIETY W AUSCHWITZ-BIRKENAU

Mężczyźni w porównaniu z kobietami byli „uprzywilejowani” – to dla nich w 1940 roku powstał obóz koncentracyjny Auschwitz. Pierwszymi więźniami, którzy tu trafili w czerwcu 1940 roku, byli nie Polacy, ale Niemcy – 30 kryminalistów przeniesionych z innego obozu. To byli pierwsi, okryci jak najgorszą sławą kapo<sup>1</sup> – sprawujący władzę na szczeblu pomiędzy SS a polskimi więźniami. Poza nimi pierwsi więźniowie trafili do Oświęcimia z różnych powodów – byli podejrzewani o współpracę z polskim podziemiem, reprezentowali szczególnie przez hitlerowców prześladowane grupy inteligencji i duchowieństwa, nie spodobali się jakiemuś Niemcowi lub byli po prostu studentami. Ich zadanie było proste: mieli sami zbudować obóz, i ciężko harując, często ponad siły, bez odpowiednich narzędzi i materiałów, zrobili to<sup>2</sup>.

Kobiety więziono głównie w Ravensbrück. Jednak w miarę rozszerzania przez Niemców akcji więzienia różnych grup mieszkańców krajów europejskich, a przede wszystkim wdrożenia „ostatecznego rozwiązania kwestii

---

<sup>1</sup> Kapo, według *Minisłownika pojęć z historii Auschwitz* to: „w tzw. samorządzie więziarskim określenie więźnia nadzorcy komanda. Etymologię tej nazwy wywodzi się zazwyczaj od włoskiego słowa *capo* – głowa, szef. Odpowiadając za dyscyplinę i utrzymanie tempa pracy podległych więźniów, kapo posiadał praktycznie nieograniczoną władzę, a zatem mógł ich dowolnie karać, popędzać kijem, a nawet zabijać. Wielu kapo odznaczało się szczególnym okrucieństwem, mającym na celu zastraszenie i steryoryzowanie więźniów. Do ich obowiązków należał ponadto nadzór nad formowaniem komand, składanie meldunków o stanie liczbowym oraz zapobieganie ucieczkom. Po powrocie więźniów do obozu i apelu wieczornym ich rolę przejmowali blokowi. Kapo mieszkali oddzielnie, zazwyczaj wraz z innymi uprzywilejowanymi więźniami”, [http://www.70.auschwitz.org/index.php?option=com\\_content&view=article&id=146&Itemid=176&lang=pl](http://www.70.auschwitz.org/index.php?option=com_content&view=article&id=146&Itemid=176&lang=pl) [dostęp: 10.10.2018].

<sup>2</sup> L. REES: *Auschwitz. Naziści i „ostateczne rozwiązanie”*. Warszawa, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, 2005, s. 34–35.

żydowskiej”<sup>3</sup>, zrodziła się potrzeba założenia obozu dla kobiet. Prawdopodobnie próbowano w ten sposób rozładować przepełnienie obozu koncentracyjnego dla kobiet w Ravensbrück i w więzieniach na okupowanych ziemiach polskich. Chodziło także o zintensyfikowanie eksploatacji więziarskiej siły roboczej. Od wiosny 1942 roku zaczęły docierać do Auschwitz pierwsze masowe transporty Żydów – kobiet i mężczyzn – deportowanych z Francji i ze Słowacji. Początkowo byli to wyłącznie ludzie młodzi i zdolni do pracy. Kobiety stanowiły wówczas około trzydzieści procent wszystkich więźniów zarejestrowanych w KL Auschwitz. Kilkaset tysięcy Żydówek niezdolnych do pracy – osoby starsze, chore lub matki z małymi dziećmi i ciężarne – zamordowano w komorach gazowych bezpośrednio po ich przybyciu do obozu<sup>4</sup>.

Pierwsze transporty kobiet przywieziono do Auschwitz wiosną 1942 roku, była to grupa 144 Polek, które szybko rozstrzelano. Wkrótce, w marcu tego roku, deportowano 999 kobiet z Ravensbrück, w większości zawodowych kryminalistek i tak zwanych kobiet aspołecznych, czyli prostytutek. To one pełniły najważniejsze obozowe funkcje. Umieszczono je w obozie głównym, podobnie jak 999 Żydówek ze Słowacji<sup>5</sup>, spośród których wiele pełniło później różne funkcje w kobiecym obozie. Kolejne transporty wypełniały młode, zdrowe, nadające się do pracy Żydówki ze Słowacji, kierowane do Oświęcimia przez Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Pierwszy większy transport kobiet – więźniarek politycznych z więzienia w Krakowie – przybył do Oświęcimia pod koniec kwietnia 1942 roku. Od tego czasu przywożono tak zwane aryjki i Żydówki ze wszystkich okupowanych przez III Rzeszę krajów. Kobiety osadzono na zasadzie „uwięzienia ochronnego”, a także w ramach akcji „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Transporty Żydówek kierowano do obozu na zagładę, jednak część z nich uznawano za zdolne do pracy i przed śmiercią wysyłano na przymusowe roboty. Trzecią grupę stanowiły tak zwane więźniarki poprawcze, które po kilku miesiącach zwalniano. Do obozu trafiały zazwyczaj z powodu uchylania się od pracy lub ucieczki z miejsca pracy w Rzeszy. Liczną grupę stanowiły więźniarki uwięzione

---

<sup>3</sup> Zob. ibidem; S. WILKANOWICZ: *Auschwitz. Problem Niemców, Polaków i Żydów*. W: *Auschwitz. Konflikty i dialog*. Red. M. GŁOWNIA, S. WILKANOWICZ. Kraków, Wydawnictwo Krakowska Fundacja Centrum Informacji, Spotkań, Dialogu, Wychowania i Modlitwy, 1988, s. 9–18; J. DUJARDIN: *Rozważania o zagładzie. Odpowiedź na pytanie: Dlaczego?*. W: *Auschwitz. Konflikty i dialog...*, s. 84–120.

<sup>4</sup> I. STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz*. „Głosy Pamięci” nr 12. Oświęcim, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, 2016, s. 7.

<sup>5</sup> S. GAŚKOWA: *Kobiety w Oświęcimiu*. „Biuletyn” nr 18. Wydanie specjalne. Red. A. MOLEND. Katowice, Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem, 1993, s. 50.

zapobiegawczo, którą to zasadą obejmowano przestępców, w tym obyczajowych<sup>6</sup>.

Zanim wybudowano obóz kobiecy, więźniarki umieszczano w kilku blokach w obozie głównym w Auschwitz. Prawdopodobnie w sierpniu 1942 roku wszystkie więźniarki z wydzielonych bloków przeniesiono do Brzezinki-Birkenau. Wówczas w obozie przebywało 13 tysięcy kobiet, wśród których przeważały Żydówki, głównie ze Słowacji i z Francji.

Warunki życia w Birkenau były cięższe niż w obozie macierzystym. Prawie zupełnie brakowało wody, baraki nie miały podłóg, były przeludnione – w jednym umieszczano nawet 1000 kobiet. Obóz w Brzezince składał się z odcinków BIa i BIb. W tym drugim umieszczano kobiety zatrudnione poza obozem (*Aussencommanda*), w części BIa pozostawały więźniarki zatrudnione wewnątrz obozu; tu znajdował się także szpital i kancelaria obozowa. W tej części obozu odbywała się również kwarantanna nowo przybyłych więźniarek. Tu też mieścił się najgorzej przez więźniarki wspominany blok nr 25 – blok śmierci, w którym przetrzymywano wyselekcjonowane więźniarki przed skierowaniem do komór gazowych<sup>7</sup>.

Hermann Langbein opisuje powstanie obozu w Brzezince słowami:

W październiku 1941 roku około 3 km na północny-zachód od obozu, nazwanego później obozem macierzystym, rozpoczęto budowę kompleksu obozowego o dotychczas niespotykanych rozmiarach. W około 250 barakach miało być umieszczonych 200 tysięcy więźniów. Kompleks ten [...] otrzymał nazwę Birkenau. Było to zniemczenie nazwy uprzednio zburzonej polskiej wsi Brzezinka, na terenie której zbudowano obóz. Przy budowie zatrudniono rosyjskich więźniów. [...] Prawie wszyscy przy tym zginęli. Z ponad 13 tysięcy pozostało przy życiu mniej niż dwustu. [...] Do ewakuacji nie udało się zrealizować wszystkich planów rozbudowy<sup>8</sup>.

Więźniarki, wspominające pierwszy rok funkcjonowania obozu w Brzezince, mówią o szoku, jakiego doznawały, znalazłszy się wśród 15 muryowanych baraków, budowanych na wzór stajni końskich, i 15 drewnianych, które były stajniami polowymi dla koni. Barak przewidziany był dla 52 koni, a stłoczono w nim 1000–1200 osób. Kobiety brodziły w błocie na bagnistym polu ogrodzonym drutami pod napięciem, bez chodników, bez wody, bez

---

<sup>6</sup> L. CEBÓ: *Więźniarki w obozie hitlerowskim w Oświęcimiu-Brzezince*. Katowice, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 1984, s. 11–12.

<sup>7</sup> Ibidem, s. 13.

<sup>8</sup> H. LANGBEIN: *Ludzie w Auschwitz*. Oświęcim, Wydawnictwo Państwowego Muzeum Oświęcim-Brzezinka, 1994, s. 36.

żadnych urządzeń sanitarnych i jakichkolwiek ścieków. „Brudy, odchody i inne odpadki gniją i cuchną”<sup>9</sup>.

W kobiecym obozie przebywało przeciętnie od ponad 20 do ponad 30 tysięcy więźniarek: w 1942 roku było ich około 28 tysięcy, w 1943 około 56 tysięcy, a w 1944 roku około 47 tysięcy. Od sierpnia 1944 roku wiele więźniarek skierowano, za ich zgodą, do obozów koncentracyjnych w głębi Rzeszy lub podobozów w pobliżu zakładów przemysłowych<sup>10</sup>.

Obok Żydówek słowackich i francuskich przywożono do Birkenau także Żydówki holenderskie, a w 1944 roku również greckie (z Aten, z wysp Korfu i Rodos). Te młode kobiety, oddzielone od rodzin skierowanych już przy wstępnej selekcji do komór gazowych, były szczególnie zagubione. Wiele z nich zapadało na liczne obozowe choroby i umierało już na etapie wstępnej kwarantanny. W 1944 roku deportowano do KL Auschwitz ponad 400 tysięcy Żydów z Węgier. Do końca istnienia obozu to właśnie Żydówki węgierskie przeważały wśród ogółu więźniarek. Zajmowały w społeczności więźniarskiej najniższy szczebel drabiny społecznej.

Z więźni z różnych miast polskich przywożono do Oświęcimia Polki – z Warszawy, Krakowa, Zakopanego, Lublina, Poznania, ze Lwowa. Dużą grupę więźniarek stanowiły kobiety zaangażowane w działalność konspiracyjną lub pomagające rodzinom aresztowanych przez gestapo. Część kobiet aresztowano w związku z działalnością konspiracyjną mężów, chcąc zmusić je do zeznań. W grudniu 1942 i lutym 1943 roku przywieziono w trzech transportach 667 dziewcząt wysiedlonych wraz z rodzinami z Zamojszczyzny. Niektóre kobiety z tych grup musiały być świadkami śmierci swoich nieletnich synów zabitych dosercowymi zastrzykami z fenolu. W 1944 roku przyszła kolej na około 5 tysięcy kobiet z powstania warszawskiego, deportowanych z obozu przejściowego w Pruszkowie. Przybyły z całymi rodzinami, od których szybko je oddzielono, a je same potraktowano szczególnie okrutnie.

W tych dwóch latach przybywały do Birkenau transporty kobiet z całej Europy: 11 tysięcy Romek i Sinti pokrewnych Romom, deportowanych głównie z Rzeszy, protektoratu Czech i Moraw oraz z Polski, około 2,5 tysiąca kobiet z Białorusi, jugosłowiańskie partyzantki, 230 francuskich więźniarek politycznych. Ogółem w Auschwitz zarejestrowanych zostało około 131 tysięcy więźniarek – najwięcej Żydówek (82 tysięcy), Polek (31 tysięcy) i Romek (11 tysięcy). Pozostałe to: Rosjanki, Białorusinki, Ukrainki, Niemki, Francuzki, Czeszki, Jugosłowianki<sup>11</sup>.

W styczniu 1945 roku rozpoczął się ostatni etap gehenny więźniarek Birkenau – ewakuacja obozu. Wyprowadzono wówczas z KL Auschwitz

<sup>9</sup> S. GĄSKOWA: *Kobiety w Oświęcimiu...*, s. 55.

<sup>10</sup> L. CEBÓ: *Więźniarki w obozie hitlerowskim...*, s. 15.

<sup>11</sup> I. STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz...*, s. 8–10.

i jego podobozów około 56 tysięcy więźniów, kobiet i mężczyzn, w pieszych kolumnach, w marszu śmierci. Z powodu zimna, wycieńczenia lub zastrzelenia przez esesmanów zginęło do 15 tysięcy ewakuowanych. Około 4 tysięcy więźniarek doczekało wyzwolenia w obozie – 27 stycznia 1945 roku stały się wolne. Znajdowały się w grupie prawie 7 tysięcy więźniów, którzy za kratami Auschwitz-Birkenau i Auschwitz-Monowitz doczekali przybycia żołnierzy Armii Czerwonej<sup>12</sup>.

Przytaczając przedstawione wyżej fakty i dane liczbowe, zastanawiałam się, czy znajdę odpowiedź na pytanie, czym był obóz koncentracyjny w Oświęcimiu-Brzezince. Jaka główna zasada określała spędzanie w jedno miejsce setek tysięcy ludzi, w większości niewinnych, niespodziewających się losu więźnia, kierowanie do komór gazowych całych kolumn kobiet, mężczyzn i dzieci i traktowanie pozostałych jak nieludzi? Nie ja jedna stawiam sobie takie pytania; odpowiedzi na nie poszukiwali nie tylko byli więźniowie tego obozu, lecz także wielu publicystów i naukowców. Wydaje się, że jeden z nich szczególnie trafnie określił to, jakim miejscem był Oświęcim:

Oświęcim jest miejscem, w którym ujawniły się w całej pełni skutki systemu opartego na pogardzie i nienawiści. Było to bowiem nie tylko miejsce zagłady, ale także szczególne laboratorium, gdzie wypróbowywano metody upodlenia, odczłowieczania tych, których ich kaci uważali za „podludzi”. Może to był zabieg mający usprawiedliwić tę obłądną teorię? Jeśli się ich nie uważało za ludzi, to trzeba było wykazać, że nimi nie są. Stąd może nie sama śmierć była najstraszniejsza w Oświęcimiu, ani też liczba ofiar, ale właśnie ów mechanizm, mający przed śmiercią fizyczną zabić człowieczeństwo. W dziejach ludzkości zdarzały się milionowe hekatomby, ale tego jeszcze nie było. Jest różnica pomiędzy zwykłym, ludzkim okrucieństwem, powodowanym przez namiętność i strach, a jakąś niemal satanistyczną nienawiścią do człowieka<sup>13</sup>.

---

<sup>12</sup> Ibidem, s. 41–42.

<sup>13</sup> S. WILKANOWICZ: *Auschwitz. Problem Niemców, Polaków i Żydów*. W: *Auschwitz. Konflikty i dialog...*, s. 16–17.



## Rozdział III

# DROGA DO AUSCHWITZ

### Alodia

Oświęcimskie wspomnienia Mamy mają swój początek w 1939 roku. Swoją opowieść rozpoczęła słowami napisanymi ołówkiem na przebitkowym papierze:

Urodziłam się 15 czerwca 1925 roku w Sosnowcu. W czerwcu 1939 roku, w wieku 14 lat, ukończyłam szkołę powszechną i zdałam egzamin do średniej szkoły handlowej. Niestety nie było mi dane kontynuować nauki. We wrześniu, w momencie rozpoczęcia roku szkolnego, wybuchła wojna, oznaczając początek mojej tułaczki. Kiedy czwartego września do Sosnowca wkraczali Niemcy, przebywałam u krewnych w Kielcach, dokąd zabrał mnie mój ojciec chrzestny, przewidując wojnę. Niemcy zajęli prawie całą Polskę, a ja wtedy wyruszyłam pieszo do rodziny moich rodziców we wsi Ludynia, leżącej około 50 km od Kielc.

Ludynia to miejscowość odgrywająca w całym życiu Mamy i całej naszej rodziny bardzo ważną rolę. Mama nigdy nie mieszkała tam na stałe, ale spędzała w tej niedużej wsi, położonej w powiecie włoszczowskim w województwie świętokrzyskim, dużo czasu, prawie każde wakacje, także z nami – córkami – kiedy byliśmy małe. Moja siostra Jadwiga, którą w rodzinie nazywamy Jadzią, z czasem odwiedzała Ludynię coraz rzadziej, ja pozostałam wierna temu miejscu. Mam tam swój drugi dom, do którego w ostatnich kilkunastu latach co roku zabierałam Mamę na kilka letnich tygodni. Wszystko wskazywało na to, że Mama lepiej czuła się w Ludyni niż w Sosnowcu, zwłaszcza po śmierci swojego męża, a naszego ojca, w 1999 roku. A przecież w mieście tym urodziła się i spędziła całe swoje życie. Mama podkreślała swoje silne więzi nie tylko z rodziną mieszkającą



w Ludyni, lecz także z przeszłością tej wsi, zwłaszcza tą najnowszą, wojenną i powojenną.

Ludynia od początku swojego istnienia należała do wsi szlacheckich. Nie wyróżniałaby się niczym szczególnym na tle innych wsi w regionie, gdyby nie interesujące wydarzenia z okresu szesnastowiecznej reformacji. Został tu przez ówczesnych właścicieli dworu i dóbr ludyńskich wybudowany murewany zbór ariński, a jak niektórzy historycy twierdzą kalwiński, istniejący do dzisiaj jako część odrestaurowanego kilka lat temu kompleksu dworskiego<sup>1</sup>. Mieszkańcy wsi zbór ten nieprzypadkowo nazywali „na dzwonku”, ma on bowiem dzwonnice. Dworek ludyński, zadbany, kryty gontem, położony w rozległym parku, pełnił po zakończeniu drugiej wojny światowej różne funkcje – tak jak w przypadku wielu takich obiektów w kraju. Przez długie lata mieściła się w nim szkoła podstawowa, a w zborze arińskim biblioteka. Tam też zainstalowano w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku pierwszy we wsi telewizor. „Na dzwonku” przez długie lata koncentrowało się życie kulturalne wsi. Drugim takim miejscem była remiza strażacka, która istnieje do dzisiaj, ale przestała być ośrodkiem kultury.

W Ludyni mamy liczną rodzinę, zarówno ze strony babci – Julianny z domu Włodarczyk – jak i dziadka Franciszka Kokoszy – rodziców Mamy. To właśnie z rodziną Włodarczyków, z której pochodziła babcia Julianna, Mama utrzymywała najbliższe kontakty; przyjaźniła się z braćmi babci, a przede wszystkim z jej młodszą o rok siostrą Zofią, swoją ciocią. Babcia była najstarszym dzieckiem Włodarczyków, miała pięciu braci i dwie siostry. Z tego licznego rodzeństwa już nikt nie pozostał przy życiu. Z młodszymi pokoleniami Włodarczyków utrzymujemy do dzisiaj bliskie kontakty.

W 1939 roku, jak zawsze, spędziliśmy całe lato w Ludyni. Przed pierwszym wrześnią przyjechaliśmy do Sosnowca, bo miałam zacząć szkołę średnią – w czerwcu skończyłam czternaście lat i zdałam egzamin do szkoły średniej handlowej. Niestety, nie rozpoczęłam nauki, ponieważ kiedy wróciliśmy po wakacjach do domu, szkoła była nieczynna, zaczęła się wojna. Razem z koleżankami chodziłyśmy do tej szkoły pytać o to, czy zacznie się nauka, ale po wybuchu wojny zrobił się taki bałagan, że nic nie było wiadomo.

Mama wyruszyła wtedy ponownie do Ludyni, namówiona do tego przez swojego stryja, kolejarza mieszkającego w Kielcach.

---

<sup>1</sup> J. PIELAS: *Zbory we włoszczowskim i ich patroni w XVI–XVIII wieku*. W: *Reformacja w powiecie włoszczowskim. Materiały z konferencji zorganizowanej w ramach III Europejskich Dni Dziedzictwa pod hasłem „Korzenie tradycji: od ojcowizny do ojczyzny” w dniu 12 września 2008 r.* Red. R.C. PACANOWSKI. Włoszczowa, Włoszczowskie Towarzystwo Historyczne, 2008, s. 18–19.

Stryjek, mój chrzestny ojciec, brat mojego ojca, był kolejarzem. Jeździł często do Katowic i wtedy wstępował do nas do Sosnowca. Mieszkał w Kielcach w domku na ulicy Zielonej. Pamiętam, że się ta ulica tak nazywała, mieszkali tam sami kolejarze i wszyscy mieli swoje domki – jedni biedniejsze, drudzy bogatsze, w zależności od zamożności. Domek mojego stryja był wyjątkowo ładny, bo stryj dużo rzeczy zrobił sobie sam. Przyjechał do nas – chyba to było tuż przed 1 września – z wiadomościami, że szykuje się wojna i żeby mama spakowała mi jakieś rzeczy, a on zabierze mnie do Ludyni, gdzie na pewno będzie bezpieczniej, bo to przecież jest wieś. Jeżeli przyjdą tam Niemcy, to na pewno na samym końcu, a może wcale.

Mama spakowała mi dużą wiklinową walizkę, włożyła tam różne rzeczy, włącznie z pościelą, bo wiedziała, że na wsi było biednie. Jej rodzice już nie żyli, bracia sami się rządzą, nie mieli ani pieniędzy, ani możliwości, żeby zdobyć coś dobrego i porządnego. Właściwie gospodarstwo prowadziła im Zosia – trzynastoletnia wtedy dziewczynka. Po śmierci rodziców była w domu jedyną kobietą, a bracia uważali, że naturalną kolejną rzeczy powinna być w tym domu gospodynią.

Wzięliśmy ze stryjem tę walizkę, wsiedliśmy do pociągu i pojechaliśmy do Kielc. Na miejscu wyszliśmy z nią przed dworzec, ale stryjek uznał, że skoro na drugi dzień mam jechać do Ludyni, walizkę możemy zostawić na dworcu i zabrać ją przed wyjazdem. Poszliśmy na ulicę Zieloną bez tej walizki, a tymczasem w nocy Niemcy zbombardowali dworzec w Kielcach, walizki nigdy nie odzyskałam i nawet ślad po niej nie został.

Wyjeżdżałam z Kielc w tym, co miałam na sobie, w jednej sukience, bo wszystkie moje rzeczy były w tej nieszczęsnej walizce i jeszcze na dodatek tak cenna pościel. Jej było mi najbardziej żal. Wszystko przepadło w czasie tej pierwszej nocy mojej podróży. Wyruszyłam do Ludyni, bo to przecież był mój cel. W Kielcach, w domu mojego stryja, zatrzymały się uciekinierki z Bielska-Białej, typowe Ślązaczki, mówiące śląską gwarą. Powiedziały mi, że postanowiły jednak zakończyć tu ucieczkę i wracać do domu na piechotę, bo przecież nie było innych możliwości. Zaproponowały mi, żebym z nimi szła przez jakiś czas, aż dojdę gdzieś w okolice Krasocina, czyli wsi blisko Ludyni. One właśnie tamtędy zamierzały wracać do domu. Stryjenka zapytała mnie, czy trafiłabym z Krasocina, więc powiedziałam, że tak, bo przecież nie raz tam byłam. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że taka droga może być niebezpieczna. I wybrałam się ze Ślązaczkami na piechotę w kierunku Ludyni – one do Bielska szły przez Włoszczowę, bo taką miały trasę, a ja w Krasocinie miałam odłączyć się od nich i już sama skierować się w stronę Ludyni. I tak się stało. Wyszliśmy razem, Niemcy już zajmowali wszystkie szosy, szli umundurowani i uzbrojeni, a różni uciekinierzy szli bokami dróg, bocznymi ścieżkami. Niemcy nic nikomu nie mówili, nie zaczepiali, nie krzyczeli. Szłam z tymi paniami, raz

nocowałyśmy po drodze u jakichś gospodarzy, już nie pamiętam gdzie, ale pamiętam, że nam mleka dali się napić, do jedzenia coś miałyśmy swojego. Dotarłyśmy do Krasocina i ja już poznałam drogę przez las do Ludyni. Zapytałam jakiegoś chłopca, który orał pole, czy ta droga rzeczywiście prowadzi do Ludyni, on potwierdził, więc weszłam na nią i szłam po śladach zostawionych przez furmanki. Prawdopodobnie było to już po dziesiątym wrześniu. Szłam dobrą drogą, bo po jakimś czasie zobaczyłam dom wujka Wicka, jednego z braci mamy, na pustkowiu, widziałam rodzinę jak kopią kartofle. Wszyscy mi się przyglądali, bo dużo ludzi wracało po ucieczce do domu, przerwali pracę i przyglądali się, kto idzie. Podeszłam do nich, stanęłam, bo już ich poznałam, ale oni jeszcze nie wiedzieli kto to jest. Wreszcie mnie poznali, przyglądali się i przyglądali, i ktoś wreszcie mówi: „To przecież Lola!”. Nie mogli uwierzyć, że sama doszłam z Kielc na piechotę do Ludyni. Nie dość, że jeszcze prawie dziecko, to w dodatku wśród przemieszczających się w okolicy transportów niemieckiego wojska. W końcu doszłam do domu dziadków, a tu okazało się, że moi rodzice, z moim młodszym bratem Gienkiem, też przyszli na piechotę z Sosnowca do Ludyni. Mama zdziwiona była, że przyszłam z gołymi rękami, bez bagażu. Tak było, wszystko przecież przepadło na dworcu w Kielcach.

Tak właśnie ta czternastoletnia dziewczyna, na którą wszyscy w rodzinie mówili Lola, rozpoczęła swoją wojenną tułaczkę. Przeszła ponad 50 kilometrów z Kielc do Ludyni, częściowo w towarzystwie obcych osób, częściowo samotnie. W Ludyni szukała bezpieczeństwa, a tymczasem znalazła nieszczęście.

Ojciec Mamy Franciszek Kokosza, mój dziadek, także pochodzący z Ludyni, wrócił wkrótce piechotą do Sosnowca. Dowiedział się, że Niemcy wzywają wszystkich do powrotu do pracy, więc wrócił do pracy w kopalni nazywającej się wtedy „Hrabia Renard”, a po wojnie kopalnią „Sosnowiec”. Wkrótce Ludynię opuściła także babcia, podążając za dziadkiem do Sosnowca. Tam mieli mieszkanie, dziadek za pracę w kopalni dostawał wynagrodzenie i kartki żywnościowe, a na wsi panowała bieda i w starym, drewnianym domku naszych pradiadków zrobiło się za ciasno. Moja Mama też kilkakrotnie podróżowała pomiędzy Ludynią i Sosnowcem. Robiła to nielegalnie, wykorzystując przepustkę córki znajomych z Zawiercia do przekroczenia granicy w Poraju koło Częstochowy.

Na początku wojny władze niemieckie zaczęły wywozić mieszkańców Sosnowca na roboty do Niemiec. Groziło to także Mamie:

Jak tylko do miasta weszli Niemcy, rozsyłali do mieszkańców zawiadomienia o konieczności stawienia się w urzędzie pracy nazywanym *Arbeitszentrum*. Wiadomo było, że skierują tych wezwanych do pracy do Niemiec. Nie chciałam wyjeżdżać na te roboty, więc uciekłam z Sosnow-

ca. Różne były losy tych, którzy zrobili tak jak ja. Moja koleżanka Józia dostawała te zawiadomienia przez długi czas i zawsze je ignorowała. Mówiła, że nie pójdzie do urzędu, bo nie będzie na zawołanie wyjeżdżać do Niemiec. Wobec tego Niemcy przyjechali po nią osobowym autem i zabrali ją do obozu, do Oświęcimia. Zawieźli ją tym samochodem samą jedną, honorowo. Był to już 1943 rok.

Mama nie pamięta dokładnie, kiedy ostatecznie opuściła Sosnowiec, uciekając przed wywózką do Niemiec. Prawdopodobnie był to 1940 rok.

Pamiętam, że przyjechałam ostatni raz do Ludyni sama, w nocy. Wsiadłam na dworcu w Czostkowie, bo w Ludyni jeszcze wtedy nie było stacji. Byłam zupełnie sama, nikt inny nie wysiadł z pociągu. Usiadłam na ławce w poczekalni i pomyślałam, że poczekam aż się rozwidni, ale świt nie nadchodził, więc wyszłam przed dworzec, rozejrzałam się i postanowiłam iść w stronę Ludyni. Znalazłam dróżkę, którą zawsze chodziliśmy ze stacji do naszej wsi i w całkowitej ciemności, z duszą na ramieniu, przeszłam te prawie cztery kilometry dzielące mnie od celu. Doszłam na skraj wsi do rodzinnego domu ojca, do Kokoszów. Powinnam iść na drugi koniec wsi do Włodarczyków, ale wydawało mi się, że to jest strasznie daleko, że całą wieś muszę jeszcze przejść, a już opadałam z sił i cały czas bałam się ciemności. Drzwi otworzył mi Stefek, mój kuzyn. Odegrał potem w moim życiu ważną rolę. Rano dotarłam do domu moich dziadków, chociaż zawsze mówiłam, że idę „do Zosi”.

Lola przyjechała wtedy do Ludyni legalnie, mając przy sobie tak zwaną palcówkę, czyli dokument z odbitym palcem i zapisanym imieniem i nazwiskiem. Razem z Mamą przebywał wtedy w Ludyni jej młodszy brat Eugeniusz.

Czy rodzice przysyłali nam jakieś pieniądze na wieś, czy może coś innego? Nie pamiętam, pieniędzy nie mieli, ale coś jednak przysyłali. Kiedy mama, na przykład, dostała jakieś materiały na ubrania, przysyłała mi je. Nic innego nie miała, a na wsi wszystko się przydawało. Ja z kolei starałam się posłać im coś do jedzenia, tak im pomagałam. Robiłam własnoręcznie i suszyłam makaron z mąki, którą ktoś z rodziny przynosił. Mąka na makaron musiała być z młyna, a my u Zosi mieliśmy tylko zmieloną w żarnach. Robiłam z tego makaronu paczki, które znajomy kolejarz zabierał pociągiem dla rodziców.

W tym czasie dużo też robiłam różnych rzeczy na drutach. Zawsze lubiłam ręczne roboty. Robiłam swetry i rękawiczki dla całej rodziny. Szczególnie dla Kokoszów, bo oni mieli wełnę i w zamian, za te wytwory, przynosili mi mąkę na makaron.

Ludynię z czasów wojny nazywano wsią partyzancką. Otoczona lasami, mogła spełniać rolę schronienia dla licznych w okolicy oddziałów partyzanckich, a spośród jej mieszkańców wielu młodych mężczyzn stało się partyzantami. Dotyczyło to także rodziny Włodarczyków. Mówiła o tym też Mama, a nawet zachowała się jej pisemna refleksja na ten temat. Mama zawarła ją w liście z 1997 roku do miejscowego działacza społecznego Mariana Sosnowskiego. W rodzinnym archiwum zachował się brudnopis tego listu. Jego początek wyjaśnia intencje Mamy:

Przeczytałam książkę *W sarmackim Krasocinie* i zrobiło mi się smutno. Bo chociaż nie urodziłam się w Ludyni, moi rodzice pochodzą z tej właśnie wsi, a ja jestem od dziecka związana z tą wsią. [...] Dużo wypadków i zdarzeń pamiętam z Ludyni.

Mama wyjaśnia, co dodałaby na kilku stronach wspomnianej książki w sprawie udziału mieszkańców Ludyni w różnych organizacjach ruchu oporu w czasie drugiej wojny światowej. Wspomina między innymi o Kazimierzu Włodarczyku, najmłodszym bracie jej matki, Julianny.

Znaną osobą był Kazimierz Włodarczyk pseudonim Bystry. Do końca wojny był w partyzantce (prywatnie mój wujek). Działał w lasach włoszczowskich, często w nocy przyprowadzał swoich kolegów z lasów do domu, żeby się opatrzyli, zjedli coś ciepłego, umyli się i zagrzali. Przygotowaniem ciepłego posiłku zajmowała się [...] siostra Kazimierza Zofia Koziołek z Włodarczyków. Gdy oni przebywali w domu, ona pilnowała na zewnątrz, czy nie idą gdzieś Niemcy, bo to by oznaczało zagładę całej wsi. Często w tym domu też była przechowywana broń partyzancka, zajmował się tym brat Kazimierza, Zygmunt Włodarczyk. Przechowywał karabiny i inną broń w snopkach zboża. Wieś ciągle była narażona na odwiedziny Niemców, bo położona była blisko torów, których Niemcy pilnowali przed wysadzeniem przez partyzantów. Ciekawą postacią i postrachem całego powiatu włoszczowskiego był gestapowiec o imieniu Julek. Wszyscy znali go z okrucieństwa, pochodził z poznańskiego, mówił po polsku, więc miał kontakt z miejscowymi ludźmi.

Kazik Włodarczyk do końca wojny należał do Narodowych Sił Zbrojnych. Zaraz po zakończeniu wojny przeprowadził się do Częstochowy, tam się ożenił i rozpoczął obiecującą działalność gospodarczą, jednak w 1952 roku zmarł w wieku 42 lat. W rodzinie mówiło się, że zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach, po prostej operacji wyrostka robaczkowego, jednak te podejrzenia nie zostały nigdy wyjaśnione. Przez długie lata, do czasu przeobrażeń w Polsce z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, nie mówiło się głośno o przynależności Kazika do

Narodowych Sił Zbrojnych – ta antykomunistyczna, konspiracyjna formacja Wojska Polskiego była wrogo traktowana przez władze Polski Ludowej<sup>2</sup>.

Działalność konspiracyjną w rodzinie Włodarczyków w czasie wojny wspominała także Zofia – najmłodsza siostra naszej babci Julianny, a tym samym ciocia naszej Mamy. Była jej serdeczną przyjaciółką przez całe życie Mamy, którą przeżyła o kilka lat. Podczas wojny Zosia, chociaż miała zaledwie kilkanaście lat, była gospodynią w domu Włodarczyków – ich rodzice już nie żyli, matka osierociła Zosię, kiedy ta miała sześć lat.

Latem 2015 roku nagrałam rozmowę z ciocią Zosią. Wspominała przede wszystkim wielką biedę z czasu wojny. Rodzice wcześniej zmarli, a ona i jej pięcioro braci mieszkało w starym domu, w jednej izbie. Ich gospodarstwo liczyło zaledwie 25 mórg słabej ziemi.

Nie było co jeść, 8 krów takich, co by je miotłą pozabijał. Po śmierci ojca [w 1937 roku – H.R.] każdy się prowadził na swoją rękę.

W czasie wojny bracia Zofii czytali podziemną prasę, którą ktoś regularnie dostarczał, choć Zofia nie przypomina sobie kto. W domu schodzili się znajomi braci, żeby też poczytać gazety. Dyskutowali o polityce, wojnie, grali w karty. Zosia uważa, że byli wtedy dosyć beztroscy, nie bali się, że ktoś ich zadenuncjuje, nie myśleli o tym.

W sierpniu lub we wrześniu 1944 roku, opowiadała Zofia, stryjek z Kielc przywiózł do ich domu małą skrzynkę z amunicją. Zosia nie wiedziała, skąd miał tę skrzynkę i co dokładnie w niej było. Razem z braćmi zdecydowali, że schowają ją na skraju wsi, pod świerkami koło torów kolejowych. Za jakiś czas postanowili przenieść skrzynkę do domu – miała to zrobić Zosia. Poszła tam w którąś niedzielę, jednak jej misja nie powiodła się. Kiedy już znalazła skrzynkę i miała ją schować pod zapaską, od strony pobliskiej wsi nadjechał pociąg, jak się okazało, jakiś niemiecki transport, a za chwilę nadleciały rosyjskie samoloty i ostrzelały lokomotywę i wagony. Lokomotywa stanęła w ogniu, załoga pociągu rozbiegła się i ukryła w pobliskim lesie, a Zosia znalazła się w centrum tych wydarzeń. Schowana pod ścianą domu dróżnika przeczekala nalot i wystraszona wróciła bez skrzynki do domu. Także ta najmłodsza z rodziny Włodarczyków miała swój udział w podziemnej działalności w czasie niemieckiej okupacji<sup>3</sup>.

Tak żyliśmy do stycznia 1943 roku, kiedy wybrałam się pociągiem do Jędrzejowa, żeby zrealizować kartkę na odzież, tak zwany *Bezugschein*<sup>4</sup>,

---

<sup>2</sup> Zob. [www.nsz.com](http://www.nsz.com) – oficjalna strona Narodowych Sił Zbrojnych.

<sup>3</sup> Z wywiadu z Zofią Koziołek, z domu Włodarczyk. Sierpień 2015. Zofia zmarła w lipcu 2017 roku.

<sup>4</sup> *Bezugschein* (niem.) – przydział skóry na buty.



co w najbliższej okolicy było możliwe właśnie w Jędrzejowie. W czasie wojny dostawaliśmy przydziały na różne rzeczy, między innymi na skórę, z której można było zrobić buty, ale żeby to otrzymać, trzeba było jechać do Jędrzejowa, a skierowanie mieć z Włoszczowy, z gminy. Marzyłam o wysokich butach, oficerkach i mój kuzyn Stefek Kokosza obiecał mi je kupić. Trasa prowadziła przez Kielce, gdzie konieczna była przesiadka, z dość długim oczekiwaniem na następny pociąg. Zima była tego roku bardzo sroga, działo się to w nocy i było dość nieprzyjemnie. Podróżowałam wspólnie ze Stefkiem i jego kolegą Jankiem Ernstem, należącymi do organizacji podziemnej. Ku naszemu przerażeniu, Niemcy okrążyli dworzec kolejowy, zabierając młodych ludzi na przesłuchania. Nas też to spotkało.

To był piątek, od tego czasu nie lubię piątków i nie lubię Kielc.

Stefek miał ze sobą w tej podróży upieczony na blasze przez swoją mamę placek pszenny, mówiliśmy o takim cieście „gnieciuch”. W czasie wojny to był wielki rarytas, nie każdy mógł go upiec, bo nie każdy miał mąkę. Cieszyłam się na ten gnieciuch, ale niestety, nie dane mi było go spróbować. W Kielcach niemieccy żołnierze zatrzymali nas zaraz na dworcu. Otoczył nas mały oddział wojska, wszystkich wylegitymowali i kto nie miał dokumentów wydanych przez Niemców, szedł na jedną stronę, a drudzy, których potem zwolniono, na drugą. Nas skierowano na stronę tych zatrzymanych, nie mieliśmy przecież żadnych zaświadczeń, że gdzieś pracujemy. Nie pomyśleliśmy przed wyjazdem o tym, żeby wziąć od ludyńskiego dziedzica zaświadczenie, że pracujemy u niego we dworze. Niejedna osoba z takiego zaświadczenia korzystała. Gdybyśmy przewidzieli, co nas spotka! Wyjeżdżaliśmy z Ludyni spokojni, ponieważ młodszy brat Stefana, Roman, pracujący wtedy na kolei w Kielcach i obserwujący, co dzieje się na dworcu, nie zauważył w tych dniach niczego podejrzanego. Gdyby było inaczej, nie wybralibyśmy się w tę podróż. Romek nie przekazał nam jednak żadnych wiadomości, co miało znaczyć, że nic się nie dzieje groźnego i możemy jechać.

Niemcy poprowadzili nas do więzienia. Stefek prawdopodobnie miał przy sobie jakieś tajne dokumenty, ponieważ wydawało mi się, że po drodze coś upuścił na ziemię.

Szli około godziny do więzienia, o którym mówiono „na zamku”. Tam podzielili więźniów na dwie grupy – kobiety i mężczyzn – i zamknęli ich w celach. Było to stare kieleckie więzienie, które wybudowano w XIX wieku i które pełniło rolę więzienia do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Obecnie znajduje się w jego budynku Muzeum Pamięci Narodowej.

Z pobytu w więzieniu na zamku pamiętam różne zdarzenia. Była ze mną w celi młoda kobieta z Radomia, która przyjechała do Kielc kupić sobie do ślubu jakieś dodatki do ślubnej sukni. Mówiła, że przecież

Kielce to duże miasto i prędzej tu coś dostanie w sklepach niż u siebie. Jednak już nie wróciła do Radomia na ten ślub. Inna dziewczyna Jasia, też młoda, przyjechała do Kielc z Częstochowy w poszukiwaniu leków dla chorych rodziców. Też ją zatrzymali na ulicy, kiedy chodziła od apteki do apteki. Pokazywała Niemcom, którzy ją zatrzymali, recepty, tłumaczyła po co przyjechała do Kielc, chociaż nie umiała mówić po niemiecku. Nic to nie pomogło, i tak ją Niemcy zatrzymali i zabrali do więzienia. Martwiła się, że rodzice wiedzą o jej wyjeździe do Kielc, czekają na te leki i na nią, a ona nie wie, kiedy wróci do domu. Nie wróciła tak szybko, razem ze mną pojechała do Oświęcimia. Za jakiś czas straciłam ją w obozie z oczu, ale potem znowu spotkałam. Mówiła, że siedziała w bunkrze, gdzie zamykano więźniów za różne przewinienia. Taką dostała karę za to, że wychodząc z baraku do pracy, okręciła się kocem, żeby nie zmarznąć. Kiedy przechodziła przez bramę, koc wysunął się spod pasiaka, wartownicy to zauważyli i ukarali ją siedzeniem w bunkrze.

Do tego więzienia i do tej samej celi dostała się też pewna kobieta w średnim wieku, która cały czas trzymała w rękach blachę z upieczonym ciastem. Nie wiem skąd je miała. Wszystkie patrzyłyśmy na tę blachę z zazdrością. Kiedy wezwano ją na przesłuchanie, zostawiła ten placek, ale wkrótce wróciła i chciała go zabrać. Okazało się, że miała być zwolniona z więzienia, ale żal jej się zrobiło ciasta i postanowiła po nie wrócić. Pozostałe więźniarki usiłowały odebrać go właścicielce, bo skoro wraca do domu, mogłaby taki smakołyk zostawić innym. Jednak nie była do tego skora, doszło do szamotaniny, która nie spodobała się pilnującemu nas żandarmowi, zatrzęsął więc drzwi i tak ta kobieta z plackiem pojechała z nami do Oświęcimia. Często ją tam na początku spotykałam, ale później zniknęła mi z oczu.

W więzieniu na zamku kieleckim przebywaliśmy około tygodnia, a potem znaleźliśmy się w zorganizowanym przez Niemców transporcie kolejowym. Jechaliśmy w wagonach towarowych, okrężnymi trasami. Wszyscy byliśmy głodni, chociaż dawano nam jakieś jedzenie, ale to była tylko chuda zupa i suchy chleb. Pilnujący nas w wagonie żandarm jadł kanapki, coś popijał, a my, strasznie głodne, patrzyłyśmy na niego z zazdrością. W pewnej chwili zapytał mnie ile mam lat. Jakoś to zrozumiałam, chociaż nie znałam niemieckiego i odpowiedziałam mu. Pokręcił jakoś tak z ubolewaniem głową i dał mi kanapkę. Nie odmówiłam, bo byłam strasznie głodna. Jej smak pamiętam do dzisiaj.

Alodia martwiła się tym, że jej rodzice i rodzina w Ludyni nie wiedzą, co się z nią stało. Później dowiedziała się, że bracia jej mamy, szybko dowiedzieli się o aresztowaniu Mamy i jej towarzyszy podróży. Wypyтали o wydarzenia w Kielcach swojego sąsiada Wincentego Jarosza, kolejarza. Okazało się, że był świadkiem tego aresztowania i wiedział, że zabrano ich



do więzienia „na zamku”. Ale późniejsze losy Loli, Stefana i Janka długo nie były znane.

Po wojnie dowiedziałam się, że wujek Kazik, brat mojej mamy, po rozmowie z kolejjarzem Jaroszem jeździł kilka razy do Kielc, żeby dowiedzieć się czegoś konkretnego o nas. Dowiedział się, że dostaliśmy się do więzienia, chciał się nawet siłą dostać do tego więzienia, porozmawiać z komendantem, ale to mu się oczywiście nie udało. Liczył na to, że może uda mu się porozmawiać ze strażnikami, którymi byli miejscowi Niemcy – pochodzili z Wymysłowa, wsi sąsiadującej z Ludynią. Tego także nie udało mu się zrobić.

Po moim pierwszym liście wszyscy odetchnęli z ulgą – wiadomo było, że żyję. Niestety, do Ludyni doszła już informacja o śmierci Stefka i Janka.

22 stycznia wyladowano cały nasz pociąg na stacji w Oświęcimiu. Ktoś zauważył napis „Auschwitz” i już wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Ktoś powiedział, że jest to najgroźniejszy obóz koncentracyjny. Ja tego nie wiedziałam, nigdy o Auschwitz nie słyszałam. Byłam za młoda na to, żeby interesować się polityką i takie sprawy po prostu mnie nie obchodziły.

Przy pociągu czekały na nas strażniczki i strażnicy w mundurach esesmańskich, z psami, które strasznie ujadły. Wyprowadzono osobno kobiety i mężczyzn. Już się z moimi towarzyszami tej podróży nigdy nie zobaczyłam. Nigdy ich w obozie nie spotkałam. Później dostałam list z domu z informacją, że Stefek i Janek nie żyją, zmarli w Oświęcimiu. Zmarli? No tak, ale nie wiadomo, czy śmiercią naturalną. Młodzi, zdrowi mężczyźni raczej nie umierają tak po prostu. Należy raczej powiedzieć, że tam zginęli. Przeżyli w obozie około trzech miesięcy, a więc tyle, ile Niemcy przewidywali – każdy więzień powinien przetrzymać trzymiesięczny pobyt w obozie, nie dłuższy. Zdziwiłam się, że list z taką wiadomością do mnie dotarł. Przecież ściśle kontrolowano pisaną po niemiecku korespondencję. Widocznie ktoś coś przeoczył. Po wojnie dowiedziałam się, w jaki sposób wiadomość o śmierci Stefka dotarła do jego rodziców. Przed ich dom zajęchali dwaj niemieccy funkcjonariusze – żołnierze? policjanci? Tego nie pamiętam – na koniach, i odczytali informację o śmierci Stefka. Miał umrzeć na atak serca.

Nigdy nie udało nam się dowiedzieć szczegółów dotyczących pobytu Stefka i Janka w obozie i ich śmierci, nie znaleźliśmy żadnych świadków. Wiele lat po wojnie, podczas zwiedzania Oświęcimia, szukałam ich zdjęć na tablicach w Muzeum, ale nie natrafiłam na żaden ślad. Stefan działał w podziemiu, więc prawdopodobnie dlatego zginął, ale z Jankiem Ernstem sprawa mogła być trudniejsza. Był Polakiem niemieckiego pochodzenia. Może Niemcy chcieli go w obozie zwerbować

na swoją stronę, ubrać w mundur i wcielić do wojska? Wiem jednak, że Janek był polskim patriotą i nigdy nie zgodziłby się na to. Sądzę, że dlatego zginął.

Z rampy wyładunkowej przeszliśmy do Brzezinki. Ta nazwa wydawała mi się taka ładna. Nie wiedziałam jeszcze, że z urokiem wsi tak nazywanej to miejsce, do którego ja trafiłam, nie miało nic wspólnego. Dostałam się do obozu koncentracyjnego, to tak, jakby do piekła. Niczego gorszego Niemcy przecież nie wymyślili.

Brzezinka to wieś, na obszarze której powstała druga część obozu – Auschwitz-Birkenau, największy spośród czterdziestu obozów i podobozów tworzących kompleks Auschwitz. Powstał w 1942 roku, a więc dwa lata po utworzeniu w starych koszarach pierwszego obozu, którego wejście zdobił urągający godności więźniów napis: „Arbeit macht frei”. Nie natknęłam się na żadne wspomnienia więźniarek i więźniów obozu w Oświęcimiu-Brzezince, w których choć raz nie byłby wspomniany ten napis. Wskazywany był jako swoisty symbol przejścia z jednego do drugiego życia. Takiego znaczenia nabrał jednak po czasie, kiedy osoby, za którymi zatrzasnęła się brama do obozu, stały się więźniami i doświadczyły tego, co wcześniej było im nieznane, a wręcz niewyobrażalne. Pierwsze spotkanie z tym rozślawionym po wojnie na cały świat napisem nie mogło budzić grozy – na pewno nie u tych, którzy nic – tak jak Mama – nie wiedzieli o Auschwitz-Birkenau.

W głównym obozie przebywali tylko mężczyźni, a w Brzezince i kobiety, i mężczyźni, zamknięci w oddzielonych częściach obozu. Takich części było kilka, oznaczano je literami alfabetu. Mówiło się na nie lagry.

Strażnicy przyprowadzili nas do „Zugangbaraku”, czyli do baraku, gdzie kierowano wszystkie nowe więźniarki.

## Lucyna

Droga Lucyny do Oświęcimia była dłuższa niż Loli i naznaczona niepewnością, czy jeszcze ona i jej rodzina, wysiedlona z małego Wisłowca, tak jak dziesiątki tysięcy mieszkańców Zamojszczyzny, powrócą kiedyś w swoje strony. Czy to jest wysiedlenie na zawsze?

Lucyna wspomina swoje dzieciństwo jako czas biedy i niedostatku – w małym domu, w którym jako jedyna ze swojej rodziny mieszkała do końca swojego życia, żyła liczna rodzina – rodzice i szesnaścioro dzieci, trzech bracia i cztery siostry Luci, i pozostałe rodzeństwo przyrodnie z pierwszego małżeństwa ojca. Rodzice nie mieli swojej ziemi, „tylko, aby tę chatę, kawałek ogrodu, krowę, parę świniaków, kur”. Ojciec najmował się do pracy w polu,

handlował końmi i bydłem, ale zdarzało się, że jego dochody nie wystarczały na wykarmienie tak licznej rodziny. Czas wojny dla mieszkańców tej małej wsi, zaszytej głęboko w lasach i wśród pól, okazał się czasem naznaczonym tragedią niemal każdej rodziny. Lucyna wspomina jesień 1942 roku, kiedy zaczęły krążyć wieści o wysiedleniu, coraz częściej pojawiali się w okolicy niemieccy żołnierze penetrujący okolice. Niektórzy mieszkańcy Wisłowca postanowili opuścić domy, zaszyć się gdzieś w sąsiednich wioskach i czekać, jak potoczą się wydarzenia. Dnia 27 listopada tegoż roku niemieccy żołnierze otoczyli niespodziewanie pobliską wieś Skierbieszów, nakazując mieszkańcom opuszczenie domów. Dali im zaledwie kilka minut na ubranie się i popędzili wszystkich do Zamościa. Następnie 30 listopada ktoś, jak mówi Lucyna, z Batalionów Chłopskich, dał znać mieszkańcom Wisłowca, że najbliższej nocy Niemcy przyjdą do ich wsi. Lucyna wspomina:

Matka i starsze siostry naszykowały co dało się udźwignąć na plecach, wyprowadziły krowę, wzięły po parę kur i zaraz z wieczora udały się do sąsiedniej wsi Majdan Sitaniecki, do jednego ze starszych moich braci Stanisława, który tam gospodarował. [...] Przez cały dzień mroźny wiatr pomiatał śniegiem, tworząc na drogach zasy. Wieczorem rozszalała się taka śnieżycza, że psa z budy nie wypędził.

Ojciec Lucyny stwierdził, że w taką pogodę Niemcy samochodami nie dojadą, a na piechotę chyba z Zamościa nie przyjdą, i podobnie jak inni gospodarze postanowił zostać w domu. Lucyna mówi o wielkiej ciszy, jaka nastała w domu po odejściu matki z trzema siostrami.

Czas mija, a my ciągle niezdecydowani. Była może już godzina pierwsza w nocy, kiedy siedząc przy piecu, zapadłam w półsen. Aż tu nagle rumor we drzwi, w okna, jakby obuchem siekiery... Tak, to już byli Niemcy. Szli od domu do domu, walili kolbami, krzyczeli po niemiecku i po polsku: „Aufstehen! Wstawać, ubierać się, za pół godziny wychodzić!”.

Lucyna z ojcem i siostrą Józią uciekli z domu i próbowali oddalić się od wsi, jednak Niemcy zauważyli uciekinierów, postraszyli ich karabinami, a nawet strzelali na postrach i zaprowadzili ich do budynku szkoły, gdzie zapędzono wszystkich mieszkańców wsi. Nad ranem wywieziono z niego na furmankach wszystkich uwięzionych do przejściowego obozu w Zamościu. W obozie wszystkich więźniów rozdzielono – osobno dzieci i dorosłych. Lucyna znalazła się w jednym bloku z rodziną. Wspomina, że to był chyba najgorszy blok, bez ubikacji i jakichkolwiek sprzętów. Wcześniej więziono tam rosyjskich jeńców. Przez te kilka dni pobytu w obozie więźniowie dostawali bardzo skromne jedzenie – kawę i zupę; nie było żadnej możliwości przygotować sobie czegoś do jedzenia z domowych zapasów. Cały obóz

ogrodzony był drutem, o wydostaniu się z niego nie było mowy. Dzieci oddzielono od rodziców i umieszczono w osobnym bloku, przydzielając do opieki nad nimi starsze kobiety.

Jęk dochodził stamtąd straszny, te dzieci płakały, bo te opiekunki nie mogły sobie z nimi poradzić, a do bloków nie można było przechodzić. Kiedyś jedna z matek chciała się przedostać do swojego dziecka. Była straszna zawierucha, śnieżycą, ale jakoś pod drutami się tam przedarła. Zauważył to Niemiec i zaczął ją strasznie bić, myślałam, że ją zabije. Nie pozwolił jej wejść do tego bloku. Potem te dzieci gdzieś wywieźli, ale zrobili to w nocy, żeby matki nie mogły tego oglądać.

Dnia 9 grudnia więźniowie wyruszyli z Zamościa w dalszą podróż, ale jeszcze nikt nie wiedział, gdzie zmierzają... Jechali w nieogrzewanych wagonach towarowych, bydłowych, jak określiła to Lucyna, bez żadnych wygod, jedzenia, pomocy lekarskiej. Nikt nie poinformował ich o celu podróży, ale w Krakowie dowiedzieli się, że jadą do Oświęcimia. Lucyna:

Ludzie ze Skierbieszowa mieli kogoś krewnego w Krakowie, kto dowiedział się o tym transporcie z Zamojszczyzny i przyszedł na dworzec. On powiedział, że na parowozie jest napisane, że jedziemy do Oświęcimia.

Droga trwała cztery dni, do 13 grudnia 1942 roku. Od czasu do czasu transport stawał w polu, więźniom pozwolono na chwilę wyjść z wagonów, co było wielką ulgą, ponieważ wagony były zatłoczone, przepełnione. Więźniom nie pozwolono zabrać do wagonów swoich rzeczy, które zostały zapakowane do oddzielnego wagonu. W podróży musiał wystarczyć im skromny prowiant otrzymany w Zamościu: chleb, margaryna i marmolada. Około północy dotarli do Oświęcimia. Kazano im opuścić wagony, oddzielono kobiety od mężczyzn i ustawiono w pięcioosobowe kolumny. Niemcy coś do nich mówili, krzyczeli, ale prawie nikt nie znał języka niemieckiego, więc nie wiedzieli, czego żołnierze od nich chcieli.

W pewnym momencie jeden z postów [esesmanów niższej kategorii niż reszta SS – H.R.] szarpnął ojca i oderwał go od nas. Ojciec tylko zdążył powiedzieć: „Dzieci moje, już chyba was nie zobaczę”. I tyle ojca widziałam.

Ojca Lucyny przecucie nie zawiodło, wkrótce zginął w obozie, ale wiele lat później Lucyna dowiedziała się, kiedy dokładnie to nastąpiło.

W grupie kobiet, w której znalazła się Lucyna, były też jej rówieśniczki i młodsze dziewczyny, a nawet dwoje dzieci. Ich matce udało się jakoś dostać z nimi do tego samego wagonu i dowiozła je do Oświęcimia.

Lucyna nie знаła jednak losu jej i dzieci, chociaż na początku pobytu kilka razy ją spotkała.

Transport kobiet z Zamojszczyzny poprowadzono do obozu w Brzezince. Lucyna przeżyła czas obozu w Oświęcimiu-Brzezince, potem w Wolkenburgu i kilka miesięcy wolności w Weiden ze swoją siostrą Józefą, jednak nie pisze o niej zbyt wiele we wspomnieniach. Mama także tylko sporadycznie wspomina o Józi, siostrze Luci. Może jej postać zaginęła gdzieś w pamięci Mamy, która snuła swoją opowieść już w późnym wieku.

## **Maria**

W swoim maszynopisie Maria szczegółowo pisze o drodze rodziny Włodarczyków do obozu koncentracyjnego:

W czasie jednej nocy – z 11 na 12 sierpnia 1943 roku, zostało aresztowanych ponad 200 rodzin na terenie Zagłębia w ramach hitlerowskiej akcji „Oderberg”. Aresztowani podejrzani byli o przynależność do lewicowych organizacji podziemnych. W większości byli to członkowie Polskiej Partii Socjalistycznej. [...] Wiek nie odgrywał tu żadnej roli. Wśród aresztowanych były dzieci, niemowlęta oraz kobiety w podeszłym wieku, które nie miały nic wspólnego z konspiracyjną pracą. Wszystkie rodziny, po kilkugodzinnym przebywaniu w najbliższych miejscu zamieszkania więzieniach, przywiezione zostały do Polizei Erzatz Gefangnis w Mysłowicach. Tutaj w ciągu kilku dni trwała selekcja. Główni podejrzani, przeważnie ojcowie rodzin, zostali osadzeni na tak zwanej jedynce, gdzie poddawano ich okrutnym torturom podczas śledztwa. Kobiety i dzieci powyżej szesnastu lat przewieziono do Auschwitz. Młodsze dzieci, kobiety stare i ciężarne umieszczono w obozach w Kietrzu, Żorach, Pogrzebieniu, Boguminie, Gorzyczkach.

W grupie aresztowanych znalazła się też Maria ze swoją rodziną. Współwięźniowie jej ojca, Jana Włodarczyka, opowiadali, jak okrutnie był on torturowany w więzieniu w Mysłowicach. Pomimo to nie przyznał się do pracy w konspiracji i nie zdradził żadnego z kolegów. Po około dwóch miesiącach, w październiku, został przewieziony do Auschwitz, a potem, w lutym 1944 roku, do Mauthausen. Według urzędowego potwierdzenia z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Arolsen, Jan zmarł w tym obozie 13 grudnia 1944 roku.

Maria razem z siostrą, po krótkim pobycie w więzieniu przy ulicy Ostrogórskiej w Sosnowcu, zostały przewiezione do łagru w Mysłowicach. Trafiły do ogromnej celi, która mieściła 50 innych kobiet i dzieci.

Trzeciego dnia weszło do celi kilku gestapowców w celu odłączenia dzieci. Działy się dantejskie sceny. Matki rzucały się do stóp gestapowców, błagając, aby nie zabierano im dzieci. Niemcy kopali, bili pejcami i wydzielali z rąk nieprzytomnych matek przeraźliwie płaczące dzieci. To było pierwsze, koszmarne przeżycie, o którym jeszcze teraz śnię po nocach.

Za kilka godzin załadowano nas do karetek więziennych. Wieziono godzinę i wysadzono pod bramą „Arbeit macht frei”. Znalazłyśmy się w Oświęcimiu-Brzezince. Był wieczór. Odbywał się wieczorny apel. Prowadzono nas główną drogą lagrową do Zugangbloku. Wszystko było szare, brudne, ani odrobiny zieleni, ani odrobiny trawy.

Wzdłuż ohydnych zabudowań stały jakieś upiorne, wychudzone postacie uszeregowane w piątki, boso, z ogolonymi głowami. Każda z nich jedną ręką przyciskała do piersi czerwoną, odrapaną miskę. Byłam przerażona. Myślałam, że za kilka godzin przeistoczą mnie w taką samą wariatkę.

Maria i Mieczysława spędziły w Auschwitz-Birkenau 600 dni. Choć ich ojciec także został najpierw przewieziony do Oświęcimia, a dopiero później do innego obozu, nigdy się nie spotkał się ze swoimi córkami. Maria pisze, że tylko raz pojawiła się możliwość spotkania, ale niestety, nie doszło do niego:

Przychodziło do Birkenau w towarzystwie postów tak zwane komando fachowców, małe grupy stolarzy, murarzy, ślusarzy, do pracy związanej z reperacjami baraków. Byłam pewna, że Tato użyje swojego sprytu i rychno się zobaczymy. I była na to szansa. Od blokowej dowiedziałyśmy się któregoś dnia, że przyjdzie Tatuś z fachowcami. Niestety marzenie nie spełniło się. W związku z wielką epidemią tyfusu w Birkenau został wprowadzony zakaz wstępu na nasz lager. I już nigdy z Tatą się nie spotkałyśmy. Za miesiąc wyjechał transportem do Mathausen. Tam, po krótkim pobycie w Komandzie Ebense, został przekazany do zamku Hartheim. Było to zatajone miejsce, gdzie stosowano na więźniach wyrafinowane doświadczenia i pobierano narządy. Nikt stamtąd nie pisał listów i nikt nie wracał.

Z dokumentu, jaki otrzymałam z Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Arolsen, dowiedziałam się, że ojciec zmarł tam dopiero po półrocznych męczarniach.



## Rozdział IV

# KWARANTANNA. CHOROBY. SELEKCJE

We wspomnieniach Koleżanek, ale także spisanych relacjach wielu innych więźniarek i więźniów Oświęcimia i Brzezinki, znajdują się uwagi o kilku wydarzeniach, zjawiskach i procesach, które jawią się jako wyjątkowo wyraziste symbole, znaki szczególne obozowej udręki – to właśnie kwarantanna, choroby, a zwłaszcza dziesiątkujący więźniów dur brzuszny, selekcje służące wyprawieniu wybranych w drogę do krematorium i praca. Temu ostatniemu zjawisku warto poświęcić odrębny fragment książki.

Piszę o kilku szczególnych wydarzeniach, zjawiskach i procesach, tak, jakby reszta obozowej rzeczywistości była nieszczególna, „normalna”, zwyczajna. To ułuda – moje stwierdzenie powinno brzmieć: w kontekście rzeczywistości niezgodnej z naturą człowieka, jego potrzebami zarówno biologicznymi, jak i intelektualnymi, potocznie nazywanymi duchowymi, zaistniały okoliczności szczególnie zaprzeczające idei człowieczeństwa.

Zacznijmy od kwarantanny. Wszystkie nowo przyjęte do obozu więźniarki musiały przejść etap nazywany kwarantanną, choć z prawdziwą kwarantanną nie miał wiele wspólnego. Jak wynika z relacji wielu ocalałych więźniarek i dokumentów archiwalnych, chodziło o przyzwyczajenie nowych uwięzionych do warunków życia w obozie koncentracyjnym. Alodia, Lucyna i Maria podają różny czas trwania kwarantanny, co wynika z tego, że rzeczywiście kwarantanna obozowa trwała dłużej lub krócej – od dwóch, trzech tygodni do nawet trzech miesięcy<sup>1</sup>.

Więźniarki kierowano najpierw do Sauny, czyli łaźni z elementami sauny fińskiej, a następnie do Zugangsblocku (bloku dla nowo przyjętych), gdzie dokonywano rewizji i poszukiwano wartościowych rzeczy. Więźniarki strzyżono do gołej skóry, musiały rozebrać się do naga i doświadczyć

---

<sup>1</sup> I. STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz*. „Głosy Pamięci” nr 12. Oświęcim, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, 2016, s. 21.



szczególnego aktu poniżenia: ścierką z płynem dezynfekcyjnym – jedną dla wszystkich – przecierano ich nagie ciała. Robiły to głównie Żydówki Słowaczki skierowane do obsługi Sauny i Zugangsblocku, ale czasami uczestniczyli w tym także esesmani. Potem następowała kąpiel – prysznic lub kąpiel przy wykorzystaniu urządzeń Sauny. Po wydaniu odzieży obozowej, zarejestrowaniu więźniarek i wytatuowaniu im numerów na lewych przedramionach, oznaczano je trójkątem w odpowiednim kolorze (Alodia i jej Koleżanki jako więźniarki polityczne nosiły trójkąt czerwony). Cywilne ubrania i rzeczy więźniarek składano w osobnych pomieszczeniach – w razie śmierci właścicielki konfiskowano je. Rzeczy zmarłych Niemek i Jugosłowianek odsyłało rodzinom, a rzeczy i ubrania należące do Żydówek od razu konfiskowano i odsyłało do bloków nazywanych przez więźniarki „Kanadą”, czyli do magazynu mienia pożydowskiego<sup>2</sup>. Mama, straciwszy z oczu swoje cywilne ubranie, nigdy już o nim nie wspominała i zapewne nie poszukiwała po nim śladów.

Tak zwane aryjki, czyli nie-Żydówki i nie-Romki, po zdaniu cywilnych ubrań dostawały pasiaste stroje – koszulę, sukienkę, chustkę na głowę, a na zimę cienki płaszcz i rękawice. Obuwciem były drewniaki lub buty po zamordowanych Żydówkach. Niektóre więźniarki otrzymywały pończochy, ale trudno dociec, które doznawały tego wyróżnienia. Żydówki często ubierano w mundury po zamordowanych jeńcach radzieckich. Około 1944 roku pasiaków zabrakło, więźniarki dostawały więc ubrania po zagazowanych Żydówkach. Malowano na nich olejną farbą pasy, na plecach wycinano dziury w kształcie trójkąta i wszywano w nie czerwony materiał. Tak powstawało czerwone oznaczenie więźniarek politycznych.

Zimą wszystkie kobiety marzły, cienki płaszcz nie mógł chronić przed chłodem, ale istniały sposoby radzenia sobie z tym problemem: cieplejszą odzież zdobywano na przykład z „Kanady”. Wynosiły je stamtąd co odważniejsze, zatrudnione tam więźniarki i wymieniały cieplejsze swetry głównie na jedzenie. Kwitł handel wymienny<sup>3</sup>.

Koleżanki Mamy i ona sama otrzymały numery powyżej 30 000, a komu przypadły pierwsze? Tatuaze od 1 do 999 otrzymały więźniarki Niemki przywiezione do Auschwitz z Ravensbrück i od razu skierowane do pracy jako kapo czy blokowe. Oznaczono je ponadto zielonymi i czarnymi trójkątami. Numery od 1000 do 6000 wytatuowano Żydówkom przywiezionym ze Słowacji, a powyżej numeru 6000 – Polkom z pierwszych transportów<sup>4</sup>.

Więźniarki odbywające kwarantannę przetrzymywano tygodniami w przepełnionych barakach i wyprowadzano je tylko do latryny czy na apel.

<sup>2</sup> L. CEBÓ: *Więźniarki w obozie hitlerowskim w Oświęcimiu-Brzezince*. Katowice, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 1984, s. 17–18.

<sup>3</sup> Ibidem, s. 28.

<sup>4</sup> Ibidem, s. 19.

Od wiosny do jesieni wypędzano je przed baraki na tak zwaną łąkę (niem. *Wiese*), która łąki nie przypominała, nie było na niej nawet żdźbła trawy, a po deszczach pokrywała się błotem. Więźniarki siedziały na niej od świtu do wieczornego apelu bez jedzenia i wody do picia. Nierzadko dręczono je bezcelową pracą polegającą na przenoszeniu cegieł z miejsca na miejsce lub kopaniu rowów i zasypywaniu ich. Niektóre więźniarki zatrudnione były przy porządkowaniu terenu wokół baraków, usuwaniu zanieczyszczeń, wynoszeniu zwłok do kostnicy i tym podobnych<sup>5</sup>. Ze wspomnień Mamy wynika, że ona także uczestniczyła w tej niby-pracy. Kopała rowy, które następnie ktoś zasypywał, wykopywano je na nowo i tak dalej.

## Alodia

W Zugarbloku przechodziłyśmy kwarantannę. Polegała na tym, że siedziało się w baraku, nic nie robiło, a celem tego miało być poznanie nowych warunków, w których znalazłyśmy się. Coś dostawałyśmy do jedzenia, ale były to bardzo małe porcje i jedzenie było jakie. Najczęściej była to zupa – rzadka i nie wiadomo z czego ugotowana. Kwarantanna trwała tydzień lub dwa, co zależało chyba od stanu zdrowia więźniarki, ale nie wiem tego na pewno. Po jej zakończeniu zaprowadzono nas do łaźni, zabrano cywilne ubrania i ostrzyżono nam głowy do gołej skóry. Dostałyśmy ubrania z grubej juty, sztywne i niewygodne. Niektóre kobiety dostały pasiaki całkiem porządne, czyste, a niektóre brudne, zniszczone, nie na miarę. Nie mogłyśmy się rozpoznać bez włosów i w tych workowatych ubraniach, co nas, młodych, strasznie śmieszyło. Było zimno i chyba dlatego dostałyśmy też chusteczki na głowę. Podczas kąpieli w łaźni tatuowano nam na przedramionach numery – stałyśmy w kolejce do tego tatuażu. Dostałam numer 30 504. Podobno Niemcy wytatuowali ponad 100 tysięcy więźniów. Mówiono, że potem tego zaprzestali, chyba sami pogubili się w numeracji.

Przy przebieraniu i przy tych wszystkich obrzędach pracowały więźniarki, przeważnie słowackie Żydówki, chyba dlatego, że dostały się do obozu w pierwszych transportach. Były blokowymi, czyli zarządzającymi blokami, w których nas umieszczono, były złymi kobietami, krzyczały na nas, poszturchiwały nas bez powodu. Myślę, że wynikało to także z tego, że te kobiety straciły w obozie całe swoje rodziny, tylko one uratowały się z całych transportów. Nie mogły być dobre, nawet nie wysilały się, żeby być dobrymi, bo wiedziały jaką mają sytuację. Zostały same, więc dbały tylko o to, żeby się utrzymać na tych stanowiskach i przy życiu. W naszym bloku – numer 7 – blokową była Polka, Stenia. Była ładną, wysoką kobietą, znała niemiecki. Nieraz pomagała Polkom,

---

<sup>5</sup> I. STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz...*, s. 21.

choć była surowa, wymagająca i konsekwentna, nawet czasami biła więźniarki. Wszystko po to, żeby przypodobać się Niemcom, którzy ją szanowali i traktowali jak swoją. Chodziła co prawda w pasiaku, ale ładnym, czystym. Chyba potem została „starszą” całego obozu. Dowiedziałam się, że przeżyła Oświęcim, ewakuowano ją do innego obozu w Niemczech, w amerykańskiej strefie okupacyjnej. Nie osądzono jej za to, że należała do obsługi obozu.

Dosyć pozytywna opinia Mamy o Steni odbiega od rzeczywistości – z zeznań innych więźniarek, ale także z zachowanych w Muzeum w Auschwitz-Birkenau dokumentów, wyłania się obraz Steni – pochodzącej z Tarnowa Stanisławy Starostki – jako postrachu Birkenau i obozu w Bergen-Belsen w Rzeszy. Stenia dostała się do Auschwitz w 1942 roku za działalność konspiracyjną. SS skazało ją na dożywotnie więzienie. Dobrze знаła język niemiecki, dzięki czemu najpierw została w Birkenau kapo, a później blokową. Z czasem awansowała na Lageraltesterin, czyli osobę odpowiedzialną za wszystkie bloki. Słyszała ze szczególnej lojalności wobec władz obozowych i gorliwości w służbie. Ale słyszała także z tego, że dla więźniarek była bezwzględna, katowała je i niejednokrotnie zabijała, wynajdując różnego rodzaju szykany. Mieszkała w bloku zajmowanym przez funkcyjne więźniarki, gdzie zajmowała osobne pomieszczenie. Pokój ten urządzony był z przepychem, z dywanami, rzeźbami, lalkami. Miała wiele cywilnych ubrań pochodzących z magazynów mienia po zamordowanych w komorach gazowych<sup>6</sup>.

Informacje Mamy o powojennych losach Steni także nie są precyzyjne. Stanisława w pierwszym powojennym procesie załogi Bergen-Belsen została osądzona i skazana na 10 lat ciężkiego więzienia. Dnia 10 maja 1946 roku popełniła samobójstwo<sup>7</sup>.

Za jakiś czas zaprowadzono nas do głównego obozu i zrobiono nam zdjęcia. Moje zdjęcie zachowało się do dzisiaj, chociaż Niemcy przed ewakuacją obozu niszczyli wszystkie dokumenty i klisze fotograficzne. Mówiono, że jakiś więzień część zdjęć i klisz schował do jakiegoś zakamarka i tak je uratował. Znalazły się w Krakowie, gdzie po wojnie napisałam prośbę o ich przesłanie. Zrobiono odbitki i przysłano mi je.

Zdjęcia te przechowujemy jako najcenniejsze pamiątki do dzisiaj. W młodości patrzyłam na ten swoisty tryptyk – Mama z prawego profilu, *en face* i z lewego profilu, ostrzyżona do gołej skóry i w pasiastej bluzie – bez specjalnych emocji. Dlatego, że Mama nie wyglądała źle na tych zdjęciach:

---

<sup>6</sup> L. CEBO: *Więźniarki w obozie hitlerowskim...*, s. 47–48.

<sup>7</sup> [www.bergenbelsen.co.uk/pages/Staff/Staff.asp?CampsStaffD=85](http://www.bergenbelsen.co.uk/pages/Staff/Staff.asp?CampsStaffD=85) [dostęp: 2.11.2018].

miała pełną, młodą twarz i ufne spojrzenie. W miarę upływu czasu i poznawania historii obozowej naszej Mamy, zdjęcia te nabrały zupełnie innego kolorytu i wymowy. Już wiedziałam, co zostanie z tego niewinnego wizerunku i ufności, z którą Mama jeszcze na początku pobytu w Oświęcimiu patrzyła na świat.

Już przebrane i wytatuowane skierowano nas ponownie do Zugangbaraku. Obok przechodzili mężczyźni – w czystych pasiakach, nie wydawali się wycieńczeni ani przygnębieni. Pomyślałam wtedy naiwnie, że jakoś tu ludzie żyją, chyba nie najgorzej. Potem okazało się, że to byli więźniowie-funkcjonariusze, którzy mieli duże szanse na przeżycie. Wkrótce przekonałam się, kto to jest zwykły więzień, taki jak ja – poniewierany na każdym kroku, deptany i kopany – a kto to jest więzień funkcyjny. Tacy funkcjonariusze musieli robić to, czego Niemcy od nich oczekiwali i robili to, bo koniecznie chcieli się Niemcom przypodobać. Im bardziej gnębili tych zwykłych więźniów, tym byli lepszymi funkcyjnymi.

Szybko zobaczyłam tych prawdziwych więźniów – szli piątkami z pracy. W obozie zawsze chodziło się piątkami – do pracy, z pracy, na apel i z apelu do baraku. Zobaczyłam więźniów wracających z pracy, zmęczonych, ze spuszczonej głowami, których nie mieli siły podnieść, bitych i popychanych przez tych kapo, czyli więźniów-funkcjonariuszy zarządzających „zwykłymi” więźniami w pracy. Wielu z nich musiało jeszcze nieść na plecach swoich kolegów, którzy – nierzadko to się zdarzało – z wycieńczenia nie mogli iść o własnych siłach. Nie przypuszczałam wtedy, że mnie spotka też coś podobnego. Kapo mieli dużą władzę. Jak chcieli, mogli więźniów oszczędzić albo odwrotnie, za nic pobić i upokorzyć.

Z Zugangbaraku przeszliśmy do „normalnego” baraku, który miał stać się moim domem na dwa lata. Sztubowe i blokowe powitały nas tam przekleństwami i kijami, przydzieliły nam koje. Upychały nas jak tylko można było – po 6, 7, a nawet 8 na jednej pryczy. Ja dostałam się na najniższe miejsce, tak że pod spodem była jedynie posadzka. Za poduszkę służyły nam własne buty, których trzeba było pilnować przed kradzieżą. Pierwszej nocy i tak oka nie zmrużyłam, szczury tak harcowały, że nie dało się spać, poza tym wrażenia z całego dnia miały piorunujący skutek.

Na początku pobytu nie wiedziałam, jak się umyć. Nie było łaźni przy naszym baraku, nawet umywalki. Czułam, że mam brudną twarz. Pomyślałam, że jedynym wyjściem jest umycie jej śniegiem. Była przecież zima, wokół leżało trochę śniegu. Zebrałam ostrożnie ten najczystszy i przetarłam nim twarz. Byłam umyta. Potem odkryłam, że właśnie tam, za barak, więźniarki chodziły „za potrzebą”. Chyba już po moim przybyciu do obozu wybudowano niedaleko naszego bloku umywalnię.

Też nie było łatwo tam się umyć, bo dużo więźniarek z tej umywalni korzystało, ustawiały się kolejki, dochodziło do przepychanek, ale w porównaniu z myciem się śniegiem to już był luksus.

Wkrótce popędzono nas do pracy. Dowiedziałam się, że trafiłam do najgorszego komanda, jakie było w Birkenau.

## Lucyna

Tak jak wszystkich nowo przybyłych, Lucię i innych z jej transportu wysiedleńców z Zamojszczyzny zaprowadzono do łaźni. Lucyna od razu dostała nauczkę:

Taka byłam spragniona po całej podróży, że chciałam się choć trochę skropić wodą. Ale złapała mnie aufzejerka i tak mnie uderzyła, że upadłam na posadzkę. Potem zaczęli nam ścinać włosy. [...]. Potem nas wprowadzili do takiej parowni, a stamtąd pod prysznic. Te więźniarki, które tam pracowały, radziły nam mocno rozcierać skórę, żeby uniknąć choroby. Potem dostałyśmy pasiaki.

Lucyna pamięta pierwszą rejestrację w Saunie. Wspomina, że odbywało się to w obecności esesmanów, którzy pilnowali kobiet z nowego transportu, choć żadna z nich, wystraszonych i niepewnych swojej przyszłości, nie myślała o ucieczce.

Po przejściu swoistej inicjacji obozowej w postaci kąpieli w łaźni i ścięciu włosów Lucyna doświadczyła kolejnych, takich samych jak Alodia, etapów stawiania się więźniarką obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. Na lewym przedramieniu wytatuowano jej więzienny numer – stygmat na całe życie.

Numery tatuowali nam, ale nie tak od razu. Chodziłam już wtedy w tym pasiaku. Mogło to być na koniec grudnia, ale raczej na początku stycznia, bo najpierw była miesięczna kwarantanna.

W przeciwieństwie do Mamy, Lucynie nie zrobiono zdjęcia.

Część więźniarek poszła do zdjęcia, ale ja nie byłam, bo potem przestali je robić, tak, że część więźniarek ma zdjęcia. [...] Ile kobiet miało robione zdjęcia, tego nie wiem. Te, które miały, mówiły, że szły do Oświęcimia i tam im je robiono, ale ja nie miałam robionego zdjęcia.

Numer wytatuowany na rękę więźniarki musiały naszyć także na pasiakach, ale Lucyna nie pamięta, kiedy i jak to robiły.

Trafiła do bloku numer 13 – dobrze ten numer zapamiętała, w przeciwieństwie do Mamy, która miała wątpliwości, w jakim bloku znalazła się po przybyciu do Brzezinki.

To barak murowany. W tych lepszych barakach, na drugiej stronie, były Niemki. Tam był też rewir.

W baraku numer 13 Lucyna spotkała moją Mamę – Lolkę, jak na nią mówiła. Spały na jednej pryczy, dzieliły to niepewne obozowe życie, co zrodziło ich głęboką, w dosłownym znaczeniu dożgonną przyjaźń, która z czasem, w miarę upływu lat i sił, przerodziła się w sporadyczne kontakty listowne i telefoniczne. W tym bloku zamieszkały także, po kilku miesiącach pobytu w obozie, Marysia i Miecia Włodarczykównie. Potem, po około trzech miesiącach pobytu w obozie, Mama zachorowała i niewiele brakowało, żeby umarła.

## Maria

Lola mówiła o około dwóch tygodniach kwarantanny, Lucia o miesiącu, a Maria o dwóch miesiącach – i rzeczywiście tyle czasu spędziły z siostrą na kwarantannie. Opis Marii jest bardziej szczegółowy niż dosyć lakoniczne wspomnienia z tego okresu Mamy i Lucyny.

Ostrzyżono nam włosy, wytatuowano numery, ubrano w poplamione, zawszone pasiaki. Takie bosc zwierzątka wpędzono na blok. Na bloku były trzy poziome koje. Zwyczajowo wszystkim zugangom<sup>8</sup> [nowo przybyłym – H.R.] przydzielono najniższe koje, na kamieniach. Wszystkie mogłyśmy leżeć na jednym boku i na komendę przewracać się na drugi bok. Byłyśmy bardzo zmęczone. Niestety spać nie pozwalały wszy i pchły.

Przy czytaniu i przepisywaniu fragmentów wspomnień Mamy, Lucyny i Marii, zwłaszcza tych opisujących pierwsze godziny i dni spędzone w obozie, nie udało mi się zachować potrzebnego przy tworzeniu naukowego tekstu dystansu i obojętnego stosunku do treści relacji. Czy to, o czym pisały i mówiły, w ogóle jest możliwe? Bliska więź z Mamą usprawiedliwia takie odczucia, ale także opowieść mało przecieź znanych osób, a panią Marię spotkałam osobiście chyba tylko raz w życiu, nie pozwalała odsunąć od

---

<sup>8</sup> Do swojej relacji Maria często wtrąca słowa z obozowego języka. Tam, gdzie trudno odkryć ich znaczenie, dodałam ich tłumaczenie, często korzystając z *Minisłownika pojęć z historii Auschwitz*: <http://auschwitz.org/media/sloownik-pojec/>.

siebie odczucia grozy, współczucia i niewiary w to, że to się mogło wydarzyć i nie jest literacką opowieścią, ale zbiorem najprawdziwszych faktów. Pomimo toczącej się wojny z jej wszystkimi ograniczeniami i trudami, życie jakoś biegło, także w rodzinnym Mamy i Marii Sosnowcu czy na wyludnionej ziemi zamojskiej Lucyny. Sosnowiec dzieli od Oświęcimia niewiele ponad 40 kilometrów, a wydawać by się mogło, że są to dwa całkowicie różne światy; że obóz oświęcimski to jakiś inny wymiar życia, jakby nie do końca rzeczywisty, bo niewyobrażalny. A jednak... Młode dziewczyny zetknęły się z tym nowym wymiarem i, jak wynika z ich wypowiedzi, nie mogły uwierzyć, że jest możliwy.

Z chwilą, kiedy ogolono mi włosy, napiętnowano wykłutym na ręce numerem 54 679, skończyła się młodość, umarła wolność. Przestałam być człowiekiem. W Auschwitz nie było ludzi. Było tylko stado numerów.

Najcięższa była „kwarantanna”. Dwumiesięczny okres wytrzymałości fizycznej i psychicznej, zorganizowany w taki sposób, że tylko najodporniejsi mogli przeżyć. Kwarantanna była przystosowaniem organizmu do głodu, nabyciem odporności na choroby łagrowe, jak tyfus, nieustanne biegunki, flegaminę, zapalenie dróg oddechowych i pęcherza. Do tego przyczyniło się wystawanie godzinami na apelach w czasie deszczu i zawiei śnieżnych.

Miało się tylko jeden pasiak, uszyty ze sztywnej juty. Jeśli przemoczyło się go na apelu, na bloku wyżymało się z wody i w nocy spało się na nim, susząc ciepłem swojego ciała. Rano taki wilgotny ubierało się. W czasie deszczowej pory ciągle chodziło się w takim mokrym pancerzu.

Od wiosny do października chodziło się boso. Na zimę otrzymywało się holenderki (drewniaki z wyżłobionym otworem na nogę). O luksusie umycia się nie można było marzyć. Były wybudowane umywalnie, ale tam nigdy w dzień nie było wody. Puszczali wtedy, kiedy przyjeżdżały międzynarodowe kontrole i czasem w nocy dla funkcyjnych służb łagrowych. Raz w miesiącu robiono wszystkim więźniarkom kąpiel, tzw. odwszenie. Zabierali pasiaki, majtki, koszule i derki, pod którymi spaliśmy. Wszystko to moczyli w płynach odkażających, a my po kąpieli pod prysznicem, nago maszerowałyśmy na blok. Następnego dnia nie szło się do pracy, bo ubrań jeszcze nie było, ale na golasa wystawałyśmy na apelach, niejednokrotnie dwa dni.

Jak to możliwe, że tak bezwzględnie traktowano kobiety? Maria znajduje wytłumaczenie w mankamentach osobowościowych władz, choć nie tylko niemieckich. Twierdzi, że Auschwitz był rajem dla sadystów.



Jeśli któraś więźniarka była sadystycznie usposobiona, mogła awansować w obozowej hierarchii, zyskując nominacje na kapo, blokową, sztabową – z nieograniczoną władzą w zakresie sadyzmu nad współwięźniarkami. Ich dewizą było wulgarne słownictwo, bicie i wyrafinowane upokarzanie. Normalni ludzie przeżyli życie i nie usłyszeli, nie zobaczyli tego, co w obozie było na porządku dziennym.

Maria szczegółowo opisała kwarantannę, zostawiając świadectwo tego, czego „normalny” człowiek nie może sobie wyobrazić.

Okolo godziny trzeciej nad ranem budzono, rozdawano ciepłe, gorzkie ziółka, zawierające specjalne środki, po których żadna kobieta nie miała miesiączki. Potem wypędzano przed blok. Była ciemna noc. Ustawiano w piątki. Porządku pilnowały sztabowe, przeważnie prostytutki z czarnym winklem [trójkątem oznaczającym kategorię więźnia – H.R.]. Wszystkie mówiły, a właściwie ryczały okropnym językiem. Zanim człowiek nauczył się ordynarnie odpowiadać, uciekać, jeśli była możliwość, lub oddawać uderzenia, był bity co chwilę. Najważniejsze było nie poddawać się, stawić czoło czarnym winklom z dozoru.

Winkle to były trójkąty z numerem, przyszyte do pasiaków, oznaczające narodowość i rodzaj przestępstwa. Czerwonym trójkątem oznaczano najliczniejszą w obozie kategorię więźniów politycznych, zielonym morderców i przestępców kryminalnych, czarnym prostytutki i tzw. aspołecznych, fioletowym badaczy Pisma Świętego, różowym homoseksualistów. Dla Żydów wprowadzono oznaczenie w postaci sześcioramiennej gwiazdy.

W zasadzie wszystkie cugangi na kwarantannie chorują na biegunkę (*Durchfall*). Brzuch tak okropnie boli, że nie chce się opuszczać ustępu. Ustęp miał 50 otworów z dwóch stron tak, że się siedziało tyłem do siebie. Środkiem między dziurami można było się poruszać. Tędy z kijem biegła kapo od ustępu i biła po głowach. „Dosyć, złazić głupie krowy. Nie ma co tu siedzieć, to nie kawiarnia”. Nigdzie nie czuło się takiego upodlenia jak w ustępie.

Po kilku tygodniach na kwarantannie zaczynało się zapominać o życiu na wolności. Cała uwaga, wszystkie myśli skierowane były na aktualne problemy. Mnie było trudniej niż innym, byłam z młodszą siostrą, delikatniejszą i fizycznie dużo słabszą ode mnie. W obozie okazała się życiową niedołęgą. Serce mi się krajało, kiedy ciągle obrywała od czarnych winkli. Milczała i oczy miała pełne łez. Toteż musiałam myśleć za nią i za siebie. Jak wejść do ustępu, żeby nie oberwać kijem? Jak ukraść, tu się nazywało zorganizować, miskę jedzenia, którą ktoś siostrze zabrał? Gdzie się schować przed szaiskapo, łapiącą do wywożenia nieczystości z ustępu? Co zrobić, żeby się trochę umyć?



Byłyśmy tu już dwa tygodnie, lepiłyśmy się od brudu, całe ciała miałyśmy pokryte krwawymi punktami od ukąszeń wszy. Były wszędzie i dokuczały straszliwie. Kiedy na wizie [łace – H.R.] zaświeciło słońce, zdejmowało się pasiaki i z okolicy szwów wyjmowało się wszy i zabijało na paznokciach. Tymi samymi palcami jadło się potem pajdę chleba, otrzymaną na wieczornym apelu. Dowiedziałam się, że około północy w waszraumie [łaźni – H.R.] puszczają wodę i myją się lagrowe służby. Postanowiłam nie spać i wybrać się tam z siostrą. Wcześniej ukradłam kawałek mydła z pokoiku blokowej. W waszraumie nie paliły się żarówki, ale rozgwieżdżone niebo przez szyby rozświetlało wnętrze. W drugim kącie pomieszczenia myły się jakieś więźniarki. Rozebrałyśmy się do naga, odkręciłyśmy kurki. Co za szczęście, popłynęła woda. Szybko namydliliśmy całe ciało, ale kiedy zamierzałyśmy splukać się w rynience pod kranami, zaświeciło się światło. Wpadła rozwszczeczona lagerkapo i pejcem biła nas po gołych plecach. Na szczęście pasiaki trzymałyśmy między nogami. Obolałe i namydłone uciekłyśmy na blok. Rano jedną porcję ziółek poświęciłyśmy na usunięcie mydła z twarzy.

Za kilka dni urządzono nam odwszenie. Zabrali koce i ubrania do moczenia. Kąpiel trwała trzy minuty, bez mydła i ręczników. Przed sauną stała więźniarka z obsługi, moczyła szmatę w misce z płynem dezynfekcyjnym. Każdą z nas nacierała pod pachami i między nogami, co pobudzało zgromadzonych w pobliżu esesmanów do ustawicznego śmiechu. Stali obok grupkami i byli zachwyceni tym widokiem. W najlepszy humor wprowadzały ich starsze kobiety, które miały zniekształcone ciała, wiekiem i zabiegami operacyjnymi. Wyciągali je z szeregu, kazali utworzyć koło i tańczyć. Krzyczeli głośno, że to sabat czarownic. Tego wieczoru i następnego dnia wszystkie więźniarki w całym lagrze stały nago na apelach, bo pasiaki były mokre.

Jedną z tortur był także zupełny brak prywatności. Przez cały czas w obozie ani przez chwilę człowiek nie był sam. Ciągłe trzeba było ocierać się, słuchać i być w zasięgu wzroku współtowarzyszek niedoli. Patrząc na więźniarki, trudno było sobie wyobrazić, że kiedyś były młode i piękne. Kilkumiesięczny pobyt w obozie przeistaczał człowieka w bezduszne, automatyczne narzędzie. I tylko zadziwiające prawo życia dawało siły do znoszenia szykan i bólu.

\* \* \*

Po około trzech miesiącach pobytu w Birkenau Mama zachorowała. Był to tyfus, czyli dur brzuszny, który dziesiątkował więźniów późną jesienią i zimą 1943 roku. Mama o mało nie umarła, na szczęście młody, niewyniszczony organizm pokonał chorobę.

## Alodia

Któregoś dnia dostałam wysokiej gorączki, zameldowałam to blokowej i zgłosiłam się do lekarza. Byłam tak słaba, że na pewno nie doszłabym do miejsca naszej pracy. Lekarz zostawił mnie na rewirze, czyli na szpitalnym baraku, gdzie kilka dni leżałam z wysoką gorączką. Nie mogłam niczego jeść ani pić i chyba cały czas spałam, bo niewiele z tych pierwszych dni choroby pamiętam. W tym niby-szpitalu na jednym dosyć wąskim łóżku leżały trzy osoby. Ja także na łóżku leżałam z dwiema innymi kobietami. Jedna z nich leżała w nogach łóżka. Była to, jak mi się wtedy wydawało, stara Cyganka. Nie wiem, dlaczego tam się znalazła, bo przecież Cyganie mieli swój lager. Musiała być jakąś ważną osobą, skoro dali ją do naszego aryjskiego bloku szpitalnego. Po jakimś czasie ocknęłam się z tego dziwnego letargu i stwierdziłam, że jestem bardzo spragniona. Pilnowałam chwili kiedy roznoszono picie i dopiero po zaspokojeniu pragnienia i zjedzeniu kawałka chleba przejrzałam na oczy. Wyglądało na to, że nastąpiło przesilenie choroby. Jakoś się po niej pozbierałam.

Koło mnie, na tym samym łóżku, leżała młoda dziewczyna. Nie wiem, kto to był ani skąd, też tak dużo spała jak ja. W pewnym momencie przestałam słyszeć jej oddech – umarła. Wkrótce zabrały ją Żydówki, których zajęciem było zabieranie z baraku, kilka razy dziennie, umarłych chorych. Pamiętam ich ręce w rękawicach do łokci. Pomyślałam wtedy, że mnie jeszcze widocznie nie dane było umrzeć. Nie pamiętam, jak długo leżałam na tym rewirze. Potem dostałam się do bloku, gdzie zabierano te więźniarki, które jakimś cudem nie umarły podczas choroby i była jakaś nadzieja na to, że wyzdrowieją. Tam było czystiej, też były trzypiętrowe łóżka, na których leżały rekonwalescentki. Jeszcze nie mogły chodzić, były bardzo słabe, ale z dnia na dzień zdrowiały. Dostałam łóżko na trzecim poziomie. Koło mnie leżała dużo starsza ode mnie pewna pani z Warszawy. Nie pamiętam, jak się nazywała. Była słaba, dosyć mocno schorowana. Ale miała przy boku młodą dziewczynę Urszulę Głowacką – zapamiętałam jej imię i nazwisko. Obydwie, a może tylko ta pani z Warszawy, dostawały dużo paczek, a w nich dużo dobrego jedzenia. Urszula przygotowywała tej warszawiance posiłki, ale ona nie mogła nic jeść, tak bardzo była wycieńczona. Te paczki ustawiały w nogach łóżka. Nikogo smakołykami z nich nie poczęstowały. Nigdy nie poprosiłam ich, żeby dały mi coś do jedzenia, chociaż przyszłam do tego baraku strasznie wygłodniała po chorobie. Widać było, że ktoś z góry opiekował się nimi, więc z byle kim nie zadawały się. Może z kimś dzieliły się jedzeniem, ze mną nie.

Nie wiem, czy ta warszawianka przeżyła ten okres rekonwalescencji. Kiedy wypisywano mnie z tego przejściowego baraku, ona jeszcze tam

została. Urszula chyba przeżyła, należała przecież do młodszych więźniarek i miała dzięki paczkom dobre wyżywienie.

Po jakimś czasie zaczęłam się czuć coraz lepiej. Już schodziłam z mojego łóżka na trzecim piętrze i nieraz udawało mi się, idąc od łóżka do łóżka i trzymając się poręczy, przejść wkoło bloku. Stałam na nogach o własnych siłach, więc wypisano mnie z tego przejściowego szpitala. Wróciłam do swojego bloku, do pracy i pani Steni.

## Lucyna

Wczesną wiosną 1943 roku na tyfus zachorowała także Lucyna. Prawie trzy tygodnie leżała na rewirze, ale nie pamięta, jaki ten barak miał numer. Jak w każdym bloku obozowym, leżała na jednym łóżku z inną chorą. Nie dostawała żadnych lekarstw, nie miała też kontaktu z żadnym lekarzem. Chorzy dostawali takie samo jedzenie jak zdrowi więźniowie, co utrudniało zdrowienie i nie pozwalało wracać do sił. Ale Lucyna wspomina, że czasem „koleżanka ugotowała mi jakąś zupkę i przyniosła. Jak to zjadłam, to poczułam się całkiem inna”.

W szpitalu robiono podobne selekcje jak w każdym innym miejscu obozu. Obejmowały one wszystkie więźniarki, niezależnie od narodowości. Lucyna pamięta, że na jej rewirze najwięcej było Polek, także polskich Żydówek. Pamięta, że te ostatnie były szczególnie źle traktowane.

[...] najlepiej były traktowane Żydówki czeskie i słowackie. One przede wszystkim znały język niemiecki, były czyste i zajmowały wszystkie co lepsze stanowiska. Pracowały w szrajbsztubie [kancelarii obozowej – H.R.] albo jako blokowe. Jeszcze jak byłam na bloku trzynastym, blokową najpierw była Polka z Poznania (mówili, że to była podobno jakaś hrabianka), a potem dali nam Żydówkę. Już nie pamiętam, jak się nazywała. Ale ona dobra była. Dużo też było Żydówek pod polskim nazwiskiem i te przeżyły, ale nie wszystkim się udało. Z pobytu w szpitalu zapamiętałam tylko to, że miałam wysoką gorączkę i duże pragnienie. I jeszcze to, że jedna z więźniarek, jakaś hrabianka z Krakowa, urodziła na tym piecu dziecko. Słyszałam jak ono zapłakało, a potem wrzucono je do „kibla” i utopiono. Matka przeleżała cały dzień na tym piecu, tyle, że podłożono jej jakieś prześcieradło.

Lucyna nie wyjaśnia, o jaki piec chodziło – prawdopodobnie był to piec ogrzewający barak szpitalny, na którym także leżały chore więźniarki.

Po około trzech tygodniach Lucyna opuściła rewir i wróciła do bloku – tym razem do bloku numer 7 i ponownie zaczęła chodzić do pracy w polu.

Jan Targoński, syn Lucyny, wspominał w rozmowie z nami – moją siostrą i ze mną w czerwcu 2017 roku – że Lucyna poddawana była jakimś medycznym eksperymentom. Janek nie zna jednak szczegółów, ponieważ Lucyna mało o tym mówiła. Wspomniała kiedyś, że kapo wzięło ją któregoś dnia na badania, „robili jakieś próby” – prawdopodobnie ginekologiczne, po których miała przez całe życie problemy ze zdrowiem. Opowiadała, że po tych „próbach” dostała gorączki, rano zauważyła stojący koło pryczy kubek białej kawy – po jej wypiciu wyzdrowiała. Uważała, że to był cud, bo całą noc modliła się o zdrowie.

## Maria

Rozpoczęła się pora deszczowa. Mokłyśmy na apelach, na wizie. Nigdzie i nigdy nie można było się wysuszyć. Błoto w Birkenau było chyba specjalnie obmyśloną torturą. Nigdy nie schło. Poruszanie się było niemożliwością – trepy stałe zostawały w gęstej mazi. Kilka razy, po apelu, klęczałyśmy w błocie za kary wymyślone przez blokową.

Z dnia na dzień byłyśmy bardziej zrezygnowane i tępe.

Zaczęły się choroby. Ja byłam silniejsza i odporniejsza od mojej siostry na zimno i infekcje. Jej imaly się wszystkie schorzenia. Nie opuszczała jej biegunka, ciągle miała dreszcze, bóle w piersiach, podwyższoną temperaturę. W nocy miała kłopoty z oddychaniem. Błagała, abym pozwoliła jej pójść na rewir, bo nie ma już sił stać na apelach.

Otrząsnęłam się z odrętwienia, postanowiłam walczyć o jej życie. Zgłosiłam się do pracy w komandzie, w którym noszono dezynfekowane koce i swetry z maszyny usytuowanej niedaleko naszego bloku, do magazynu na drugi lager B. Ciężka to była praca. Odwszone, cuchnące i gorące toboły nosiło się na plecach kilkadziesiąt metrów. W trakcie noszenia udawało się czasem wyciągnąć z tobołu sweter i ukryć pod pasiakiem. Mnie się udało w ciągu kilku dni zorganizować 9 swetrów.

Dwa przeznaczyłam dla nas, do noszenia pod pasiakiem. Resztę wymieniłam na lagrowym rynku na aspirynę i masć, którą smarowałam plecy i piersi siostry. Zabiegi pomogły. Temperatura spadła i bóle w piersiach ustąpiły. Moja praca przy noszeniu odwszonych rzeczy się skończyła. Któregoś dnia Niemka, kapo komanda, spostrzegła organizowanie przeze mnie swetra, zbiła mnie i wyrzuciła z komanda.

W pierwszych miesiącach pobytu w obozie Marię ominęły cięższe choroby, dzięki czemu mogła poświęcić się pokątnemu, bo o innym nie mogło być mowy, leczeniu siostry Mieci i utrzymywaniu jej w jako takiej kondycji, która przez całe jej życie była słaba, o czym czasami wspominała także

Mama. Tylko wielka determinacja pozwala zrozumieć to jej poświęcanie się dla siostry z narażeniem własnego życia. „Organizowanie” czegokolwiek na czarnym obozowym rynku groziło śmiercią i tylko najodważniejsi wiedzieli, jak się na nim poruszać i nie zostać odkrytym.

Epidemia tyfusu w obozie kobiecym w Brzezince na przełomie 1943 i 1944 roku (ten czas podają zarówno Alodia, jak i Maria) nie ominęła Mieci i Marysi.

Epidemia tyfusu dziesiątkowała nasze szeregi. Z mojej koi pierwsza poszła na rewir Leokadia Milikowa – zmarła 15 grudnia 1943 roku. Za nią Tośka Sępniowa – żona powojennego przewodniczącego Rady Miejskiej w Sosnowcu, zmarła 22 grudnia. Następными ofiarami były Rysińskie, mama z córką Wacią z Piasków-Czeladzi. Wacia zmarła w nocy na koi. Po śmierci Waci jej mama postradała zmysły. Klęczała na środku bloku i przeklinała Boga. Po tygodniu zmarła. Jej mąż Antoni Rysiński został rozstrzelany w Auschwitz 29 listopada 1943 roku.

Przyszła kolej na moją siostrę. Gorączka, bóle głowy, dreszcze. Nie chciałam rozstawać się z nią. [...] Było coraz gorzej. W nocy majaczyła. Rozpalona tuliła się do mnie i prosiła, żebym pozwoliła jej umrzeć. Zdecydowałam posłać ją na rewir.

Dzięki wspomnieniom, czy raczej relacji Marii, można wyobrazić sobie, jak wyglądał i działał rewir; nie na podstawie licznych oficjalnych źródeł, ale na podstawie tego, co więźniarce, tracącej siły po kilkumiesięcznym pobycie w piekle – jak Maria nazywa obóz – pozostało na zawsze wryte w pamięć.

Rewir znajdował się na sąsiednim lagrze, tam, gdzie przebywałyśmy na kwarantannie. W skład rewiru wchodziło dziesięć baraków, w których znajdowały się trzypiętrowe łóżka przeznaczone dla 300 osób. W okresie epidemii, w grudniu 1943 roku, na rewirze przebywało 900 osób. Codziennie umierało około 400. Po stwierdzeniu zgonu, przez tylne drzwi wyrzucano zwłoki na stos. Wieczorem przyjeżdżało tzw. lajchenkomando [komando odpowiedzialne za sprzątanie zwłok – H.R.] i zabierało trupy do krematorium.

Po wieczornym apelu spakowałam wszystkie wiktuały z paczki i wybrałam się na rewir. Dotarcie tam nie było proste. Trzeba było przekupić torwachę, aby przejść przez lagrową bramę. Często urzędowały tam władze i wtedy przekroczenie bramy było utrudnione. Było już ciemno, kiedy dotarłam do rewirowego baraku, który rano przejął moją siostrę. Serce mocno biło z niepokoju, czy zastanę ją żywą, czy też leży na stosie trupów. Żyła – leżała na środkowym łóżku, razem z dwiema kobietami. Nie reagowała na moją obecność. Dotarłam do dyżurnej lekarki z błaganiami o ratunek. Lekarka stwierdziła, że tylko natychmiastowe

podanie zastrzyków koraminy może uratować siostrze życie. Wskazała, gdzie mogę je kupić. Wszystkie rarytasy z bożonarodzeniowych paczek wymieniałam na zastrzyki, które siostrę uratowały.

Codziennie po wieczornym apelu docierałam do siostry. Ze względu na epidemię, wstęp do rewirowego baraku był surowo zakazany. Żeby przez chwilę ją zobaczyć, dostawałam się tam przez tylne drzwi. Żeby tego dokonać, musiałam przeczołgać się przez stertę trupów, które oczekiwały na przyjazd lajchenkomanda. Była ostra zima, trupy były zamrożone w przeróżnych pozycjach. W walce o przetrwanie byłam już zahartowana w niewyobrażalne na wolności przeżycia, ale ta wędrówka przez stos trupów była ogromnym przeżyciem.

Nawet ktoś o przeciętnej wrażliwości nie może, jak się wydaje, czytać tej relacji ze spokojem, tak jak każdej innej relacji z trudnych przeżyć. Maria pisze o niewyobrażalnych na wolności doświadczeniach. Jak wobec tego można przeżyć czołganie się przez stos bezimiennych zwłok? Jest to niewyobrażalne przeżycie, ale przecież realne, prawdziwe. Tylko dla nas niewyobrażalne – dla więźniarek do przeżycia. Czy tak właśnie wrażliwość człowieka przyzwyczajają się do najgorszego? Z opowieści Mamy i jej Koleżanek wynika, że tak, stopienie uczuć daje szansę na przetrwanie.

## Maria

W niedzielę nie chodziło się do pracy. Mogłam w porze obiadowej, kiedy było jeszcze jasno, przedostać się na rewir. Stos trupów leżał jak zwykle za barakiem. Z przerażeniem spostrzegłam, że szczury grasują wokół twarzy nieboszczyków i wyjadają im oczy. Na brzegu rozpoznałam znajomą twarz prześlicznej Krysi Michalskiej z naszego transportu. Zdjęłam chustkę z szyi i obwiązałam głowę, zakrywając twarz Krysi.

Siostra pomaleńku zdrowiała. Tymczasem ja zachorowałam. Dziesięć miesięcy wstecz, jeszcze na wolności, byłam szczepiona przeciw durowi. W związku z tym spodziewałam się, że przebieg mojej choroby będzie łżejszy. Uda mi się tyfus przechodzić. Nie zgłosiłam się na rewir, ale trzy tygodnie mojej choroby to były koszmarnie chwile. Szalony ból głowy. Przemarsz do Weberei był katorgą, każdy krok to bolesne tąpnięcie w głowie. Popękane wargi krwawiły od gorączki, szum w uszach i bezustanne pragnienie picia. Na szczęście śniegu było pod dostatkiem. Połykałam go. Rozpuszczałam w misce i piłam. Za chleb i cebulę dziewczyny wykonywały za mnie normę w pracy.

Dwa dni Świąt Bożego Narodzenia były wolne od pracy. Leżałam na koi słaba i wyczerpana. Myślami żegnałam się z najbliższymi. Wydawało mi się, że kończą się moje męczarnie – umieram. Byłam sama. Siostra

na rewirze. Wszystkie moje współtowarzyszki niedoli z koi umarły. Nareszcie mogłam się wypłakać, bo nikt nie patrzył na mnie w oczekiwaniu dobrych wiadomości i słów otuchy.

W święta przeszłam kryzys choroby. Dwa dni później wybrałam się w odwiedzinę do siostry. Zastałam ją siedzącą na pryczy. Przytulałam i płakałam ze szczęścia. Epidemia tyfusu szalała przez trzy miesiące. Z *Księgi Pamięci* opracowanej przez Irenę Pająk dowiedziałam się, że z naszego sierpniowego transportu kobiet z Zagłębia w 1943 roku, z przybyłych 285 osób – numery od 54 562 do 54 846 – przeżyło tylko 40. Kilkanaście spośród nich zmarło na kwarantannie, resztę zabrała epidemia tyfusu.

Codziennie odwiedzałam siostrę na rewirze. Już wstawała i uczyła się chodzić bez trzymania łóżka. Bardzo chciałam, żeby jeszcze trochę tam pozostała, nabrała sił, ale w obozie nie było rekonwalescencji. Nie wolno było przebywać na rewirze, gdy się mogło poruszać. Teraz musiałam zabiegać, żeby nas nie rozłączono, żeby siostra wróciła na blok, gdzie ją przebywałam. To zależało od blokowej. Przez kilka dni błagałam ją o to, ofiarowałam delicje z paczki. Wreszcie spełniła moją prośbę, przyjęła siostrę na blok.

Powróciła słaba, chwiała się na nogach, całe ciało ze śladami zadrapań od kretzy. Właściwie cały blok to były wybranki losu, którym udało się przeżyć tę niesamowitą epidemię. Wszystkie wyglądałyśmy jak strachy na wróble. Wychodziły nam włosy, drapałyśmy ciała zakażone kretzą i w każdej wolnej chwili wybijałyśmy wszy.

Epidemie tyfusu, duszfallu [niem. *Durchfall* – biegunka – H.R.], pęcherzycy, malarii, róży dziesiątkowały szeregi helflingów [więźniów – H.R.]. Także z tego powodu umierali esesmani. I chyba tylko dlatego od lutego 1944 roku urządzano nam skuteczne odwszenia. Nareszcie zniknęły wszy, roznosicielki wszelkiej zarazy.

A może już wtedy władza lagrowa wiedziała o zamysłach genialnego führera, że nastąpi piekielny finał wyniszczenia Żydów i my tu na lagrze służyć będziemy wysiadającym z pociągów na rampie jako dowód, że oto przyjechali do pracy. W każdym razie w Birkenau od wiosny 1944 roku działały się dziwne rzeczy.

\* \* \*

Poszukując naukowej, popularnonaukowej i wspomnieniowej literatury dotyczącej kobiecego obozu w Auschwitz-Birkenau, nie znalazłam takiej publikacji, w której nie byłoby omówione szerzej, szczegółowo lub tylko przyczynkowo, zjawisko selekcji. Termin „selekcja” nie brzmiałby groźnie, gdyby w kontekście obozu koncentracyjnego nie kojarzył się tylko i wy-



łącznie z ludobójstwem. Bo do czego w takim obozie można selekcjonować więźniów? Można ich wybrać do niewolniczej pracy lub, niezdolnych do tego, do unicestwienia, „do gazu”.

Mama wspomniała o selekcji przy okazji swojej choroby. Opisuje to, co widziała, a przede wszystkim, o czym słyszała.

## Alodia

Widziałam tylko to, co działo się w naszym obozie, ale wiem, że na męskim działo się to samo.

Więźniarki wypędzano na pole koło baraków, za druty. Trzymali je tam cały dzień, żeby potem wpuścić pojedynczo przez bramę. Esesmani w mundurach, przeważnie kobiety, ale też mężczyźni, otworzyli bramę, stanęli z jej dwóch stron i przepuszczali między sobą więźniarki. Musiały iść szybko, prawie biegiem, a oni wyciągali z tego szeregu te, które im się nie spodobały. Te, które były wybrane, trafiły do gazu. Pamiętam tę selekcję w kwietniu 1943 roku, mówili, że była największa. Potem już ich nie robili. Od stycznia byłam w obozie i już coś wiedziałam, jak tam się żyje. Esesmani niszczyli ludzi, bo jak więźniowie nie umierali w porę, to Niemcy ratowali się tymi selekcjami. Nie zawsze wybierali ludzi starych i chorych, byli też młodzi i zdrowi.

Był w obozie taki oprawca, który lubił w taki sposób uśmiercać ludzi. Pamiętam do dziś, że nazywał się Taube. Wszyscy się go panicznie bali.

Anton Taube był drugim z kolei Rapportführerem w kobiecym obozie w Birkenau. Pochodził z Wiednia. Był szczególnie okrutny dla więźniarek, potrafił znęcać się nad nimi w sposób szokujący nawet w Oświęcimiu. Za wzorową służbę awansował z czasem na komendanta podobozu w Gliwicach<sup>9</sup>.

Krótką wzmiankę o Taubem znalazłam też w internecie. Tam przypisano mu imię Adolf, ale reszta informacji dotyczy na pewno komendanta Taube. Określono go jako najokrutniejszego z esesmanów. Nie wiadomo nic o jego powojennych losach – słuch po nim zaginął.

## Lucyna

Także Lucyna wspomina, że zmorą wszystkich więźniów były apele i przeprowadzane podczas nich selekcje. Mówiły o tym zarówno Alodia, jak i Lucyna, która zapamiętała apel – jak mówi – generalny z 3 lutego 1943 roku.

---

<sup>9</sup> L. CEBÓ: *Więźniarki w obozie hitlerowskim...*, s. 46.



Wszystkich nas wypędzili za lager i stałyśmy tam cały dzień bez jedzenia. Dopiero wieczorem wpędzono nas do obozu przez bramę, a przy bramie stały Hasse i Drekslerka [Margot Drechsel – niemiecka nadzorczyń SS – H.R.] i wybierały słabe, chore więźniarki. Kierowały je do dwudziestego piątego bloku. Wybrały wtedy jedną z naszych. To była Anna Mąka, a Władka Figiel z Hyży, która też była przeznaczona do dwudziestego piątego bloku, poszła przed siebie w kierunku ubikacji, które były na końcu i nikt jej nie zaczepił. Przeszła do ubikacji i potem wróciła na blok. Bo jeszcze wtedy numerów tych wybranych nie spisywali. Reszta po apelu wróciła do swojego bloku.

Lucyna nie pamięta podobnych apeli, według niej od marca 1943 roku już ich nie robiono.

W przeciwieństwie do tego, o czym mówiła Alodia, autor książki *Więźniarki w obozie hitlerowskim w Oświęcimiu-Brzezince* Lechosław Cebo pisze, że selekcji dokonywano tylko spośród więźniarek i więźniów niezdolnych według SS do pracy, chorych zakaźnie i chorych nienadających się do dalszego leczenia. Organizowano je najczęściej w czasie epidemii, przede wszystkim tyfusu. Generalna selekcja w całym obozie kobiecym odbyła się w lutym 1943 roku – Mama mówi o kwietniu, zatem musiała to być kolejna duża selekcja.

Cebo pisze, że między godziną 4.00 a 5.00 rano zorganizowano apel, na którym musiały być obecne wszystkie kobiety, nawet chore ze szpitala – niektóre przyniesiono na noszach. Na pobliskiej łące trzymano więźniarki przez cały dzień bez jedzenia, do godziny 14.00–15.00 po południu. W ciągu całego dnia dziesiątkowano obóz – selekcjonowano więźniarki. Te wybrane kierowane były do „baraku śmierci” numer 25 – przebywały tam z reguły przez kilka dni, po czym autami zabierano je do komór gazowych. Niektóre z wycieńczenia umierały w tym baraku, ich zwłoki zabierano razem z żywymi. Te kobiety, które usiłowały jakoś się bronić, były bite i kopane przez esesmanów i esesmanki.

W późniejszym okresie selekcje miały miejsce podczas codziennych apeli, raz na tydzień, a czasami częściej. Do bloku numer 25 wybierano wszystkie chore z opuchlizną nóg albo „wyrzutami” na twarzy i ciele.

Na przełomie 1943 i 1944 roku, w czasie kolejnej epidemii tyfusu, do więźniarek dotarła wiadomość, że ówczesna komendantka Birkenau proponowała władzom obozowym zabicie w komorach gazowych wszystkich więźniarek z obozu kobiecego, głównie po to, żeby skutecznie zlikwidować epidemię. Na szczęście władze w Berlinie (Inspektorat Obozów Koncentracyjnych) nie zgodziły się na to, ale zgodziły się na zabicie w komorach wszystkich chorych. Zginęło wtedy około 6 tysięcy więźniarek.

W styczniu 1943 roku zaprzestano organizowania selekcji wśród aryjek. Przynajmniej ten mechanizm ludobójstwa ominął Mamę przywiezioną w tym samym miesiącu do Auschwitz-Birkenau.

To, czego Mama była świadkiem – selekcji podczas powrotu z pracy – opisuje także Cebo. Podkreśla tu rolę Taubego, który często brał w takich selekcjach udział. Miał w zwyczaju stawać przy bramie i trzymać laskę na wysokości około 50 centymetrów – miały przez nią przeskakiwać więźniarki. Te, które przeskoczyły, szły do swoich bloków; te, którym to się nie udało, kierowano do najbardziej znienawidzonego bloku – numer 25<sup>10</sup>.

Irena Strzelecka, wybitna znawczyni realiów życia w obozie kobiecym w Brzezince dodaje: „Jeden z apeli, które zapamiętały wszystkie więźniarki odbył się w lutym 1943 roku. O godzinie 3.30 rano wszystkie więźniarki z wyjątkiem chorych przebywających w rewirze wyprowadzono za obóz na tzw. błonia [Mama mówi o polu, inni o łące – H.R.]. Dozorowali je esesmani z wytresowanymi psami. Apel trwał kilka godzin, po czym zaczęto więźniarki wprowadzać pojedynczo przez bramę na teren obozu. Każda musiała biec wzdłuż szpaleru esesmanów. Te, które oceniono jako słabe i chore, esesmani za pomocą lasek chwyтали za szyję i kierowali do grupy więźniarek już skazanych na śmierć. Trafiwały tam nawet te, które tylko potknęły się lub upadły na oblodzonej ziemi”<sup>11</sup>. Potem już tylko czekał te kobiety blok numer 25...

Selekcje robiły też więźniarki funkcyjne – między innymi Starostka. Na apelu czy w blokach zapisywała numery tych kobiet, które jej zdaniem źle wyglądały. Nie trzeba dodawać, że kierowano je do bloku śmierci.

To samo dotyczyło kobiet wyselekcjonowanych w szpitalu – dla więźniarek były to „wybiórki na gaz” organizowane przez lekarzy obozowych SS. Przed lekarzem, sanitariuszem i naczelną lekarką przechodził szereg więźniarek rozebranych do naga. Lekarz gestem ręki wskazywał te, które przeznaczono do komór gazowych. Te szpitalne selekcje do kwietnia 1943 roku obejmowały wszystkie więźniarki – zarówno Żydówki, jak i „aryjki”; później, po kilkumiesięcznej przerwie w selekcjonowaniu chorych, po wznowieniu tego szczególnego wyboru, objęto nim tylko Żydówki. Lekarze obozowi dokonywali także tak zwanych selekcji rampowych – tuż po przybyciu do Oświęcimia nowych transportów uwięzionych rozpoczęto oddzielanie zdolnych do pracy mężczyzn i kobiet od uznanych za nieprzydatnych ludzi starych, chorych, kalekich i kobiet z małymi dziećmi<sup>12</sup>.

---

<sup>10</sup> Ibidem, s. 64.

<sup>11</sup> I. STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz...*, s. 26.

<sup>12</sup> M. CIESIELSKA: *Szpital obozowy dla kobiet w KL Auschwitz-Birkenau (1942–1945)*. T. I. Warszawa, Biblioteka Muzeum Historii Medycyny Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, 2015, s. 20.

Latem 1944 roku więźniarki mogły odetchnąć przynajmniej z jednego powodu – blok numer 25 przestał być blokiem śmierci, a jesienią tego samego roku zaprzestano w obozie selekcji. Wiązało się to z rozkazem zaprzestania zabijania gazem Żydów. Rozkaz ten nie wynikał ze zmiany myślenia faszystów o Żydach, ale z tego, że sytuacja Niemców na frontach była bardzo niepomyślna; zrodziła się obawa przed odpowiedzialnością za zbrodnię ludobójstwa, a poza tym brakowało w Rzeszy rąk do pracy. Tylko te uwarunkowania uratowały tych, których nie zdążono posłać „do gazu”<sup>13</sup>.

---

<sup>13</sup> I. STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz...*, s. 62–66; O selekcjach, zwłaszcza „muzulmanów”, czyli skrajnie wycieńczonych więźniów z powodu choroby głodowej, pisze ich świadek Herman Langbein: H. LANGBEIN: *Ludzie w Auschwitz*. Oświęcim, Wydawnictwo Państwowego Muzeum Oświęcim-Brzezinka, 1994, s. 126–145.

## Rozdział V

# PRACA

Jak należałoby nazwać pracę wykonywaną przez ludzi zamkniętych w obozie koncentracyjnym? Ubolewam nad tym, że nie mogę znaleźć odpowiedniego, innego niż „praca” określenia na to, do czego zmuszani byli więźniowie w hitlerowskich obozach, do czego byli zapędzani, a niektórzy, nie dość wytrzymali lub nie dość subordynowani, stracili przez to życie. Z czym kojarzy się praca? Z dobrowolnością, wynagrodzeniem za nią, możliwością jej porzucenia lub zmiany. To, do czego zmuszani byli więźniowie w hitlerowskim obozie, to praca niewolnicza – tak bywa nazywana najczęściej przez tych, którzy jej doświadczyli.

W Auschwitz-Birkenau dzień roboczy rozpoczynał się latem o godzinie 4.30, a zimą o godzinę później. Na dźwięk pierwszego gongu więźniowie musieli wstać, dokładnie uporządkować baraki czy inne pomieszczenia, spróbować umyć się i napić „kawy” lub „herbaty”. Po drugim gongu biegali na apel. Ustawiali się według bloków, w rzędach po 10 osób, żeby można było sprawdzić stan osobowy obozu. W przypadku jakichkolwiek nieścisłości apel przedłużał się nawet o kilka godzin. Po jego zakończeniu formowano komanda, które wychodziły do pracy przy dźwiękach muzyki – utworów granych przez obozową orkiestrę... Żeby maksymalnie wykorzystać czas, poranne apele zlikwidowano w lutym 1944 roku.

Niewolniczą pracę więźniowie wykonywali na terenie obozu i poza nim. Od końca marca 1942 roku czas pracy wynosił 11 godzin, ale latem był wydłużany i skracany zimą. W środku dnia, między godziną 12.00 a 13.00, więźniowie mieli przerwę na „obiad”. Eskortowane przez esesmanów komanda wracały przed zmierzchem do obozu. Często więźniowie nieśli ze sobą zwłoki kolegów, którzy zmarli lub zostali zabici w czasie pracy. O godzinie 19.00 odbywał się apel wieczorny, po nim dostawało się kromkę chleba z „dodatkiem”, a potem następował czas wolny. Wtedy uwięzieni usiłowali się umyć, mogli odebrać pocztę (od 1942 roku także

paczki) lub raz na dwa tygodnie wysłać do rodziny oficjalny list. Niedziele i święta były wolne od pracy<sup>1</sup>.

## Alodia

Zaraz na początku mojego pobytu jedna z więźniarek należąca do naszego komanda uciekła z miejsca pracy, które znajdowało się daleko poza obozem. Na to miejsce mówiło się „Budy”, chociaż żadnych bud tam nie było. Wtedy dowiedziałam się, co to znaczy być w obozie koncentracyjnym. Czekala mnie najgorsza ze wszystkich nocy: szybko, prawie biegiem, przepędzono nas z pracy polegającej na kopaniu rowów do obozu i trzymano za karę przez całą noc na dworze. Za ciasne drewniane buty, w jakich wszyscy chodziliśmy, poraniły mi stopy, ledwo trzymałam się na nogach. Karano nas za to, że ta jedna więźniarka uciekła, a żadna z nas nie powiedziała o tym, nawet jeżeli o ucieczce wiedziała. Tę uciekinierkę i tak złapano i przywieziono z powrotem do obozu. Przecież ona nie miała dokąd uciec, podobno całą jej rodzinę zabrano do Oświęcimia. Mówiło się także, że za ucieczkę kogoś z obozu karano i szykanowano całą rodzinę, która pozostawała na wolności. Myślałam sobie wtedy, że trzeba się dobrze zastanowić, czy ucieczka ma jakikolwiek sens. Niemcy z taką zjadłością tropili uciekinierów, że szanse mieli tylko dobrze przygotowani. Takie przypadki też miały przecież w Oświęcimiu miejsce.

Wspomniane przez Mamę Budy to miejscowość koło Oświęcimia, gdzie w latach 1942–1944 pracowali więźniowie – mężczyźni i kobiety – w kilku podobozach. Pracowali w gospodarstwach rolnych SS, przy pracach melioracyjnych (to właśnie to kopanie rowów, do którego skierowano Mamę) i przy oczyszczaniu i pogłębianiu stawów rybnych. Takie wiadomości zawiera oficjalna strona internetowa KL Auschwitz<sup>2</sup>. Budy to jedno z komand, w którym więźniarki były wyjątkowo źle traktowane, szykanowane, szczute psami i często zabijane. Praca więźniarek polegała głównie na kopaniu rowów, co w okresie deszczów było szczególnie uciążliwe<sup>3</sup>.

Za jakiś czas uciekła z naszego komanda kolejna więźniarka. To było to najgorsze, co mogło nas spotkać. Znowu ustawili nas pod bramą do naszego obozu na całą noc i tym, które zostały, wymierzono – wybiórco – karę 25 batów.

---

<sup>1</sup> [www.auschwitz.org/historia/zycie-w-obozie/porzadek-dnia/](http://www.auschwitz.org/historia/zycie-w-obozie/porzadek-dnia/) [dostęp: 10.11.2018].

<sup>2</sup> [www.auschwitz.org/historia/podobozy/](http://www.auschwitz.org/historia/podobozy/) [dostęp: 10.11.2018].

<sup>3</sup> I. STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz*. „Głosy Pamięci” nr 12. Oświęcim, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, 2016, s. 28.

Komandem nazywano podstawowe komórki w organizacji pracy w nazistowskich obozach koncentracyjnych. Na ich czele stali owi kapo, o których wspominała Mama. Jej komando było duże. Mama mówiła o około 100 osobach, chociaż inne mogły liczyć kilkunastu czy kilkudziesięciu więźniów, a niektóre nawet kilka tysięcy. W Mamy grupie przeważały Polki.

W czasie tego wydarzenia była z nami ta nasza blokowa Stenia i to ona wybierała więźniarki do wymierzenia batów. Niektóre błagały ją o litość. Rzeczywiście jakoś manipulowała nami tak, że nie wszystkie wyciągała z szeregów i nie wszystkie więźniarki dostawały te baty. Polki przesuwaly się do tyłu, a Stenia typowała do wymierzenia kary głównie Żydówki. Mnie ta kara ominęła. Chyba dlatego, że ci dwaj mężczyźni, którzy wymierzali karę, byli w końcu porządnie zmęczeni, potłął się z nich ciurkiem, w końcu odłożyli pejce i na tym wymierzanie kary się skończyło. Stałyśmy na dworze do rana i z apelu, zmęczone i niewyspane, poszłyśmy prosto do pracy. Nasze komando zasłynęło jako najgorsze, zawsze do pracy prowadzili nas esesmani z psami. Nie było łatwo uciec z tych Bud, czyli naszego miejsca pracy. Jednak tej więźniarce jakoś się udało. Były tam domki cywilne i właśnie wśród nich gdzieś się schowała. Chyba pod pasiakiem miała cywilne ubranie.

Kara ominęła też Lucynę, która najpierw pracowała w komandzie nazywanym Kanadą – było to według relacji Mamy najlepsze komando. Stąd zapewne pochodzi jego nazwa. Tu jednak kara jej nie ominęła.

To były magazyny, w których gromadzono rzeczy przywożone do obozu przed Żydów. Były to bardzo porządne rzeczy, w pamięci utkwiły mi na przykład puchowe kołdry. Tym dobytkiem obdarowywano niemieckich żołnierzy, wianowano ich wtedy, kiedy się żenili. Tam pracowała Lucia, ale straciła tę pracę. Sama sobie zaszkodziła. W stosie kołder zrobiła sobie kryjówkę, w której chowała się i w czasie pracy spała. Kiedyś tak mocno usnęła, że nie zauważyła, że jej komando poszło już po pracy do lagru. Jej brak niemiecka strażniczka zauważyła dopiero przy obozowej bramie, zrobił się szum, bo wszyscy myśleli, że Lucyna uciekła, a wiadomo było, co za to groziło całej grupie. Lucia jakoś się jednak odnalazła, przerażona i przekonana, że wezmą ją „do gazu”. Nic jej nie zrobili poza tym, że usunęli ją z tej Kanady. To była dla niej wielka krzywda, bo tam miała dostęp do różnych luksusowych rzeczy. Nosiła pod pasiakiem dobrą, ładną bieliznę, dla swoich znajomych też coś zawsze wynosiła. Już nigdy w życiu takiej bliskiej przyjaciółki nie miałam.

Budzono nas, a właściwie wypędzano z prycz wcześniej rano, jak tylko się rozwidniło. Chyba nie o stałej godzinie, bo latem było to bardzo wcześniej, około 4.00 rano, a zimą później. Musiałyśmy wstawać bez

względu na pogodę, i w deszcz, i w upał czy mróz. Wychodziłyśmy na apel. Wszystkie nienawidziłyśmy tych apeli, bo czasami trzeba było na placu apelowym stać godzinami, a strażnicy liczyli i liczyli więźniarki. Często rachunek im się nie zgadzał, więc liczenie zaczynało się od początku. Czasami któraś z nas zachorowała, czasami niestety umarła i już rachunek się nie zgadzał. Apele nas wykańczały, każdego złamałyby, ale ja wytrzymałam.

Do pracy wychodziłyśmy o głodzie. Dostawałyśmy rano tylko czarną kawę. Nie zawsze miałam na nią ochotę, bo była wyjątkowo niedobra. Tę kawę przynosiło się do baraku w wielkich kotłach.

Na początku dostałam się do komanda, którego zadaniem było kopanie rowów. Jednego dnia kopałyśmy je, a drugiego zasypywałyśmy, bo pracy nie starczało dla wszystkich. W pracy spędzałyśmy cały dzień, do bloku nie wolno było podczas dnia wejść pod żadnym pozorem, nie było mowy o choćby krótkim odpoczynku na pryczy. Bloki były cały dzień zamknięte i pilnie strzeżone przez wartowniczeki. Do bloku można było wejść dopiero wieczorem, po apelu.

Wieczorny apel był katogą, byłyśmy po pracy bardzo zmęczone i głodne. Co prawda, w południe przywożono tam, gdzie pracowałyśmy, kotły z jedzeniem, ale jak zwykle była to byle jaka zupa.

Czasem kusiło mnie, żeby nie iść do pracy, bolały mnie nogi, drewniaki, które dostałam, były bardzo niewygodne. Ale gdzie bym się wtedy schowała? Strażnicy, ci nasi oprawcy, kiedy tylko zauważyli więźniarki błąkające się między barakami, organizowali dla nich dodatkowy apel. Zaczynała się selekcja. Strażnik świdrował więźniarki wzrokiem i niektórym kazał wystąpić z szeregu. Wiadomo było, że jej już nie zobaczymy. Wydawało się, że jak uda nam się nie iść do pracy, to będzie to dzień odpoczynku, a tymczasem można było przez ten wybieg stracić życie. Taka była kara za wymigiwanie się od tej beznadziejnej, nikomu niepotrzebnej pracy. Ukrycie się na terenie lagru oznaczało też głodowanie przez cały dzień, chyba że któraś dostała paczkę i miała jakieś swoje zapasy jedzenia. Jeden raz spróbowałam ułatwić sobie życie i nie poszłam do pracy. Zostałam w lagrze, ale musiałam stawić się na dodatkowy apel. Bardzo źle to zniosłam, drętwiałam ze strachu w czasie selekcji, śmierć zajrzała mi w oczy. Więcej nie odważyłam się na taki krok.

Po pracy wszystkie komanda wracały do obozu i ustawiano nas, znowu piętkami, do apelu. Stałyśmy i czekałyśmy aż wszystkie więźniarki wrócą z pracy i dołączą do nas. Znowu zaczynało się liczenie, nigdy się stan więźniów nie zgadzał, więc zaczynało od początku i tak było codziennie.

Wieczorem dostawałyśmy kawałek chleba, ale nic do picia. Cały blok podzielony był na cztery części, na które mówiłyśmy „sztuby”. Zarzą-



dzały nimi sztabowe, a całym blokiem blokowa. To była ważna figura, miała przy bloku swój pokój. Sztabowe spały razem z innymi więźniarkami, ale całą pryczę miały dla siebie. Reszta musiała gnieździć się po pięć czy sześć na jednej pryczy. Jedna z moich koleżanek miała siostrę, która była sztabową, więc chodziła do niej spać na tę wygodną pryczę. Bardzo jej tego zazdrościłyśmy.

Po chorobie przydzielili mnie na blok tej sławnej Steni. Zaraz pierwszego dnia dostałam od niej kijem. Za to, że nie stałam prosto, tylko wystawałam z szeregu, bo po prostu byłam słaba i chwiałam się na nogach. To był pierwszy dzień po powrocie z rewiru – nadzieja na dalsze życie. W tym czasie otwarto nowe komando – Weberei – dla wychodzących ze szpitala. Nie trzeba było pracować na powietrzu, tylko w baraku, praca była też łżejsza. I ja się tam dostałam, przypadkiem. Temu przypadkowi zawdzięczam życie.

Komando Weberei<sup>4</sup> pracowało na terenie obozu, w utworzonym warsztacie tkackim, ale nie na rzecz obozu, ale dla firmy SS Deutche Ausrüstungswerke. Wytwarzano tam z odpadków celofanu warkocze do produkcji wycieraczek, robiono paski, uszczelki gumowe do łodzi i tym podobne. Dziewczęta zatrudnione tam, także Alodia, Lucyna, Maria i Miecia, nie znały, jak wynika z ich relacji, dokładnego przeznaczenia produkowanych elementów.

Praca w Weberei polegała na wyplataniu warkoczy z – często nasyconych smołą – pasków skóry, celofanu, gumy i szmacianych gałganów, uzyskanych z pociętych lumpów, czyli gorszej jakości odzieży po ofiarach masowej zagłady, nienadającej się do wysyłki do Niemiec. Według relacji byłych więźniarek, warkocze te wykorzystywane były do uszczelniania łodzi i czyszczenia luf armatnich.

Z zachowanych dokumentów wynika, że pracowały tam przeważnie więźniarki odbywające rekonwalescencję po przebytych chorobach. Więźniarki szły do Weberei zadowolone, że miały pracę pod dachem. I była to jedyna zaleta tego komanda, w którego budynkach unosiły się tumany kurzu, wywołujące wiele schorzeń u pracujących, a przede wszystkim zapalenie krtani. Niektóre szybko wracały do szpitala<sup>5</sup>.

Tkałyśmy taśmy szerokości 10–12 centymetrów. Zwijało się je na koła po 50 metrów. Każda więźniarka miała określoną ilość metrów do zrobienia. Komando to liczyło około 2 tysiące osób. Było sporo greckich Żydówek, które wykonywały najgorszą pracę z możliwych – smołowały parciany sznurek, z którego my dalej robiłyśmy osnowę do pasów. Nie-

<sup>4</sup> Ibidem, s. 31.

<sup>5</sup> L. CEBO: *Więźniarki w obozie hitlerowskim w Oświęcimiu-Brzezince*. Katowice, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 1984, s. 98–99.

rzadko miały okropnie skrwawione ręce. Czasami jednak pozwalano im coś sobie śpiewać. Były to prawdziwe artystki! Pamiętam, jedna z nich, Stella, szczególnie pięknie śpiewała. W ogóle Greczynki były bardzo delikatne i często chorowały. Naszą koleżanką była niejaka Flora, też Greczynka. Często odstępowałyśmy jej po kawałku chleba. Z wdzięczności nauczyła się ładnie mówić po polsku. Nie wiem, czy przeżyła obóz. Była chuda, wysoka, za bardzo rzucała się w oczy podczas selekcji. W Weberei poznałam też polską Żydówkę Paulę. Spotkałam ją po wojnie w Częstochowie, podobno wyjechała do Stanów.

Strażnik codziennie, pod koniec dnia, mierzył zrobione przez nas pasy i farbą zaznaczał, ile się go w danym dniu zrobiło. Z czasem nauczyłyśmy się ułatwiać sobie pracę i oszukiwać strażnika. Wypruwałyśmy końcówkę pasa pomalowaną farbą, udając, że zrobiłyśmy go więcej. Dzięki temu w jednym dniu w tygodniu każda z nas mogła nie tknąć pasów, bo niby miała już wyrobioną normę. Przecież nie było sensu, żeby uczciwie poświęcać się pracy. Pasy te wykorzystywano chyba w wojsku.

Lola nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie mógł za sobą pociągnąć ten swoisty sabotaż. Z właściwą młodemu wiekowi beztróską uznała, że dobrze jest ułatwić sobie życie poprzez to małe, ale niebezpieczne oszustwo. Niewolnicza praca szybko budzi takie chęci, co potwierdza wiele relacji z różnych obozów koncentracyjnych, przymusowych robót w niemieckich gospodarstwach rolnych, fabrykach, kopalniach i tym podobnych miejscach.

To miejsce pracy było jednym z najlepszych. Pracowałyśmy pod dachem, niestraszny był deszcz czy śnieg, chociaż upał często nam tam dokuczał. To było bardzo duże komando, kiedy, jak zawsze piątkami, szłyśmy do pracy, nie było widać ani jego początku, ani końca. Codziennie przechodziłyśmy koło męskiego obozu i chociaż pilnowały nas esesmanki, mężczyźni, zanim sami poszli do pracy, wychodzili z baraków i podchodzili do oddzielających ich obóz drutów. Kiedy rozpoznali jakąś kobietę ze swojej rodziny – były tam matki, siostry, kuzynki – przerzucali jej przez druty jakieś paczuszki, chyba drobne upominki, może nawet coś do jedzenia. Wiele kobiet korzystało z tej pomocy, zwłaszcza jeżeli miały w tym męskim lagrze kogoś na jakimś zarządczym stanowisku. Oczywiście nie wolno było tego robić, ale esesmanki nie mogły wszystkiego kontrolować i zauważyć, bo czasami były tylko dwie lub trzy do pilnowania naszego całego komanda. Zdarzało się, że te paczuszki spadały na ziemię i rozsypywały się, ale wiedziałyśmy dla kogo ich zawartość jest przeznaczona, więc oddawałyśmy je tym koleżankom.

Nie wszyscy jednak mogli kobietom ze swoich rodzin pomagać. Pamiętam, że pracowała z nami Żydówka greckiego pochodzenia, Flora.

W męskim obozie miała brata. Był on tak biedny, że tylko przychodził pod druty i zamieniał z Florą kilka zdań. Widziałam, jak bardzo się z tego cieszyła. Jednak po pewnym czasie brat przestał się pokazywać, powiedziano Florze, że zmarł. Flora też miała małe szanse na przeżycie. Mieszkała w naszym baraku, pracowała też w tym Weberei. Należała do najbiedniejszych Żydów, więc jak mogliśmy, tak ją wspierałyśmy. Nauczyła się nawet kilku słów po polsku, żeby się do nas przymilić i coś od nas dostać. Byłyśmy przecież w dużo lepszej sytuacji niż ona. Prawie każda dostawała z domu paczki z jedzeniem, więc jakoś ją ratowałyśmy kromką chleba czy czymś innym. Flora była strasznie chuda, co dodatkowo pogarszało jej sytuację. Co pewien czas Niemcy urządzali na placu apelowym tzw. selekcję. Ustawiali wszystkie Żydówki rozebrane do naga i wybierali – wiedzieliśmy, że do komór gazowanych – co bardziej słabe i chude. Flora zawsze brała udział w tych selekcjach, ale udawało jej się jakoś wywinąć od śmierci. Może dlatego, że w trakcie tego apelu stroiła takie śmieszne miny, uśmiechała się, nie okazywała strachu. My, Polki, szłyśmy w tym czasie do pracy i zawsze życzyłyśmy Florze, żeby po selekcji wróciła do nas.

Żydówki zdawały sobie sprawę z tego, że jak zostaną wybrane w tej selekcji, to już do swojej grupy i baraku nie wrócą. Kierowano je do bloku numer 25, pod który w nocy podjeżdżały samochody i zabierały zgromadzone tam więźniarki do komór gazowych. Nawet moja koleżanka Józia [Józefa Drożdż – H.R.] spędziła tam jedną noc, czekając na śmierć. Było to tak.

Józia, podobnie jak ja, zachorowała. Po chorobie i pobycie w szpitalu była tak słaba, że chyba dlatego wybrali ją w selekcji i zamknęli w baraku numer 25 – mówili o nim „barak śmierci”. Trudno uwierzyć, że uratowała ją paczka od rodziny. Okazało się, że w tym samym dniu, kiedy Józia trafiła do baraku 25, przysłała do niej ogromna, aż pięciokilowa paczka z różnymi, atrakcyjnymi rzeczami do jedzenia, włącznie z zapomnianą już przez nas kielbasą. Chyba cała rodzina musiała się złożyć, żeby taką paczkę postać, bo w domu Józii też panowała bieda. Poszukiwano jej przez cały dzień i wreszcie ktoś odnalazł ją w tym bloku śmierci. Dwie Żydówki zajmujące się tam więźniarkami, a przede wszystkim wyprowadzaniem ich w nocy do samochodów podwożących je do krematoriów, zaproponowały Józii układ: jeżeli odda im ten skarb-paczkę, one umożliwią jej wydostanie się z bloku 25 i w dodatku załatwią jej lekką pracę w kuchni. Józia oczywiście się zgodziła, wiedziała, że dla Żydówek, które paczek nie dostawały, bo ich rodziny zgładzono, była to nie lada okazja do zjedzenia czegoś innego niż obozowe jałowe jedzenie. Miały ucztę chyba przez dwa tygodnie.

Wyciągnęły Józję z baraku numer 25 i rzeczywiście załatwiły jej pracę w kuchni. Nie było to łatwe, ale zdarzało się, ponieważ wiele osób i w tym baraku 25 i w bloku szpitalnym umierało. Można było jakoś

zamienić osobę umarłą na żywą i odwrotnie, bo liczyła się przede wszystkim liczba więźniów – tu wszystko musiało się zgadzać.

Józia opowiadała mi o swojej pracy w kuchni. To była dobra praca, chociaż przy wielkich kotłach. Kuchnia była ściśle strzeżona, zawsze stała w niej esesmanka z bronią. Pilnowała, żeby więźniarki niczego nie ukradły i nie wyniosły poza kuchnię, a pokusa była wielka, bo wszyscy byliśmy stale głodni. Co groziło za wyniesienie czegokolwiek z kuchni, doświadczyła inna nasza koleżanka z Sosnowca, nieco od Józi i ode mnie starsza, Stefa Grabowska. Dowiedziała się jakoś, że Józia pracuje w kuchni, skontaktowała się z nią i od czasu do czasu przychodziła pod kuchenny barak, licząc na to, że może Józi uda się coś wynieść do jedzenia. Czasami, ale bardzo rzadko, to się udawało. Stefę wkrótce wypatrzyła strażniczka i poszczuła na nią psy. Dotkliwie ją pogryzły, widziałam później, po powrocie do domu, brzydkie, głębokie szramy, a właściwie wygrzyzione dziury na jej nogach.

Chociaż więźniarkom pracującym w kuchni rzadko udawało się coś wynieść poza kuchnię, same nie cierpiały głodu. Zawsze jakoś mogły coś po kryjomu zjeść – gęściejszą, tłuszcieszą zupę czy dodatkowy kawałek chleba. Józia pracowała w kuchni do samego końca pobytu w obozie.

Codziennie do pracy i z pracy chodziłyśmy między obozem męskim i bodajże czeskim. Za tymi obozami było komando Weberei. Codziennie oglądałyśmy przyjeżdżające coraz to nowe transporty i dymiące kominy krematorium. Z reguły nie nadążano z paleniem zwłok, dlatego palili też na stosach w Brzezince, pod lasem. Zawsze nas otaczał okropny zapach.

## Lucyna

Lucia pracowała od początku na terenie obozu i poza nim, w Oświęcimiu.

Trafiłam do pracy w tzw. czerwonym efekcie – bo był „biały” i „czerwony” efekt, ja byłam w czerwonym i chodziłam do miasta Oświęcimia, w pobliże obozu męskiego. To było w styczniu 1943 roku. Bo pierwszą naszą wigilię spędziłyśmy jeszcze na kwarantannie.

Lucyna wspomina, że dzień wigilijny w 1942 roku zapadł jej w pamięć ze względu na przykre wydarzenia:

Wyprowadzili nas na apel, bo był rano i wieczorem, wtedy pani Lis zaniósła swoją córkę Helkę, która była kaleką, do 25 bloku. A znów inna więźniarka zaniósła tam swoją matkę. I to było takie pierwsze na-

sze przeżycie wigilijne. Wigilia, orkiestra, a one zaprowadzone zostały do 25 bloku.

Wiadomo, że z tego bloku droga prowadziła tylko w jednym kierunku: do krematorium.

Lucia rozpoczęła pracę w „czerwonym efekcie”, nie dociekając, skąd się wzięła nazwa tego miejsca. Jej praca polegała na sortowaniu rzeczy przywiezionych do obozu przez żydowskich więźniów.

Tam było wszystko – ubrania, złoto, stosy chleba, smalec i można było ukradkiem coś zjeść, ale jak post zobaczył, to mógł zabić. Jednak głód był silniejszy niż strach. Myśmy sortowały ubrania, a mężczyźni odnosili je do jakiejś parowni, ale tego to ja nie widziałam. Kiedyś znalazłam w skarpacie ukryte złoto.

Więźniarki pracowały w sortowni we własnych pasiakach, ale Lucyna wspomina, że można było coś z sortowanych rzeczy na siebie włożyć:

Można było zmienić sobie sweter, ubrać nową bieliznę, to był skarb. Codziennie nam robili rewizję, kazali się rozebrać do naga. Ale ubierałyśmy na siebie jakieś rzeczy, które potem dawało się koleżankom, a następnego dnia zakładało się nowe ubrania. Jednej z koleżanek przyniosłam sweter.

Lucyna spędziła w „czerwonym efekcie” około trzy miesiące, po czym wraz z trzema innymi więźniarkami została od tej pracy odsunięta. Wspomina wydarzenie, które Mama opisała po swojemu:

Przyczyniło się do tego takie zdarzenie. Kiedyś, chyba to było w marcu, szybko uporałyśmy się z wykonaniem normy i *Oberscharführer*, który nas pilnował, pozwolił nam się położyć i przespać. Zasnęłyśmy tak głębokim, wolnościowym snem, że nie zauważyłyśmy, kiedy komando wyszło do obozu. Zawsze nas bardzo dokładnie przeliczano, a tego dnia jakoś nie. [...] Kiedy komando doszło do torów kolejowych, post zauważył, że brakuje trzech więźniarek. Całe komando wróciło po nas, a my jeszcze spałyśmy. Jak oni nas zaczęli bić, Boże kochany. Karabinami, czym się dało. Co jedna upadła, to drugą. Bili nas tak przez całą drogę do obozu. W obozie aufzejerka zameldowała, że chciałyśmy uciec. No to śmierć nas czekała. Na apelu powiedziano, że sąd będzie dopiero wieczorem. I cała ta nocna zmiana, bo myśmy pracowały wtedy na nocnej zmianie, po tym apelu poszła spać. Nie położyłam się wcale, bo nie mogłam zasnąć. Tak się bałam tej śmierci, że wyszłam za blok, nzbierałam kilka kawałków szkła i postanowiłam je połknąć, jeżeli na apelu ogłoszą, że zostaniemy skierowane do 25 bloku. Na apelu

wieczornym kazali wystąpić tym trzem więźniarkom, które chciały uciec. Wystąpiłyśmy. Zapytali, czy umiemy mówić po niemiecku. Odpowiedziałyśmy, że nie. Wyszła wtedy Ślżaczka, chyba kapo i ona tłumaczyła. Wyjaśniałyśmy, dlaczego tak się stało, ale nie chcieli w to uwierzyć. I chyba tylko dlatego, że wyglądałyśmy schludnie, czysto, byłyśmy młode, darowano nam 25 blok i skierowano nas do pracy na Aussen [na zewnątrz – H.R.]. To nie była dla nas żadna kara, pracy w polu się nie bałyśmy. To był cud po prostu. Bo wtedy za niewielkie przewinienie – spóźnił się ktoś parę minut na apel – kierowano na 25 blok. Od stycznia do marca prawie codziennie były selekcje, wybierano kobiety do 25 bloku. A nam tak cudownie jakoś przeszło. Następnego dnia rano dostałyśmy się do komanda numer dziewięć. Więźniarki jeszcze w bloku informowały nas, które komando jest dobre, gdzie jest dobry komandofirer, do którego warto było się dostać. Nam się udało. Nasz komandofirer był dobry, jak nie-Niemiec.

Potem Lucyna zachorowała, a po wyzdrowieniu, czy raczej po prostu po stanięciu na nogi, wróciła do pracy w polu. Zamieszkała w bloku numer 7:

Przyszła blokowa z tego bloku i ja się zgłosiłam do niej. Miała na imię Zosia, ale nie była za dobra.

Nie mogłam jeszcze chodzić do pracy, bo byłam bardzo słaba po chorobie i zostałam na łagrze. Ale to też nie było za dobre i wolałam iść w pole. Jedna z koleżanek zabrała mnie do swojego komanda, koleżanki prowadziły mnie do pracy.

Lucyna nie pamięta dokładnie, gdzie to było, wspomina, że gdzieś za Oświęcimiem, może między Budami a Oświęcimiem:

Tam odzyskałam trochę zdrowia, sił. Komendant był bardzo dobry dla nas, pozwalał rozpalić ognisko i zagotować wody ze stawów. Pozwalał nosić tylko po jednej darni, a nie po dwie, jak to robili inni.

W kwietniu Lucyna i jej koleżanki przeżyły dramatyczne chwile – kolejny raz otarły się o śmierć.

Okazało się, że uciekła jedna warszawianka, ale złapali ją, a my miałyśmy być zdziesiątkowane. To był kwiecień. Co dziesiąta miała iść na 25 blok. Na szczęście na mnie nie trafiło.

Uciekinierkę zatłuczono kolbami karabinów w miejscu, w którym została znaleziona.

Ze wspomnień Lucyny wynika, że komando, w którym pracowała, mieszkało w Budach. Były pilnowane przez aufzejki i esesmanów.

Zrobili nam też takie odswszawianie na początku. Wprowadzili nas pomiędzy druty ogrodzenia i tam cały dzień czekałyśmy. W porównaniu z Brzezinką w Budach były znacznie lepsze warunki. Przede wszystkim nie widziało się tych wszystkich trupów, selekcji, tego wszystkiego. Jedzenie też było tam lepsze. W Budach była kuchnia, gdzie gotowano jedzenie. Ale jesienią wróciłam, bo tam było tylko letnie komando.

Po powrocie z Bud, jesienią, Lucyna trafiła do bloku numer 21. Wróciła też do kopania rowów:

Kopałyśmy rowy szerokie i głębokie na dwa metry. Rosjanki poskarżyły się, że aufzejkerki okradają nas z chleba. Na drugi dzień po wieczornym apelu od razu zaprowadzono nas na dziedziniec 25 bloku. Tam wystawiono stół i zrobiono chłostę, każda miała dostać dwadzieścia pięć batów. Lagerälteste [starsza obozu – H.R.] Stenia zobaczyła mój numer, podeszła do mnie i zapytała, czy jestem Polką. Powiedziałam że tak, że dopiero dwa dni temu wróciłyśmy z Bud i dołączono nas – 50 osób – do tego komanda.

Stenia ujęła się za kobietami pracującymi wcześniej w Budach i przekonała Niemca o nazwisku Schulz, że są niewinne. Ten kazał wystąpić tym wszystkim więźniarkom, które pracowały w Budach i zwolnił je z chłosty.

Stałyśmy tam do wieczora i dopiero wieczorem nas wypuścił.

Zimą Lucyna trafiła do komanda Weberei. Tam, razem z Lolą, pracowały całą zimę, wiosnę i lato, aż do października 1944 roku. Lucyna zapamiętała, że to komando zajmowało kilka baraków położonych za cygańskim lagrem. Więźniarki docierały tam, mijając obóz męski – ich odcinki BIIc i BIIId – i kierowały się w stronę krematoriów i dołów, w których spalano ciała.

Pomimo znacznych niedogodności i zagrożenia dla zdrowia, Lucyna podobnie jak Lola, chwaliła sobie pracę w Weberei:

Tam praca była dobra. Cięłyśmy pasy z celofanu, z których plotłyśmy warkocze. Miałyśmy do tego specjalną maszynkę. Należało wykonać normę – 6 metrów, ale ja tego nie mogłam wyrobić. Potem się trochę douczyłam. Kiedyś zrobiono nam rewizję, podczas której znaleziono schowany gorszy materiał, który potem wyrzucałyśmy do pieca, bo każda wybierała ten lepszy, z którego się lepiej wykonywało. U mnie też znaleźli taki materiał i cały dzień musiałam stać na polu.

Mama tylko ogólnikowo mówiła o drodze do Weberei, za to Lucyna zapamiętała ją bardzo dobrze.



Więźniarki idące do pracy musiały minąć rampę, gdzie przyjmowano transporty Żydów i dokonywano ich wstępnej selekcji. Widziałam wszystko. W tym okresie trzech miesięcy bez przerwy przywożono Żydów, z całej Europy. Część z nich szła na lager, ale większość do gazu, a wszystkie ich rzeczy odkładano na bok. Przez trzy miesiące – to był chyba czerwiec, lipiec, sierpień – bez przerwy była blokszpera [zakaz wychodzenia z bloków – H.R.], a w krematoriach bez przerwy się paliło.

## Maria

W październiku [1943 roku – H.R.] skończył się sześciotygodniowy okres kwarantanny. Dotychczas przebywałyśmy w Birkenau na lagrze A. Teraz zostałyśmy uznane za zdolne do pracy w komandach na zewnątrz obozu. W związku z tym przeszłyśmy na lager B. Tutaj przydzielono nas do kopania rowów melioracyjnych, w odległych o około 5 kilometrów Babicach.

Po apelu nasze dwuosobowe komando, uformowane w piątki, ruszyło na ausen. Odbывало się to bardzo uroczyście. Na bramie przed blokfiresztubą stał sztab obozowy – potwory w ludzkich ciałach. Obok grała orkiestra złożona z heftlinów. Najgłośniej słyszany był bęben, który wybijał takt pod lewą nogę. Koniecznie lewą. Żeby się nie pomylić, ustawione młode lojferki [lauferki – H.R.] krzyczały: „links und links!”. Każdego ranka o wschodzie słońca odbywała się ta sama farsa. Tysiące niewolników ruszało do pracy.

Po przybyciu do Babic komando podzielone było na trzy grupy. Pierwsza kopała rowy, druga nasypywała wykopaną ziemię do traga, trzecia nosiła tragi do odległego około 300 metrów miejsca, gdzie wysypywano zawartość na wyrównanie nowo budowanej drogi. Najlżejsza była praca w drugiej grupie. W niej znalazły się uprzywilejowane, zaawansowane stażem w lagrze Ukrainki. Od nich zależało, ile łopat ziemi zostanie wsypane do tragi i ile ważyć będzie ładunek, który następnie poniosą dwie więźniarki. Ja z siostrą, tak jak wszystkie nowe, przydzielone zostałyśmy do noszenia tragi. To była katorżnicza praca. Sama traga sporządzona z drzewa, nasączona deszczową wodą, była bardzo ciężka. A tu jeszcze w niej tyle łopat ziemi. Ukrainki były nieprzyjemne. Sypały pełne tragi ziemi i wołały do nas: „Parazyty, burzuje Polaczki!”. Na bloku dowiedziałam się, że „parazit” to znaczy pasożyt. Postanowiłam zabiegać o względy Ukrainek. Dotarłam po apelu wieczornym do ich sztuby. Nasze języki są bardzo podobne. Można się bez trudu porozumieć. Tłumaczyłam im, że my nie jesteśmy żadne burżujki, nasi rodzice to także roboczy ludzie. Opowiedziałam, że moi rodzice mieszkali przed rewolucją na Ukrainie. W Sumach koło Charkowa pochowany jest ich pierworodny syn, no i że moja mama była Ukrainką. O mamie

Ukraińce skłamałam, reszta była prawdą. Wkrótce zaprzyjaźniłyśmy się i razem marzyłyśmy, że kiedyś wykopimy rowy, które będą grobem dla naszych prześladowców.

Praca w polu wyczerpywała siły. Dokuczał okrutny głód i zimno. Kiedy wracałyśmy do obozu na apel, bolały ręce, nogi, bolały wszystkie kości. Marzył się wypoczynek, a czekał jeszcze kilkugodzinny apel. Przy bramie z napisem „Arbeit macht frei” orkiestra wygrywała wesołe melodie marsza. Ze wszystkich stron wracały do obozu ausenkoman-da, niosąc na ramionach trupy współtowarzyszek niedoli. Mnie też przypadło w udziale niesienie trupów koleżanek. Wtedy, wybijając na bramie rytmicznie lewą nogą takt muzyki, prosiłam Boga, żeby nie zwariować, przeżyć i pomścić śmierć tylu oświęcimskich męczenników.

Marysia zapamiętała szczególnie późnojesienne wyjścia do „pracy”. Były dokuczliwe głównie z powodu deszczów, zimna i chorób, które nieustannie gnębiły wycieńczone więźniarki.

Padał deszcz. W komandzie w Babicach brnęłyśmy w błocie, nosząc ciężkie tragi. Nie było znikąd ratunku. Nie można było na chwilę odpocząć, bo anwajzerka krążyła z kijem i krzyczała: „Arbajten, szwajne, los, szneler!”. Kiedy to nie skutkowało, zjawiał się post z psem i szarpał delikwentkę. Wracałyśmy na apel brudne i wyczerpane, coraz częściej dźwigając trupy lub nieprzytomne ciała koleżanek.

Znowu nasuwa się natrętne pytanie: czy można było sobie wyobrazić, że to, co opisuje Maria, mogło naprawdę się wydarzyć? Przecież niewolnicy kojarzą nam się najczęściej z innym czasem i innym miejscem, zupełnie inaczej niż te młode dziewczyny z ogolonymi głowami, z chusteczkami na głowach, w zgrzebnych pasiakach. Czy obozy koncentracyjne to wobec tego jakiś nowy rodzaj niewolnictwa? Właściwie dlaczego musiałoby być nowoczesne? Niewolnictwo zawsze i wszędzie polega na tym samym...

Staralam się nie załamywać. Dotychczas osłaniałam siostrę i dzielnie znosiłam wszystkie okropności. Organizm mój długo odpierał lagrowe choroby. Wreszcie i mnie dopadło. Na moich nogach ukazały się pęcherze, które przeistaczały się w ropiejące rany. Całe stopy to była jedna ropiejąca rana. Ogromnie cierpiałam, poruszając się w drewnianych trepach. Powinnam iść na rewir, ale to znaczyło rozłąkę z siostrą.

Maria i Miecia po dwóch miesiącach pobytu w Brzezince zaczęły dostawać z domu paczki żywnościowe; z czasem po dwie w tygodniu. Był to bardzo cenny towar wymienny. Okazał się przydatny także wtedy, kiedy Maria zachorowała na nogi.

Rarytasami z paczki przekupiłam blokową. Pozwoliła mi przez kilka dni zostać na koi i goić obolałe stopy. Od jednej ze starszych więźniarek dowiedziałam się, że pęcherzycę najlepiej goi ziele zwane babką. Na trasie do Babic, wokół drogi, którą codziennie przebywałyśmy, było dużo łąk i tam wśród trawy rosła babka. Poprosiłam siostrę, aby wracając z Babic, zerwała po drodze trochę liści tego ziele.

Nie przypuszczałam, że można to przypłacić życiem. Nazajutrz siostra, maszerując wieczorem z pracy, schyliła się i zerwała kilka liści babki. Dostrzegł to idący z tyłu post. Dopadł siostrę, zobaczył, co zerwała i rozkazał, żeby to wyrzuciła. Gdyby była rozsądna, spełniłaby rozkaz, ale moja siostrzyczka pomyślała, jaką ulgę sprawi moim nogom zerwane ziele, w desperackim odruchu wrzuciła liście pod koszulę. Rozwścieczony post zaczął ją okładać karabinem. Gdyby nie interwencja nieustraszonej Ukrainki Wali, przed którą nawet Niemcy czuli respekt, skończyłoby się tragedią.

Bark i ręka siostry przez kilka tygodni były fioletowe. A najgorsze, że zupełnie utraciła czucie w palcach jednej ręki i nie mogła utrzymać tragi. Żeby temu zaradzić, z koszuli, którą nosiłam pod pasiakiem, zrobiłam coś w rodzaju temblaku. Zawieszony na szyi siostry trzymał jeden drążek tragi. W ten sposób chodziłyśmy z siostrą w kieracie, nosząc ciężką tragę. Było coraz straszniej. Listopadowy deszcz ze śniegiem dokuczał niemiłosiernie. Wieczorem kładłyśmy się na koi brudne i półżywe ze zmęczenia, susząc swoim ciałem przemoczone pasiaki.

Wiele więźniarek i więźniów Oświęcimia i Brzezinki nie potrafiło wykrzesać z siebie tyle sił, żeby choć tylko przeżyć każdy kolejny dzień. Jak można nazwać to, z czym musieli się mierzyć? Jeżeli powiem: „gehenna”, to nazwiemy ich położenie nadużywany słowem, zbyt często przywoływanym tam, gdzie o żadnej gehennie nie ma mowy. Ale czy przychodzi na myśl bardziej odpowiednie słowo? Jak nazwać to, co pcha ludzi na ogrodzenie obozu zwieńczone drutem kolczastym pod wysokim napięciem? To, żeby nastał koniec gehenny. Z takim zamiarem zmagala się także Maria.

Byłam kompletnie załamana. Nawiedziła mnie myśl skrócenia cierpień. Planowałam wstać przed rannym apelem, wziąć siostrę za rękę i iść w kierunku naelektryzowanych drutów. Post pełniący wartę nie dopuści do zwarcia prądu i zastrzeli nas. Nareszcie uwolnimy się z tego piekła. W wieczornym pacierzu prosiłam Boga, żeby pomógł mi zrealizować zaplanowane odejście z tego świata. Zdziwiający prawo życia i ludzka solidarność uwolniły mnie od samobójczych myśli. Zjawiła się Wala Ukrainka, która zdecydowała, że w komandzie w Babicach nosić będzie ze mną tragę. Siostra, na jej miejscu, ze swoją chorą ręką będzie odpoczywała, markując nasypywanie ziemi. Wyręczać ją w tym będą Ukrainki. Tak zdecydowała Wala, która była dla swych rodaczek autorytetem.

Wala była studentką z Kijowa. Zabrano ją z matką i małą siostrą. Ojciec i brat byli na wojnie. Nic nie wiedziała o losie swojej rodziny. Przyjechała tu dwa lata temu [w 1941 roku – H.R.]. Z pięćsetosobowego transportu przeżyło tylko kilkanaście kobiet. Przeżyły, bo dostają potajemnie chleb, margarynę, kielbasę od swoich rodaków z męskiego lagru. Oni są na wysokich funkcjach. Przebywają tu od początku. Ukrainki bardzo mi imponowały. Były zintegrowaną grupą. Silne, odważne, harde, nie bały się czarnych winkli. Z dumą i miłością opowiadały o swojej Ojczyźnie. Ich Kijów był najpiękniejszy w świecie, a Ukraińcy najdzielniejszym narodem.

Hermann Langbein nie ma wątpliwości co do tego, że myśl, aby położyć kres swojemu życiu, a tym samym cierpieniom i poniżeniom, nie była w Auschwitz rzadkością. Jednak samobójstw zdarzało się w obozie mniej, niż można by przypuszczać. W różny sposób tłumaczony jest ten fakt, między innymi tym, że samobójstwo uważano za zbyt wielkie tchórzostwo; tłumaczono to także zaburzeniami osobowości. Inne uzasadnienie odwołuje się do głodu: człowiek głodny, nieustannie głodzony, jest obojętny na życie, a nawet uważano, że więźniowie nie decydowali się na ten krok z przekory, żeby oprawcom nie zrobić przyjemności, żeby później móc dać świadectwo. Choć samobójstw nie było szczególnie dużo, przecież zdarzały się podczas wszystkich lat istnienia KL Auschwitz-Birkenau – częściej na początku wojny niż pod jej koniec. Langbein pisze, że narzucała się pewna forma samobójstwa, najpewniejsza i dość łatwa: pójście na druty.

Taki kres swojemu życia postanowiła położyć Maria. To właśnie przed ogrodzeniem z drutu kolczastego pod napięciem, otaczającym obóz, znajdowała się strefa śmierci. Do tego, kto na nią wkroczył, strzelano z wień wartowniczych. Jeżeli nie zginęło się od kul, to pewna śmierć następowała po dotknięciu zasieków. Codziennie rano jeden z funkcjonariuszy obchodził ogrodzenie obozowe w Birkenau i zbierał zwłoki – przeważnie samobójców, którzy nocą poszli na druty<sup>6</sup>.

Nie wiadomo dokładnie, ile osób popełniło samobójstwo w Auschwitz i Birkenau. Dane liczbowe zawarte w szacunkowych dokumentach nie są pełne. Liczby nie mają zresztą większego znaczenia. Nieodgadnioną kwestią dla postronnych, a więc także dla mnie, jest potencjał wewnętrznych sił tkwiących w umysłach ludzi złamanych głodem, niewolniczą pracą, upokorzonych i poniżonych do granicy wytrzymałości. Jednakże tę granicę można widocznie przesunąć tak, że siła przeżycia staje się najpotężniejsza. Czyż jednak takie rozumowanie nie jest tylko kolejnym tłumaczeniem faktu, że pomimo beznadziejnej w naszym odczuciu sytuacji więźniarki i więźniowie

---

<sup>6</sup> H. LANGBEIN: *Ludzie w Auschwitz*. Oświęcim, Wydawnictwo Państwowego Muzeum Oświęcim-Brzezinka, 1994, s. 34.

zachowali wolę życia? Przekonanie o tym, że nie jesteśmy w stanie wczuć się w położenie więźniów, jest najprawdziwszą konstatacją. Jak twierdzi cytowany przez Langbeina Martin Wasler: „Czym był Auschwitz wiedzą tylko więźniowie. Nikt poza nimi”<sup>7</sup>.

## Maria

Na bloku 13B, oprócz naszego komanda Babice, mieszkaly więźniarki zatrudnione w Weberei. Zostałyśmy tam przeniesione z siostrą dzięki staraniom więźniarki z Sosnowca Heleny Solarskiej. Helena aresztowana była pół roku wcześniej z mężem i dziećmi, które jako niepełnoletnie umieszczone były w obozie dla młodocianych na Śląsku. Mąż został rozstrzelany na bloku 11 w Auschwitz. Helena pracowała w komandzie Weberei. Kiedy wracałyśmy na wieczorny apel z Babic, oblepione błotem, obolałe, Helena płakała, wyobrażając sobie, że jej córeczka w obozie też ciężko pracuje.

Przychodziła do nas na koję, pocieszała, przytulała, opowiadała o swym małym synku Tadziku i starszej córeczce Wiesi. Obiecowała, że nas z tego piekielnego komanda wyciągnie. Słowa dotrzymała.

W Weberei ponownie spłotły się losy Marii, Mieci, Loli i Lucyny. Wspomnienia Marii z tego okresu są podobne do wspomnień Mamy i Luci, chociaż w szczegółach ich relacje nieco się różnią.

W komandzie Weberei pracowało ponad tysiąc osób. Baraki Weberei znajdowały się na terenie Birkenau, za rampą i obozem cygańskim. Praca była tam o wiele lżejsza niż w polu. Tkaliśmy pasy o szerokości 10 centymetrów, osnową był smołowany sznurek, wątkiem gumowe tasiemki. Codziennie trzeba było wykonać normę. Nie było to łatwe. Palce miałyśmy pokaleczone od ostrych sznurków. Na początku pracowałyśmy bez chwili wytchnienia i mimo tego, nie udawało się wykonać określonej ilości metrów. Za karę szef kapo, Niemiec, stosował karne ćwiczenia – skakanie żabką.

Siłą do przetrwania były dobre wiadomości. Żeby podtrzymać na duchu załamane, chore koleżanki, powtarzało się lub wymyślało naiwne plotki – że koniec wojny to kwestia tygodni, że odbiją nas partyzanci albo że z Anglii samolotami przylecą desanci i wyzwolą więźniów. Cały blok wierzył koleżance zatrudnionej w oddziale politycznym, że będziemy oswobodzone, bo zażądał tego Watykan. Nie wierzyłam w to. Przed aresztowaniem w naszej podziemnej prasie czytałam, że papież Pius XII wiedział o aresztowaniu i mordowaniu tysięcy Polaków i księ-

---

<sup>7</sup> Ibidem, s. 126–140.

ży katolickich. Mimo to milczał, ani razu nie zaprotestował. W tej samej gazecie był przedrukowany komunikat z biuletynu Głównego Urzędu Propagandy Rzeszy, że naród polski nie może istnieć w europejskiej wspólnocie i jego egzystencja będzie na zawsze przekreślona.

Jedynego ratunku szukałyśmy u Boga. Religia, zaszczerpiona przez matkę, była dla mnie od dzieciństwa zaklęciem zarzekającym zły los. Teraz wierzyłam, że tylko wszechmocny Bóg może cudem wyzwolić nas z tego piekła. Wieczorem modliły się głośno wszystkie: wierzące, ateistki i komunistki, i nawet ordynarne sztabowe wyciszały się wtedy.

Po chorobie, dojściu do siebie po tyfusie, na który zapadła zarówno Miecia, jak i Maria, obie zamieszkały w jednym bloku. Maria pisze, że całe komando Weberei przeniesiono do jednego bloku numer 26. Nie podaje dokładniejszego czasu tej zmiany, można się z jej notatek jednak domyślać, że było to wiosną 1944 roku. Tu po raz kolejny splotło się życie Marii, Loli i Lucyny – w bloku położonym koło krematorium.

Ja z siostrą nareszcie awansowałam do zamieszkania na górnej koi. Byłyśmy szczęśliwe, bo nareszcie można tu było usiąść, a nie tak jak dotychczas, na niższych kojach, leżeć jak w trumnie. Obecnie to była podwójna koha, na której ulokowano same młode dziewczyny, wszystkie z dłuższym od nas stażem lagrowym. Dwie z nich pochodziły z Sosnowca – Lola Kokosza-Gradek i Gienia Leśniak-Marzec – reszta z różnych stron Polski. Pierwsze dwa miesiące spędzone w tym towarzystwie były najlepszym okresem pobytu w lagrze. Wszystkie otrzymywałyśmy paczki z domu. Po przebytych tyfusie miałyśmy niesamowite apetyty. Młode organizmy szybko się regenerowały. Przybywało ciała, sił, odrastały włosy. Chociaż jak dawniej budzono nas o godzinie 4.00, marzyłyśmy i mokłyśmy na apelach, z ogromnym wysiłkiem wykonywałyśmy normy pracy, ale jakoś łatwiej było to wszystko znosić w zespole młodych dziewczyn. Wspólnie leczyłyśmy każdą chorobę. Wszystkie chandry i załamania uzdrawiane były dobrymi wiadomościami z frontu, które niestety, nigdy się nie sprawdzały.





## Rozdział VI

# ŻYCIE CODZIENNE

### Alodia

Trwała moja pierwsza zima w Oświęcimiu. Do stroju z pasiastego materiału dodano nam zimową „odzież” – rodzaj dłuższego żakietu, też w pasy, oczywiście bez ocieplenia. Jak tylko zrobiło się cieplej, te żakiety oddawało się. Chodziłyśmy wtedy w samych sukienkach z długimi rękawami. Były zrobione z materiału, który ani nie grzał zimą, ani nie chłodził latem, a wprost przeciwnie. To był taki dziwny, gęsty materiał przypominający jutę. Te stroje właściwie nie nadawały się do chodzenia, a wszyscy musieli w nich chodzić. Wszędzie widać było tylko pasiaki. Dopiero przy ewakuacji obozu dali nam cywilne ubrania – jaka to była radość! Dostałam też wtedy „cywilne” buty – dwa różne związane sznurówkami. Jeden był błyszczący, z imitacji wężowej skóry, a drugi gładki. Cieszyłam się, bo były na małym obcasie i dosyć do siebie podobne. Myślę, że poprzez te niedobre do pary buty Niemcy chcieli dodatkowo ośmieszyć więźniów – trudno zresztą było oczekiwać, że przejmą się naszymi butami, dla nich nie byliśmy przecież pełnymi ludźmi.

Wcześniej rano, jeszcze po ciemku, następowała pobudka, przy pomocy wrzasków i kijów. Wszystkich wypędzono na apel przed bloki, w celu policzenia więźniów. Nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że apel dwa razy dziennie to był największy problem dla więźnia. Czy mróz, czy śnieg, wiatr, deszcz, trzeba było stać bez ruchu tak długo, aż przeliczono wszystkie bloki. Aż sprawdzono, że liczba więźniów się zgadza. To jednak zdarzało się rzadko, dlatego odwołanie apelu trwało nieprzyjemnie długo. Potem formowanie kolumn i wymarsz do robót. Praca polegała na harówce na powietrzu, przeważnie kopaniu rowów melioracyjnych. Obiad przywożono w kotłach na pole. Przed wieczorem powrót na lagier, popędzani przez psy. Znowu apel. Nierzadko przy bramie czekała niespodzianka – dziesiątkowanie. Wtedy nie wchodziło się piątkami, biegło się pojedynczo, a oprawcy stali po jednej i drugiej stronie. Odli-

czali do dziesięciu. Jedenastą wyciągano z szeregu. Szła na blok numer 25, z którego szło się do gazu, kiedy już wypełnił się więźniarkami. I tak codziennie gonitwa: krzyki, wstawanie, apel, wymarsz, powrót, apel. Kolacja, której towarzyszyło bicie i krzyki, składała się z kawałka chleba i łyżki margaryny. Trzeba było mieć szczęście, żeby w ogóle coś dostać. Można było oberwać parę razy kijem. Przy dobrej pogodzie spało się na suchym pasiaku. Kiedy lało lub padał śnieg, kładło się pod głowę mokry pasiak, sztywny jak kawał blachy.

Niedziela prawie niczym nie różniła się od powszednich dni. Zawsze wynaleziono dla nas jakąś dodatkową pracę. Na przykład wyciąganie z rowu cegieł, które dzień wcześniej inne więźniarki do tego rowu wrzucały. O prawdziwym odpoczynku nie było mowy. Wymyślano takie bezsensowne prace, żeby więźniowie zawsze byli zajęci, żeby byli ciągle w ruchu.

Wieczorem po powrocie z pracy i apelu każda z nas spędzała wolny czas na swojej pryczy, nie było zresztą innych możliwości. Najlepsze były prycze na samej górze, na trzecim piętrze, bo tam można było się wyprostować, prosto stanąć. Na dole trzeba było być cały czas zgiętą. Na dolnych pryczach było strasznie duszno, trzeba było co pewien czas wychylać się spoza pryczy, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Najgorsze miejsca były na samym dole. Wszystkie nowe tam spały, ja też w pierwszych tygodniach pobytu w obozie. Najgorsze były szczury, które biegały wokół nas, a nawet po naszych głowach. Przykrywałyśmy głowę czym się dało, żeby jakoś odgradzić się od tych szczurów. Z czasem awansowałam, byłam starszą stażem więźniarką i przeniosłam się na drugie, a potem na trzecie piętro. Tam można było odetchnąć swobodnie, świeżego powietrza było więcej. Nad nami nie było sufitu, a tylko dach, taki jak zwykle bywa w barakach. Powietrza było więcej, ale przez szpary w dachu wpadał deszcz, a zimą śnieg.

Każda z nas miała swoje koleżanki, znałyśmy się ze wszystkimi, ale szybko utworzyły się grupki bliższych znajomych, z którymi można było porozmawiać. Zawsze te rozmowy kończyły się wspomnieniami z wolności, z tego prawdziwego życia, do którego bardzo tęskniłyśmy.

Z relacji Mamy, Lucyny i Marii, a także innych opowieści oświęcimskich wynika, że w tych grupkach znajomych istniał swoisty system samopomocy, mający źródło w równym stopniu zarówno w sympatii, jak i świadomości, że tylko jakoś współpracując ze sobą i pomagając sobie nawzajem, zwiększa się swoje szanse na przetrwanie. Można by nazwać to wyrachowaniem, ale czy w ekstremalnych sytuacjach obowiązują takie same kryteria oceny tego, co szlachetne, dobre, niegodziwe i złe?

## Lucyna

Lucia także podkreśla, że więźniarki w wielu sytuacjach pomagały sobie. Podaje przykłady:

Kiedy pracowałam w „efekcie”, przynosiłam takie kostki do palenia. Wyglądały jak cukier w kostkach. Układało się dwie cegielki, wkładało te kostki i to był palnik, na którym gotowało się coś do picia. Czasem przynosiłam coś do ubrania dla innych więźniarek. Ale w „efekcie” pracowałam krótko. W Budach, kiedy ustawiałyśmy się do pracy, każda ustawiała obok siebie koleżankę albo siostrę. Ja zostawałam na końcu, ale dzięki temu poznałam Stenię Różycką z Łodzi. Ona była nauczycielką. Bardzo mnie polubiła, opowiadała mi wszystko o sobie, dzieliła się ze mną paczkami. Ona miała siostrę, nazywała się Kędzierska, która pracowała w Brzezince w szwalni. Ponieważ ja też miałam siostrę na lagrze, to było też powodem, że bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. A była bardzo wykorzystywana przez dwie siostry.

Okazało się, że nie były to jej siostry rodzone, o czym Lucyna opowiada:

[...] ponieważ miała bogate paczki, więc wzięły ją do swego grona. Stenia chciała się uwolnić od tych dwóch siostr i przyłgnęła do mnie. [...] Dzieliła się ze mną paczkami, ale ja krępowałam się przyjmować tych darów od niej, bo sama nie miałam czym się odwdziżyć. Potem, kiedy zachorowała na malarię, „organizowałam” dla niej cebulę, dawałam jej z cukrem. Ale potem ja zachorowałam i poszłam do obozu i nie wiem, czy przeżyła, czy nie. Tyle jej zawdzięczam. Jaki to człowiek był kochany i dobry. Rzadko można było spotkać w obozie takiego człowieka. Ale w obozie też było złodziejstwo. I handel był, taka wymiana. Za czosnek, za porcję chleba można było dostać na przykład lekarstwa, ubranie.

Czarny rynek kwitł w całym obozie, wymiany towarów dokonywano poza blokami. Chorując na świerzb, Lucyna wymieniała swoje porcje chleba na maść.

## Alodia

Więźniarki, z którymi Polki utrzymywały najbardziej sporadyczne kontakty i od których trzymały się z daleka, to głównie Żydówki. Mama wyjaśnia to tak:

Pracowałam w komandzie, Weberei, w którym było dużo Żydówek, ale one miały swoją pracę, z reguły trudniejszą od naszej. Kiedy my,

Polki, tkaliśmy pasy przeznaczone dla wojska, Żydówki cięły na paski ubrania, w których przyjechali do obozu Żydzi zgładzeni później w krematoriach, związały je w kłębki i dostarczały nam do tkania. Nie przyjaźniłyśmy się z pracującymi z nami Żydówkami przede wszystkim dlatego, że one nie znały polskiego języka. W większości pochodziły z Grecji. Czasami poczęstowałyśmy którąś z nich jedzeniem z paczki, bo wiedziałyśmy, że im nikt niczego nie przysła. Wydaje mi się, że one dostawały mniejsze porcje jedzenia niż Polki, ale tego nie było wiadomo na pewno, ponieważ zgromadzono je w bloku w osobnej sztabie, czyli w osobnym jakby rewirze. Zawsze Żydówki trzymano z dala od „aryjek” – tak mówiono na Polki. Spałyśmy w jednym bloku, razem pracowałyśmy, ale zawsze z daleka od siebie. Funkcyjne bardzo dbały o to, żeby nie było między nami bliższego kontaktu. Były na pewno bardziej nieszczęśliwe od nas. Nigdy nie wiedziały, co je czeka i kiedy nadejdzie śmierć. Często robiono im selekcje i jeżeli tylko któraś Żydówka nie podobała się strażnikom, zostawała wywoływana z szeregu i już wiadomo było, że do bloku nie wróci. One rzeczywiście były ludźmi gorszego gatunku.

Te więźniarki, które dostały się do obozu w pierwszych transportach, pracowały przeważnie jako funkcyjne, blokowe i sztabowe. To były Żydówki z całej Europy, pamiętam kobiety z Holandii, Grecji i Czechosłowacji. Zrobiono je funkcyjnymi chyba dlatego, że już zdążyły się oswoić z życiem obozowym. Na nie trzeba było bardzo uważać, bo dla swojego interesu nie wahały się którąś z nas niesłusznie oskarżyć, czy na którąś donieść za jakieś przewinienia do niemieckich strażników. Żydówki nie ukrywały zazdrości, że nas nie biorą tak często na selekcje i mamy większe od nich szanse na przeżycie.

Do codziennego życia w obozie należało przywyknąć i starać się nie myśleć o jego trudach i niedostatkach, ale przychodziły takie dni, kiedy było to szczególnie trudne, a nawet pogodzenie się z losem wydawało się niemożliwe.

Najgorsze były święta. Chciałyśmy je jakoś uczcić, coś sobie zorganizować, ale niemieccy żołnierze i strażnicy umieli je nam zakłócić. Zapamiętałam jeden taki dzień. Było to Boże Narodzenie, posprzątałyśmy dokładniej barak, chciałyśmy podzielić się opłatkiem, bo wiele z nas dostało je w listach, a tu nagle drzwi do baraku otworzyły się z hukiem i na motorze, z rykiem silnika wjechał do naszego baraku niemiecki żołnierz. Chyba był pijany, bo czy trzeźwemu człowiekowi przysłoby coś takiego do głowy? Zamarłyśmy ze strachu, bo nie wiedziałyśmy, co ten wariat chce zrobić, jaki miał plan. Na szczęście żołnierz zakręcił na końcu baraku i tak jak wjechał drzwiami, tak też nimi wyjechał.

Odetchnęliśmy. Myślę, że miał po prostu taką fantazję i zachciankę, żeby zakłócić więźniarkom świąteczny dzień.

## Lucyna

Lucia także wspomina obozowy dzień wigilijny, ale nie mówi o szczegółach, a o emocjach, jakie temu szczególnemu dniu towarzyszyły:

Wigilia w obozie. To było naigrywanie się z naszych uczuć narodowych i religijnych, z naszych tradycji. [...] Jeżeli ten dzień różnił się czymś od zwykłego obozowego koszmaru, głodowych racji, zapluskwionych legowisk w trzypiętrowych kojach i makabrycznych scen maltretowania, to chyba tym, że wieczorem – dla uprzytomnienia nam naszej nędzy i upodlenia – na dużym placu zapalono na dużej choince kolorowe żarówki, a obozowa orkiestra zagrała „Heilige Nacht” – „Cicha noc, święta noc” – coś jakby nasze „Wśród nocnej ciszy”. Co działo się wówczas w naszych sercach, tego nikt nie opisze... Twarze pełne łez, żadna z nas nie mogła przemówić słowa. Najbardziej jednak szokującym przeżyciem było to, że co słabsze nie przeżyły tego wieczoru, zabił je żal za utraconą wolnością. Zaraz po apelu nasza dobra znajoma Adela Lis musiała sama zanieść swoją córkę do bloku śmierci, a jedna z córek matkę.

Pamiętam, że na Boże Narodzenie dostałyśmy trzy kartofle w mundurkach i kapuśniaczek. To była wielka uroczystość<sup>1</sup>.

Czy do elementów życia codziennego w obozie można zaliczyć dom publiczny? Można oczywiście mieć co do tego wątpliwości, ale one nie zmieniają faktu, że taka instytucja – puff – istniała, i zarówno Mama, jak i jej Koleżanki w różny sposób zetknęły się z nią. Lucyna nie mówiła o puffie, Lola tylko ogólnie, ale Maria zachowała o nim bardziej szczegółowe wspomnienia, które przedstawiła niegdyś w programie telewizyjnym.

Sprawa domów publicznych w hitlerowskich obozach koncentracyjnych jest traktowana nieco jak tabu. Tak wynikałoby z nielicznych wypowiedzi na ten temat (dziennikarzy, badaczy zajmujących się problematyką obozową), a także z licznych publikacji dotyczących obozu Auschwitz-Birkenau, z którymi zetknęłam się, pisząc swoją książkę. W niewielu znalazłam informacje na ten drażliwy temat. Dlaczego drażliwy? Chyba głównie dlatego, że dom publiczny w żaden sposób nie przystaje do idei obozu koncentracyjnego. A jednak...

---

<sup>1</sup> Obozową Wigilię Bożego Narodzenia Lucyna opisała także w wywiadzie udzielonym dziennikarzowi Józefowi Majkutowi: J. MAJKUT: *Lucyny wigilie różne*. „Tygodnik Zamojski” 1984, nr 51/52.

Czym były puffy w nazistowskich obozach koncentracyjnych? To klasyczne, choć niezwykle domy publiczne. Niemcy zakładali je w ramach systemu motywacyjnego dla więźniów. W Auschwitz I, czyli w obozie macierzystym, dom publiczny założono w sierpniu 1943 roku. Mieścił się w bloku numer 24, w którym na parterze znajdowała się kancelaria obozowa, na lewo od bramy głównej. Miało w nim pracować 20 kobiet. W listopadzie tego samego roku utworzono kolejny puff, o połowę mniejszy, w obozie Auschwitz III, czyli w Monowitz. Tam ulokowany został w odrębnym bloku otoczonym siatką.

System motywacyjny dla więźniów obozów koncentracyjnych, potocznie nazywany „kobiety, żarcie, wolność” (*Frauen, Fressen, Freiheit*) wszedł w życie w maju 1943 roku. Dla więźniów najbardziej wydajnych w pracy przewidziano nagrody: prawo do częstszej korespondencji, dodatki żywnościowe, możliwość kupienia papierosów, a nawet, w przypadku więźniów narodowości niemieckiej, zwolnienie z obozu. Najbardziej pracowitym i posłusznym przysługiwały warte dwie marki bony do obozowego domu publicznego. Więźniowie wspominają, że otrzymanie takiego bonu wiązało się z koniecznością odwiedzenia puffa. Jeżeli więzień tam się nie zgłosił, szukano i ściągano go do bloku 24, aby odbył swoją powinność.

Gdy rozlegał się dzwonek, więźniowie wchodzili do pokoi więźniarek, spędzali tam od piętnastu do dwudziestu minut. Potem rozlegał się następny dzwonek i musieli wychodzić. Esesmani kontrolowali przez judasza, czy jakieś niezdrowe pozycje nie są stosowane. Bo tutaj zdecydowanie nie o to chodziło, żeby ktoś miał mieć jakąś wyjątkowo rozpustną przyjemność, jakieś rozkosze. To było jakby docenienie, że więźniowie lepiej pracują, jeżeli mają możliwość rozładowania seksualnego. Kontrola obejmowała też kwestie rasowe. Niemki były przeznaczone dla więźniów Niemców, Polki dla Polaków; nie było tam Żydówek ani Żydów.

Pracownicami domów publicznych były więźniarki zgłaszające się tam dobrowolnie. Wyprowadzano je na spacer, kiedy inni więźniowie wracali z wielogodzinnej pracy. Nosiły cywilne sukienki i bieliznę z walizek odebranych na rampie kobietom z transportów. Myły się we własnej łazience, mogły się malować, miały stałą opiekę lekarską, żywiono je według norm esesmańskich. Całe dni spędzały w bloku. Po kilku miesiącach pracy w puffie niektórym pracownikom przydzielano stanowiska funkcyjnych w obozie kobiecym. Nie poprawiało to ich obrazu w oczach współwięźniów<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> A. WESELI: *Puff w Auschwitz*. „Polityka”, 4.11.2009; także wypowiedzi z filmu *Nocy i dnie w kobiecym obozie Auschwitz-Birkenau* autorstwa Kingi Wołoszyn-Świerk.

## Maria

Kapo stanęła na środku bloku i głośno zapytała, która chce iść do Auschwitz, na męski lagier. Tam jest lekka robota, cywilne ubranie i dobre jedzenie. Ze ściśniętych gardeł posypały się pytania, czy tam trzeba znać język niemiecki, co będzie się tam robić itd. Kapo odpowiedziała, że komando nazywa się puff i chętne mają się zgłosić do blokowej. Jeśli nie będzie wystarczającej liczby ochotniczek, to ona na wieczornym apelu doberze resztę. Blokowa poinformowała nas potem, że puff to dom publiczny, trzeba tam obsługiwać 20 mężczyzn dziennie. Nie esesmanów, tylko heftlingów, tych, co długo siedzą w lagrze i są na funkcjach. Oniemiałam z przerażenia. Należałyśmy z siostrą do nielicznej grupy bardzo młodych więźniarek. Obawiałam się, że jeśli będą uzupełniać, to wybór padnie na nas. Na nasze szczęście zgłosiło się tyle ochotniczek, ile wynosiło zapotrzebowanie.

W 1945 roku uciekająca przed Armią Czerwoną niemiecka załoga zniszczyła większość dokumentacji, w tym materiały dotyczące dwóch obozowych domów publicznych. Z nielicznych ocalałych dokumentów można odczytać nazwiska kilkudziesięciu kobiet, które pracowały w puffach. Wydaje się, że jest wśród nich mniej więcej tyle samo Niemek ile Polek.

Agnieszka Weseli, autorka powyższych treści, przygotowująca książkę o puffach w Auschwitz pisze, że sprawa „panienek” zatrudnionych w nich jest skomplikowana i niejednoznaczna. Raz pisze się o nich z odrazą, a innym razem ze współczuciem. Niemcy nigdy nie uznali pracy kobiet w obozowych domach publicznych za przymusową. Nie wypłacono więc należnych odszkodowań kilkudziesięciu tysiącom kobiet, w tym około 150 byłym pracowniczkom obu domów publicznych na terenie obozu Auschwitz-Birkenau<sup>3</sup>.

Oświęcimski puff pojawił się także w późniejszych wspomnieniach Mamy.

---

<sup>3</sup> Ibidem.





## Rozdział VII

### PACZKI I LISTY

Stałym elementem życia obozowego był głód. Rano więźniarki dostawały gorzką herbatę z ziół lub czarną, zbożową kawę, niekiedy tak zwaną melkę, czyli wodę zaprawioną mąką, w południe wodnistą zupę z brukwi, pokrzyw, jarmużu, obierzyn ziemniaków. Czasem w zupie znajdowały trochę kaszy lub kawałek ziemniaka. W niedziele na obiad był niekiedy kwaśny kapuśniak i 4–5 nieobranych ziemniaków, nazywanych pelkami. Po wieczornym apelu rozdawano więźniarkom kolację – około 20 dekagramów gliniastego chleba na zmianę z dodatkiem około 2 dekagramów margaryny lub marmolady, cieniutkiego plasterka kielbasy, pasztetowej, krążka często nadgniętego sera i około pół litra herbaty lub „kawy”, zawsze gorzkiej. Taki opis obozowego jadłospisu znalazłam na stronach Muzeum Auschwitz-Birkenau<sup>1</sup>, jednak wydaje się, że nie dla wszystkich był przeznaczony – ani jedna z Koleżanek nie mówiła nigdy o takich rarytasach jak plasterek kielbasy czy pasztetowej, wspominały tylko o chlebie, margarynie i marmoladzie.

Od końca 1942 roku więźniarki, zwłaszcza Polki, mogły otrzymywać paczki od rodzin. Był to przełomowy moment w ich położeniu, które zdecydowanie uległo poprawie. Początkowo wolno było przysyłać paczki do 25 kilogramów i niezbyt często, jednak z czasem ograniczenia te złagodzano.

Paczki niejednokrotnie decydowały o przeżyciu więźniarek – stały się najważniejszym atrybutem handlu wymiennego i przekupstwa: za ich zawartość można było przekupić kapo lub blokową, postarać się o lepszą pracę, miejsce w szpitalu, nabyć na obozowej giełdzie miskę, łyżkę, części odzieży i lekarstwa. Te więźniarki, które dostawały od rodziny niemieckie marki, za wymienione za nie bony mogły kupić żywność w obozowej kantinie: kiszoną kapustę lub buraki, słone ślimaki, papier toaletowy, pastę do butów czy szczoteczki do zębów. Najczęściej kupowały jednak papier

---

<sup>1</sup> <http://www.auschwitz.org/historia/zycie-w-obozie/wyzywienie> [dostęp: 23.04.2019].

listowy i znaczki, by raz lub dwa razy w miesiącu napisać list do rodziny, oczywiście po niemiecku.

Paczek nie mogły otrzymywać Żydówki<sup>2</sup>.

Prawdę mówiąc, nigdy nie słyszeliśmy od Mamy o tym, że więźniarki miały dostęp do kantyny obozowej, na pewno Mama nigdy z zakupów w niej nie korzystała. Niewątpliwie wspomniałaby o tym. Nie mówiła też nigdy o plasterkach kiełbasy czy sera, które miały dostawać więźniarki – zawsze tylko o gliniastym chlebie, margarynie i marmoladzie.

## Alodia

Mama często wspominała o nieustannym uczuciu głodu, jaki towarzyszył jej przez cały dzień. Mówiła, że ona i jej Koleżanki bez przerwy myślały o jedzeniu i ciągle o nim mówiły.

Prawie zawsze chodziłam głodna, jak wszystkie więźniarki. Zapasy z paczek ratowały nas z biedy, ale nie na długo wystarczały. Niektóre z nas dostawały dodatkowe porcje jedzenia. Najczęściej wtedy, kiedy wykonywały jakąś cięższą, dodatkową pracę. Trudno było ten dodatek zdobyć, często w kolejce po niego ustawiały się też te więźniarki, którym się nie należał, więc rzadko z tego korzystałam.

Dostawałam regularnie paczki od rodziców i od rodziny z Ludyni, więc mogłam złagodzić trochę głód. Ale nie do wszystkich paczki przychodziły. Niektóre kobiety nie miały ich od kogo otrzymywać, bo na przykład cała ich rodzina zginęła lub była aresztowana. Tak było z moją koleżanką z Częstochowy. Tam, przed wojną, jej rodzina była właścicielem kina. Była to rodzina bardzo zamożna, co nie przeszkodziło w zamknięciu jej w Oświęcimiu. Uratował się tylko nieletni brat, który w czasie aresztowania rodziców i siostry był poza domem. Moja koleżanka dostała się do Birkenau z mamą, która niestety wkrótce umarła. Ojca zamknięto w męskim obozie. Po pewnym czasie zaczęły jednak do niej przychodzić paczki. Okazało się, że rodzina ojca czy też matki w taki sposób pomagała jej przetrwać obóz.

Kiedy któraś z nas dostała paczkę, rezygnowała z jedzenia zupy obozowej, która zawsze wyglądem przypominała pomyje i była wyjątkowo niedobra. Tak, paczki były bardzo ważnym elementem naszego więziennego życia. Niejednemu więźniowi, słabemu, schorowanemu i niedożywionemu, uratowały życie i często służyły też do przekupienia strażniczek i strażników.

---

<sup>2</sup> I. STRZELECKA: *Kobiety w KL Auschwitz*. „Głosy Pamięci” nr 12. Oświęcim, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, 2016, s. 23–25.

Chyba po trzech miesiącach pobytu w obozie można było napisać pierwsze listy. Do tego przeznaczone były specjalne druki kupowane za obozowe marki w obozowej kantynie. Było na nich namalowanych kilka linijek i tylko tyle tekstu można było napisać, w dodatku tylko po niemiecku. Całe szczęście, że miałam w obozie koleżankę z Sosnowca Marysię Włodarczyk, która w szkole uczyła się niemieckiego, więc napisała mi pierwszy list. W drugim było to samo, bo nie wolno było nic innego pisać poza tym, że wszystko u mnie jest w porządku, więc już sama mogłam sobie go napisać. Marki na te listy rodzice przysyłali mi w listach, a pierwsze pożyczyłam na konto paczki, która miała do mnie przyjść.

Treść listu była prosta i krótka: jestem zdrowa, dobrze mi się powodzi, nie martwcie się o mnie i bardzo proszę, przyslijcie mi coś do jedzenia.

Jeden z takich listów Mama napisała do Zosi, do Ludyni. Po wojnie wzięła od nich ten list na pamiątkę, bo inne się nie zachowały. Ale tego też nie ma w rodzinnym archiwum. Mama, poproszona o to, oddała go do Muzeum w Oświęcimiu. Pojechała do Oświęcimia na wycieczkę, zabrała ten list ze sobą, pokazała go pracownikom Muzeum i nie potrafiła odmówić prośbie o pozostawienie listu wśród eksponatów muzealnych. Kopię tego listu otrzymaliśmy w 2016 roku z Archiwum Muzeum Auschwitz-Birkenau.

Do nas mogły przychodzić listy także pisane tylko po niemiecku. Nie pamiętam, czy musiały być w jakiejś określonej formie, ale wiadomo było, że nie wszystko można było pisać. Korespondencja była ściśle kontrolowana. Listy od rodziców pisali im sąsiedzi z tej samej ulicy, Niemcy z pochodzenia.

Dostawałam listy od Zosi. Ona sama nie знаła niemieckiego, ale mieszkała u niej wysiedlone z poznańskiego małżeństwo Szczepaniaków. Szczepaniak, podobno przedwojenny oficer, znał niemiecki, więc pisał do mnie te listy. Ja im odpisywałam i zawsze dziękowałam za paczki. Rodzina w Ludyni miała wątpliwości, czy ja rzeczywiście te paczki dostaję, czy tylko tak muszę pisać, ale jeden z moich wujków, Kazik – najmłodszy brat mojej mamy – zdecydował, że skoro proszę o paczki, to trzeba je posyłać, bo być może ratują mi życie. Kazik starał się jak mógł, żeby zdobyć jakąś żywność dla mnie do paczki. Pracował w okolicznych dworach przy łapaniu piżmowców, uznawanych wtedy za szkodniki i wyprawiał ich skóry. Były one bardzo drogie i zawsze znaleźli się na nie kupcy. Zawsze dostawałam chleb, ale najbardziej w pamięci utkwiła mi paczka z jabłkami, przygotowana przez znajomego ogrodnika. Jabłka ułożone były w prostokąt i powiązane ze sobą, a nawet miały rączkę ze sznurka do trzymania tej konstrukcji. Kiedy paczka przyszła, wezwano mnie do biura, bo niemieccy urzędnicy chcieli zobaczyć, kto ją dostanie. Nikt nigdy takiej paczki nie dostał, byłam

z niej bardzo dumna. Trudno teraz uwierzyć, że kilka jabłek może sprawić taką wielką radość, a ich przysłanie stać się wielkim wydarzeniem. Do paczki dołączone było zdjęcie Kazika z kuzynką mamy, ale zarekwirowano je. Zabierano wszystkie zdjęcia, zresztą gdzie więźniowie mieli je trzymać? Nie mieliśmy przecież żadnej szafki, nawet własnego łóżka. Listy trzymało się schowane pod poduszką. Paczki też były chowane w łóżku. Kiedyś, jesienią, mama zrobiła mi wielką niespodziankę. Ugotowała garnek młodej kapusty i ze swoją znajomą, której córka Stefa też była w obozie, przyjechała z tym garnkiem do Oświęcimia! Kapusta była zapakowana w pergaminowym woreczku i chyba w pudełku. Zostawiły tę paczkę na poczcie w Oświęcimiu, przekonane, że szybko do mnie dojdzie. Rzeczywiście, paczka doszła szybko, w tym samym dniu. Do dzisiaj pamiętam smak tej kapusty. Była jeszcze prawie ciepła i bardzo dobra, nigdy później takiej nie jadłam.

W jednej z paczek od wujka Kazika dostałam mały, pszenny chlebek i kawałek kiełbasy. Paczka nie mogła być zbyt ciężka, o ile dobrze sobie przypominam powinna ważyć około dwóch kilo. Po weselu innego wujka z rodziny Włodarczyków – Janka – dostałam w paczce weselny placek i krążek swojskiej kiełbasy. Ależ to było święto!

Dostawałam też paczki z domu, od rodziców. Niełatwo było w mieście zdobyć coś dodatkowego do jedzenia, ale mama poradziła sobie na swój sposób. W naszej kamienicy mieszkał Volksdeutsch, do którego mama zaapelowała o pomoc dla córki więzionej w Oświęcimiu. Nie wypadało mu odmówić, więc czasem coś mamie przyniósł z żywności do wysłania. Po wojnie osądzono go i wsadzono na 10 lat do więzienia, za to, że jako sztygar źle traktował górników przymusowo zatrudnionych w kopalni. W czasie rozprawy wskazał jako świadka moją mamę – miała zaświadczyć, że pomagał mi w przetrwaniu obozu. Mama nie chciała się na to zgodzić, ale namówiłam ją w końcu do tego. Taka była prawda, więc należało oddać mu sprawiedliwość. Być może bez zeznań mojej mamy dostałby wyższy wyrok.

Paczek nie można było dostawać bez ograniczeń – o ile dobrze pamiętam, nie częściej niż raz na miesiąc. Paczki przychodziły z bloku, który nazywaliśmy paczkarnią, otwarte, już po dokładnym skontrolowaniu. Odbierała je blokowa i rozdawała wieczorem, po pracy. Raczej nie zdarzało się, żeby coś skradziono z paczki, ale przecież nie wiedzieliśmy dokładnie, co w nich było.

Z czasem zaczęłam dostawać i posyłać listy do domu nielegalną drogą – poprzez znajomą z Sosnowca, która nazywała się Lezuch. Odnalazła mnie któregoś dnia i zaproponowała, że gdybym chciała przesłać jakiś list do domu, to ona może to załatwić przy pomocy cywilów, którzy pracowali razem z więźniami, czy też gdzieś w pobliżu. Odnalazła mnie dlatego, że nasi ojcowie pracowali razem na kopalni i dogadali

się w tej sprawie ze sobą. Od tej chwili korzystałam z tej możliwości, pisałam listy po polsku, w dodatku o czym tylko chciałam i takie same dostawałam z domu. Ta znajoma przeżyła Oświęcim. Po wielu latach spotkałyśmy się w Sosnowcu. Szukałam jej poprzez ZBOWiD i znalazłam. Przypomniałam jej, kim jestem i podziękowałam za pomoc udzieloną w tamtych latach.

Nie pamiętam, kiedy napisałam pierwszy list do domu, chyba po trzech miesiącach pobytu w obozie. Nie pamiętam też dokładnie, jak rodzina dowiedziała się, że jestem w Oświęcimiu. Chyba było to tak: kiedy nie wróciliśmy do Ludyni z Jędrzejowa, rodzice i rodzina w Ludyni pomyśleli, że najprawdopodobniej z łapanek wysłano nas na roboty do jakiegoś bauera w Niemczech i lada chwila przyjdzie stamtąd jakaś wiadomość albo sami przyjeździemy. Jednak z czasem doszły ich słuchy, że trafiliśmy do Oświęcimia.

## Lucyna

Lucia wspomina, że pisała listy do swojej mamy:

Trzeba je było pisać po niemiecku, więc musiałam zawsze kogoś prosić, żeby za kawałek chleba mi napisał. Pani Kama, która знаła niemiecki najczęściej mi te listy pisała. Pani Kama była ze mną aż do Wolkenburga i przeżyła.

Te listy nie zachowały się, wszystkie uległy zniszczeniu. Lucia dostała trzy paczki wysłane przez jej mamę:

Bochenek chleba raz i drugi, ale tego nie dało się zjeść, bo był już całkiem spleśniały.

## Maria

Paczki z żywnością, które dostawały z domu i od przyjaciół Marysia i jej siostra, uratowały Mieci życie i niejednokrotnie pomogły im polepszyć warunki bytu w obozie.

Po dwóch miesiącach dostałyśmy z siostrą pierwsze paczki żywnościowe od przyjaciół z wolności. Niepojęte szczęście. Z pietyzmem otwierałyśmy pudła. Boże, co za skarby – chleb, cebula, domowy smalec, jabłka. Cała koja poczęstowana została kromką wolnościowego chleba ze smalcem i z cebulą. Jadły z nabożeństwem, a my głodziłyśmy pa-

pier z literami nazwisk nadawców. Wkrótce nadawcy byli nieczytelni, atrament pomieszany z naszymi łzami zamazał ich istnienie. Tej nocy emocje nie pozwoliły zasnąć. Paczka przypominała, że istnieje inne życie. Powróciły wspomnienia o bliskich, którzy żyją tak niedaleko, zaledwie 30 kilometrów stąd.

Nie da się ze spokojem, na chłodno, bez ściśniętego gardła czytać słów Marii, która miała szczególny dar przekazywania emocji towarzyszących życiu w obozie. Tym wszystkim, którzy nie zetknęli się z takim lub podobnym miejscem, trudno było uwierzyć, że to drugie życie – za drutami kolczastymi, tak blisko tego „normalnego” świata – mogło wyglądać tak, jak więźniowie je opisywali. Znamy przecież wiele przypadków niedowierzania i wątpliwości. Czyż można bez wątpliwości uwierzyć, że pomięty papier do pakowania stawał się czymś szczególnie cennym, jakby relikwią? Paczki były bezcenne, ale jednocześnie uruchamiały pamięć o życiu, które wydawało się na zawsze utracone.

Maria pisała, że z czasem dostawały z siostrą dwie paczki z żywnością w tygodniu.

Paczka – to była najwyższa wartość w lagrze. Oprócz zaspokojenia głodu, za chleb, cebulę, jabłka można było kupić wszystko – ciepłą bieliznę, lekarstwa, łaskawość władz blokowych. Paczka to było przedłużanie życia.

W niedzielę więźniarki miały trochę wolnego czasu na pisanie listów do rodziny. Nie wszystkie znały język niemiecki, a tylko w takim można było napisać standardową wiadomość do rodziny, korzystały więc z pomocy koleżanek. Należała do nich Marysia.

Ja miałam dodatkowe obowiązki, najlepiej znałam język niemiecki i całe koi pisałam listy do rodzin. Zawsze czyniłam to w niedzielę. Listy były cenzurowane i musiały być optymistyczne. Pisało się zawsze to samo. Jestem zdrowa i czuję się dobrze. Paczki otrzymuję regularnie. Tęsknię za wami i ufam, że dobry Bóg mnie nie opuści.

Wymieniało się pozdrowienia dla wszystkich członków rodziny i znajomych. Każdy list był podobny do poprzedniego. Nic z tego, co pisało się tam po niemiecku na wydrukowanych blankietach, nie było szczere ani prawdziwe. Po prostu był to znak życia.

Niesamowitym przeżyciem był każdy list z domu, od bliskich. Wyrwał z otępienia i zmuszał do tęsknoty. Na chwilę zbliżała się wolność i wszystko, co utracone. Poruszał wspomnienia ze szczęśliwej, nawet tej okupacyjnej przeszłości. Listy, które otrzymywałyśmy, pisane musiały być także w języku niemieckim. Byłam ich tłumaczką. W większości



były bezbarwne, bo nie pisała ich bezpośrednio osoba z rodziny, tylko jakiś obcy człowiek znający ten przeklęty język niemiecki.

Najważniejsze były podpisy krewnych. Jeśli się ktoś nie podpisał, znaczyło to, że był aresztowany lub nie żyje. Tylko podpis znany, nieznieskształcony niemczyzną nie kłamał.

Każdy list był całowany, oblewany łzami, noszony na piersiach jak świętość, dopóki się nie rozpadł lub nie zniszczył po odwszeniu.



## Rozdział VIII

# FLOSSENBÜRG – WOLKENBURG. ROK 1944

W tym roku zaczął się kolejny etap obozowej drogi Alodii, Lucyny, Marii i Mieci. Mama opuściła Oświęcim, ale przecież nie odzyskała wolności – przewieziono ją do pracy do innego obozu, tym razem na terenie Niemiec – do Wolkenburga, filii obozu we Flossenbürgu. Ostatecznym celem jej wędrówki miał być kolejny obóz koncentracyjny – Dachau.

### Alodia

Minął rok 1943, nadszedł 1944. Późnym latem, idąc do Weberei, na rampie, gdzie wyładowywano przywiezionych ludzi, znalazłyśmy porzucane dokumenty z polskimi nazwiskami i zdjęciami, wszystkie z Warszawy. To nas bardzo załamało. Mówiło się o nadchodzącym końcu wojny, a tu przywozili do obozu Polaków. Dowiedziałyśmy się, że to transport z nieudanego powstania warszawskiego. Był to dla nas wielki cios. Kilka osób z tego transportu przydzielono do naszego baraku.

W połowie października wezwano krawcowe i kobiety umięjące szyć do zgłoszenia się do pracy w fabryce w Niemczech. Zgłosiłam się za namową mojej przyjaciółki Lucyny, która wcześniej uczyła się szycia i obiecała mi pomóc, jeśli nie będę dawała sobie rady.

Nasz transport liczył 150 więźniarek. Po jakichś dwóch–trzech dniach wożenia nas po Niemczech stanęłyśmy na małej stacyjce Wolkenburg, gdzie znów czekały na nas aufzejerki w mundurach SS okryte czarnymi pelerynami, tak jak w Oświęcimiu. Straciłyśmy wszelką nadzieję, że będzie lepiej, a gdy nas zaprowadziły do miejsca, gdzie miałyśmy mieszkać, okazało się, że był to kilkupiętrowy budynek, w którym zamieszkałyśmy na drugim piętrze, a one, esesmanki, które nas pilnowały – na trzecim, nad nami. Nieraz słyszałyśmy, jak się bawia, słychać było szuranie po podłodze i muzykę.

I tak, z nikłą nadzieją na poprawę warunków, pracowałam dla firmy A.G. Radio Opta z siedzibą w Lipsku. O tym, jaka to była firma, dowiedziałam się później, po wojnie. Robiliśmy części do aparatów podsluchowych. Praca była bardzo precyzyjna i wymagająca sporej uwagi i skupienia. Pomijając głód, który doskwierał nam jeszcze gorzej niż w Oświęcimiu, warunki sanitarne były tu dużo lepsze.

Więźniarki pracowały cały dzień – od godziny 7.00, z jednogodzinną przerwą obiadową, do 18.00.

Na obiad była zupa, zależało od szczęścia, jak się dostało gęściejszą, to była radość, a jak z wierzchu, to była rzadka. Na wieczór był kawałek chleba i coś do picia, ale nigdy nie miało się tak silnej woli, żeby sobie choć kawałek chleba zostawić na rano. Nieraz próbowałyśmy, ale ten odłożony kawałek chleba nie dał nam zasnąć.

Przetrwałyśmy zimę, wśród coraz częstszych nalotów. Pracując dla zwycięstwa III Rzeszy, trwałyśmy tam do około 10 kwietnia, kiedy znów postanowili nas ewakuować – do Dachau.

Relacja Mamy z pobytu w Wolkenburgu jest dosyć skromna, ogólnikowa – tak, jakby Mama nie pamiętała dobrze tego okresu. Tymczasem Flossenbürg ze swoimi filiami stanowił dla więźniów nie mniejsze zagrożenie niż Oświęcim i Brzezinka. Poszukując informacji o tym położonym w Górnym Palatynacie w Bawarii, kilka kilometrów od czeskiej granicy obozie, natrafiliśmy na kilka książek i artykułów pisanych w ostatnich kilkunastu latach. Jedną z książek, napisaną w 1975 roku przez byłych więźniów Jana Gałęsia i Sylwestra Newiaka, nosi znamienity tytuł: *Flossenbürg. Nieznany obóz zagłady*. Choć od jej napisania minęło ponad 40 lat, wiedza o tym obozie jest wciąż odkrywana i, jak wynika z najnowszych publikacji, dokumentowana. Gałęs i Newiak już we wstępie zaznaczają: „Flossenbürg [...] należał do kategorii tzw. obozów trzeciego stopnia, najokrutniejszych. Tam umieszczano ludzi skazanych za «ciężkie zbrodnie» polityczne, tam przebywali kryminaliści, tam przesyłano karnie więźniów z innych obozów, tam zamęczano ich wszystkich morderczą pracą w kamieniołomach”<sup>1</sup>.

Obóz powstał w 1938 roku z przeznaczeniem dla kryminalistów, ludzi karanych najczęściej za pospolite przestępstwa, jednak od 1939 roku zamykano w nim przeciwników władz hitlerowskich, osoby podejrzane politycznie i niewygodne, a także społeczne, za które poza Niemcami (komunistami, socjaldemokratami, Żydami) uważano także Cyganów<sup>2</sup>. Z cza-

---

<sup>1</sup> J. GAŁEŚ, S. NEWIAK: *Flossenbürg. Nieznany obóz zagłady*. Katowice, ZBoWiD, Wydawnictwo „Śląsk”, 1975, s. 7.

<sup>2</sup> Ibidem, s. 27.

sem trafiali do Flossenbürga więźniowie z innych obozów zagłady, w tym wielu z Oświęcimia. W miarę jak przedłużała się wojna i rosły potrzeby niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, zaczęły powstawać filie obozu. Autorzy cytowanej książki odkryli na podstawie zachowanych dokumentów, że w latach 1944–1945 powstały aż 94 podobozы Flossenbürga, rozsiane w północnej Bawarii, Saksonii i Czechosłowacji. Zatrudniano w nich ponad 90 tysięcy mężczyzn i około 16 tysięcy kobiet. Warunki bytowe były tam jeszcze gorsze niż w obozach macierzystych, co pociągnęło za sobą śmierć wielu osób<sup>3</sup>. Gałaś i Newiak zamieścili w swojej książce kilkanaście zdjęć. Powiedzieć o kilku z nich, że są przejmujące, to powiedzieć za mało. Jak można określić zdjęcia istot nieprzypominających ludzi? Wychudzonych, ledwo trzymających się na nogach lub ułożonych w stertę na środku placu...

Na oficjalnej stronie internetowej obozu we Flossenbürgu znajdziemy wytłumaczenie gehenny więźniów. Obóz miał służyć nie tylko do więzienia i terroryzowania wrogów nazizmu, ale SS zamierzało także czerpać ekonomiczne korzyści z pracy więźniów. Od początku wojny Flossenbürg przekształcał się w obóz dla więźniów ze wszystkich okupowanych krajów Europy. Coraz liczniejsi aż do wycieńczenia pracowali w kamieniołomie przy wydobyciu granitu, a zawsze towarzyszyły temu terror i przemoc. Każdy z nich nosił więzienny strój z numerem i kolorowym trójkątem. Czerwony oznaczał więźniów politycznych i więźniów przymusowych robotników.

Czerwony trójkąt nosiły też Koleżanki.

Od 1943 roku do obozu we Flossenbürgu przybywały coraz liczniejsze transporty więźniów. Z przeludnionego obozu głównego kierowani byli przez władze do podobozów. Proces ten nasilił się od połowy 1944 roku, kiedy zaczęto likwidować hitlerowskie obozy koncentracyjne w okupowanej Europie. Flossenbürg przyjmował tysiące nowych więźniów jako ostatnią rezerwę dla niemieckiego przemysłu zbrojeniowego, a wśród nich całe transporty żydowskich więźniów z innych, likwidowanych w pośpiechu obozów i około 3 tysiące powstańców warszawskich. Wobec tego, że w ciągu dwóch lat: 1943–1945 liczba więźniów z 3300 wzrosła do 15 445, warunki bytowe drastycznie się pogorszyły, więźniowie, o czym wspominały też Alodia, Lucyna i Maria, głodowali. Przed końcem wojny z Flossenbürga wyruszył marsz nazywany marszem śmierci – prawie 40 tysięcy więźniów pędzonych pieszo lub transportowanych w otwartych wagonach towarowych. Tysiące umierały z wycieńczenia, wielu zostało rozstrzelanych lub zakatowanych<sup>4</sup>.

Książka Gałasia i Newiaka, a także oficjalna strona obozu koncentracyjnego we Flossenbürgu, to oczywiście nie jedyne źródła wiedzy o tym obozie i jego filii Wolkenburg. Wśród innych publikacji na ten temat jedna

<sup>3</sup> Ibidem, s. 87–88.

<sup>4</sup> <https://www.gedenkstaette-flossenbuerg.de/index.php?id=2&L=3> [dostęp: 3.07.2018].

jest szczególnie dla naszej rodziny cenna, a nawet wywołująca wzruszenie. Jest to wydane po niemiecku w 2018 roku opracowanie zatytułowane: *KZ Wolkenburg. Todesmarsch nach Dachau*, napisane przez niemieckiego historyka Pascala Cziborrę. Zanim poznaliśmy treść tej książki, znalezionej przez Tomka, mojego syna, w internecie, stała się ona dla nas wzruszającą pamiątką: na jej okładce znajduje się osiem obozowych zdjęć kobiet ubranych w pasiaki, z ostrzyżonymi włosami, w chusteczkach na głowach. Jedna z tych miniatur to zdjęcie Mamy! Czyż można było uwierzyć, że możliwy jest taki zbieg okoliczności? A jednak prawdą jest, że czasami losy jednych ludzi splatają się z losami innych nieprzewidywalnie.

Cziborra opisuje w książce znane nam już fakty i zdarzenia i odkrywa przed nami wiele nowych wątków. Píše o 400 kobietach i dziewczętach, które zostały zmuszone do pracy w Opta Radio AG<sup>5</sup>. Wszystkie przeszły wcześniej przez Auschwitz – 150 Sinti i Romek, które przybyły do Wolkenburga na krótko przed likwidacją obozu cygańskiego w Oświęcimiu w sierpniu 1944 roku, ponad 100 Polek i kilkadziesiąt Rosjanek, Jugosłowianek i Włosek. Autor publikuje wykazy więźniarek z filii Flossenbürga sporządzone przez Hansa Brennera. Figuruje tam panińskie nazwisko Mamy – Kokosza – z uduziwnionym imieniem Cildia. Dane świadczą o tym, że jest to Kokosza Alodia: data urodzenia, numer obozu Wolkenburg (58 190) i data przybycia z Oświęcimia (10.10.1944). Są też nazwiska Koleżanek Mamy: Luci, Gieni, Hani, Marysi i innych<sup>6</sup>.

Lepiej niż Alodia etap ich wspólnego obozowego życia w Wolkenburgu zapamiętała Lucia.

---

<sup>5</sup> Zakład Opta Radio AG, w którym miały pracować więźniarki obozu w Wolkenburgu, przemianowano w 1942 roku w ramach „arianizacji”, aby usunąć z nazwy nazwisko żydowskiego współzałożyciela firmy, dr. Siegmunda Loewe (1885–1962). Jego dwaj młodsi bracia już w 1933 roku wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Firma była liderem w produkcji radioodbiorników. W czasie wojny produkowała radia i radiowe urządzenia pomiarowe dla Luftwaffe, a także sondy meteorologiczne. W 1948 roku Loewe wyegzekwował roszczenia odszkodowawcze, a rok później odzyskał zakłady Opta Radio AG. Firma istnieje do dziś jako Loewe Technologies. Po wojnie do Wolkenburga powróciła także Weberei (*Baumwolleweberei* – zakłady bawełniane), której działalność przerwano w 1943 roku, ze względu na mniejsze znaczenie niż przemysł zbrojeniowy i elektroniczny, na potrzeby których zwolniono pomieszczenia Weberei. W 1947 roku firma została przemianowana na Baumwollweberei Wolkenburg i znacjonalizowana po założeniu NRD w roku 1953. Zob. P. CZIBORRA: *KZ Wolkenburg. Todesmarsch nach Dachau*. Bielefeld, Wydawnictwo Lorbeer Verlag, 2018, s. 10–11.

<sup>6</sup> Pascal Cziborra powołuje się na publikację: H. BRENNER: *Frauen in den Aussenalgeren des KZ Flossenbürg* (Regensburg: Arbeitsgemeinschaft ehem KZ Flossenbürg e. V., 1999).

## Lucyna

Nieco inaczej niż Alodia okoliczności, w jakich dostała się do filii Flossenbürga, wspomina Lucyna:

Poszukiwano osoby do pracy w biurach. Mówiono, że trzeba umieć pisać na maszynie. Ja się zgłosiłam.

Wymienia także osoby, wśród nich Mamę, które również znalazły się w tej grupie:

Były to: Stanisława Bromirska z Radomia, Helena Maczek (numer 40 243) z Krakowa, Franciszka Rapacz (numer 37 607) z Gliwic, Henryka Tarkowska (numer 66 407) z Wągrowca, Gienia Sadzińska (numer 38 157), Alodia Kokosza (numer 30 504).

Wszystkie, poza Gienią, razem pracowały wcześniej w Weberei w Oświęcimiu-Brzezince. Po zgłoszeniu się:

Kazano nam przyjść rano, dali nam cywilne ubrania, ale z tyłu namalowany był ten czerwony pas. Zaśpiewaliśmy jeszcze „Pod Twoją obronę” i około 12.00 wsadzono nas do wagonów. Każda miała łyżę w oczach, bo nie wiedziałyśmy, dokąd jedziemy.

W transporcie:

Było 200 Polek i 200 Cygarek. Po dwóch dniach dojechałyśmy na miejsce do Wolkenburga. To był podobóz Flossenbürga. Mieszkałyśmy tam w trzypiętrowej kamienicy. Cyganki na pierwszym, a Polki na drugim piętrze. Po dziesięć do dwudziestu więźniarek w każdej sali. Na trzecim piętrze mieszkał personel SS. Łazienka i ubikacja były na miejscu i można się było myć do woli. Raz w miesiącu korzystałyśmy z łaźni fabrycznej. Fabryka mieściła się w sąsiedztwie kamienicy, w której mieszkaliśmy. Mówiono, że była to fabryka samolotów. Nawet był schron pod fabryką. Dziedziniec fabryczny otoczony był wysokim murem. Codziennie o 5.00 rano odbywał się apel, po czym szłyśmy do jadalni fabrycznej na śniadanie (czarna kawa lub jedno żółtko), a potem szłyśmy do pracy. Pracowałyśmy w dużej hali, gdzie stały różnego rodzaju maszyny. Ja pracowałam przy maszynie elektrycznej i nakładałam metalowe szpuleczki, które miały służyć do jakichś aparatów. Niemka, która pracowała przy tej maszynie, była moją instruktorką. Praca była stosunkowo lekka i po zapoznaniu się z nią pracowałam samodzielnie. Pracowałyśmy na dwie zmiany, po 12 godzin. Naprzeciw maszyny



wisiał na ścianie duży zegar, który wskazywał godziny naszej pracy. To nas wykańczało.

Każda próba przełamania monotonii pracy, urozmaicenia jej, kończyła się karą i upokorzeniem:

Kiedys, już chyba było to w lutym, jedna z naszych koleżanek Miecia z Sosnowca zakręciła sobie na niedzielę włosy. Za karę ten Oberscharführer kazał nam stać na apelu 12 godzin.

W opisywanej przez Lucynę fabryce pracowały same kobiety. Wśród nich znalazło się 100 kobiet, które przybyły do Wolkenburga z transportem więźniów – powstańców warszawskich. Dla Lucyny życie w tym obozie było lepszą odmianą życia w Brzezince:

Tam było nieźle – zupa była lepsza i warunki mieszkaniowe też, nawet święta – Boże Narodzenie i Wielkanoc – były trochę inne niż w Oświęcimiu. Najgorsza była ta dwunastogodzinna praca. Ale potem zaczęły się naloty. Syrena wyła często. Nieraz i boso wyskakiwało się z łóżka i biegło do schronu.

## **Maria**

Wolkenburskie wspomnienia Marysi sięgają września 1944 roku, kiedy z siostrą przebywały jeszcze w Oświęcimiu.

We wrześniu rozpoczęła się ewakuacja Birkenau. Codziennie kilkaset kobiet wyjeżdżało z obozu. Dokąd? To był codzienny wieczorny temat na kojach. Przecież byłyśmy świadkami wszystkich popełnionych tu zbrodni. Co mogą z nami zrobić? W jaki sposób się nas pozbędą? Na pewno wywiozą do innego lagru i spalą. Może lepiej starać się tu zostać i doczekać oswobodzenia. A jeśli zostaniemy, zbliży się front, Niemcy w ostatniej chwili rzuca bombę na obóz i wytłumaczą światu, że to bomba aliancka. Zamęczałyśmy się przewidywaniami. Decyzje codziennie się zmieniały. W końcu postanowiłyśmy wyjechać. Stało się to dnia 7 października 1944 roku. Załadowane do bydłych wagonów, w 150-osobowej grupie kobiet opuszczaliśmy obóz, z pieśnią: „Żegnaj straszny Oświęcimie i potworne Birkenau”. Łzy cisnęły się do oczu, kiedy mijałyśmy rodzinne strony. Czy oglądamy je po raz ostatni w życiu? Dokąd nas wiozą? Może przeżyjemy, ale zawsze będziemy przy płonących rowach i zięjących kominach krematoriów.

Maria pisze o swoich obozowych losach bardzo emocjonalnie. Dzięki temu wiemy, co mogły odczuwać te młode kobiety i dziewczyny, wchodzące dopiero w dorosłe życie, a już w jakiś sposób napiętnowane śmiercią. Często zadaje sobie pytanie, czy będąc w takiej sytuacji jak Koleżanki, można myśleć tak, jak zwykle myślą młodzi ludzie: jakoś to będzie, całe życie przed nami, wszystko jest możliwe? O to nie zapytałam, ale może młodość ze swoją naiwnością i brakiem życiowego doświadczenia pozwala przeżyć każde piekło?

Podróż trwała dobę. Przywieziono nas do miasteczka Wolkenburg w Saksonii, gdzie mieścił się oddział obozu koncentracyjnego Flossenbürg. W przeciwieństwie do Birkenau, gdzie tylko po wieczornym apelu wpuszczano na blok, tutaj przebywałyśmy w zamkniętych, zamaskowanych pomieszczeniach. Przez pół roku nie oglądałyśmy bożego świata. Cały dzień pracowałyśmy przy wytwarzaniu drobnych elementów i aparatury do samolotów. Praca ta wymagała dużej precyzji. Nie wszystkim więźniarkom się udawała. Każdy błąd, dostrzeżony przez kontrolę, traktowany był jak sabotaż. Na skutek złych wiadomości z frontu, nasze esesmanki nasiliły represje. Wymyślały dla nas przeróżne kary. Największą sadystką była zastępczyni komendanta, która tak długo tłukła swoje ofiary, póki krew nie bluzgała na ściany.

Maria pisze, że ją kary ominęły, ale jej siostra Miecia nie uniknęła ich. Lucyna pisała o karze, jaką Miei wymierzono za zakręcenie sobie włosów, jednak Maria opowiada o zdarzeniu inaczej:

Jedna z aufzejek chciała jej [Miei – H.R.] ostrzyć odrośnięte już nieco włosy. Siostra, broniąc się, złapała ją za rękę trzymającą nożyczki. Esesmanka zaczęła krzyczeć na całą halę, że przekłeta Polka ją bije. Przybiegł komendant z pistoletem gotowym do strzału. Zamarłyśmy z przerażenia. Sytuację uratował majster, cywilny Niemiec, który obserwował całe wydarzenie i zeznał, że aufzejerka kłamie. Skończyło się na osadzeniu siostry w bunkrze i wypędzeniu wszystkich Polek, bez ubrania, przy 15-stopniowym mrozie na kilkugodzinny apel na przyfabrycznym placu. Był to nasz jedyny kontakt ze świeżym powietrzem. Na szczęście nie było po nim śmiertelnych ofiar.

## Lucyna

Chyba w kwietniu 1945 roku przyszła koleżanka z nocnej zmiany i powiedziała, że coś się dzieje, bo wynoszą dokumenty i różne papiery i pałą. Ucieszyłyśmy się bardzo. Potem przyszła aufzejerka i kazała się zbierać. Powiedziała, że jesteśmy ewakuowane. Dali nam prowiant

i wyprowadzili nas z obozu. Doszliśmy do jakiegoś lasu i tam Cyganki rozgrały cały prowiant – z głodu po prostu. Szliśmy dość długo, cały czas pieszo. A przedstawiali nas wszędzie, że jesteśmy Żydówkami. Po kilku dniach dotarliśmy do jakiegoś więzienia. Ale tamten komendant nie chciał nas przyjąć, bo sam miał kłopot, co zrobić ze swoimi więźniami. Napiliśmy się tylko kawy i ruszyliśmy dalej. I tak szliśmy cały tydzień. W końcu nasz komendant załatwił nam jakieś wagony-węglarki.

## Rozdział IX

# DROGA DO DACHAU – „MARSZ ŚMIERCI” KWIECIEŃ 1945

W książce Pascala Cziborrry znaleźliśmy szczegółowe informacje o okolicznościach ewakuacji obozu w Wolkenburgu. W kwietniu 1945 roku koniec wojny wydawał się oczywisty, front szybko zbliżał się do Wolkenburga, dokąd już 13 kwietnia dotarły amerykańskie oddziały wojskowe. W tym dniu o świcie zaczęła się ewakuacja obozu. Mieszkańcy miasteczka dostrzegli niekończący się sznur więźniów, który opuścił fabrykę. Było ich ponad 360. Ewakuacja obozu Wolkenburg była tematem procesu z Dachau w latach 1946–1947, jednak w oficjalnych aktach dostępne są tylko pośrednie dowody<sup>1</sup>.

### Alodia

Przyszedł kwiecień 1945, rozkazano przeprowadzić nasz obóz, złożony z 200 Polek i 200 niemieckich Cyganek, do Dachau. W taki sposób wyruszyliśmy w ostatni etap wojennej wędrówki.

W innym miejscu Mama tak pisze o tym dniu:

Na razie wyprowadzili nas pieszo, 150 osób, później postarali się o jakiś wagon. To, co nam dali, to kawałek chleba i jakiś tłuszcz płynny. Chleb szybko zjadłyśmy, a tego tłuszczu nie, ponieważ uznałyśmy, że może to być zbyt niebezpieczne.

Załadowano nas do wagonów towarowych pociągu, bez jakiegokolwiek zaopatrzenia w żywność. Kiedy nie można było z jakiejś przyczynyjechać dalej, wręcz wyganiano nas z pociągu. Należało wtedy iść pieszo,

---

<sup>1</sup> P. CZIBORRA: *KZ Wolkenburg. Todesmarsch nach Dachau*. Bielefeld, Wydawnictwo Lorbeer Verlag, 2018, s. 58–59.

na okaleczonych i chorych nogach. Słabe i wycieńczone z głodu, nie mogąc iść już dalej, stanęliśmy w lesie, zapowiadając komendantowi, że nie przejdziemy ani metra, jeśli nie dadzą nam jeść. Komendant, nie mając raczej skąd wziąć jedzenia dla nas, przyrzekł zaprowadzić nas do Francuzów, którzy pracowali niedaleko na przymusowych robotach. Ich obóz był mały, było w nim niewiele osób, sami mężczyźni. Ucieszyliśmy się, że Francuzi poczęstują nas obiecaną zupą. Strażnicy tak nas tą zupą mamili, żebyśmy się nie buntowali. Narzekaliśmy cały czas, że nogi nas bołą, że jesteśmy głodne.

Francuzi zgodzili się odstąpić nam część swojego posiłku. Gotowali akurat zupę z kaszy w dużym kotle. Coś w nim było poza wodą, ale nie wiedzieliśmy co. Wydawało nam się, że to gotowanie nigdy się nie skończy i chcieliśmy zjeść tę zupę oczami. Nasi strażnicy gdzieś się ulotnili, został tylko ktoś do pilnowania nas. Wkrótce komendantowi zameldowano, że podstawiono wagony dla nas i szybko należy do nich przejść, żeby pociąg nie blokował wojskowej linii kolejowej. No i zupy nawet nie spróbowałyśmy. Musiałyśmy odejść od tego pełnego kotła! Głodne jechałyśmy dalej w kierunku Dachau. Komendant był zadowolony, nie słysząc już przynajmniej naszego narzekania. Siedzieliśmy cicho i pokornie, na nic więcej po prostu nie było siły.

Ktoregoś słonecznego dnia nasza trasa została tymczasowo zajęta, dlatego odstawiono nasz pociąg na bocznice w Weiden, małym mieście blisko niemiecko-czeskiej granicy. Cały czas wyły syreny – najpierw na nalot, potem na jego odwołanie. I tak w kółko. Za namową kolejarzy pozwolono nam wyjść na peron stacji w Weiden. Pilnujący nas strażnicy uciekali i chowali się w schronie przed nalotami, ale po odwołaniu alarmu zbierali wszystkie więźniarki i dosłownie zapędzali do wagonów. Jedną z naszych koleżanek, Gienia Sadzińska, wpadła na pomysł ucieczki, jak tylko syreny ogłoszą nalot. Miałymy po 18–20 lub niewiele więcej lat, chcieliśmy się za wszelką cenę uratować. Więc w czasie nalotu biegłyśmy w około 10 dziewczyn jak najdalej od pociągu, od osób nas pilnujących. Uciekałyśmy w czasie nalotu, narażając własne życie. Nie zdawałyśmy sobie z tego sprawy, nie wiedzieliśmy, jak mamy się zachowywać w czasie nalotu, że nie wolno uciekać, ruszać się, przemieszczać. Skąd miałyśmy o tym wiedzieć? Przecież nikt nas w tym kierunku nie szkolił. Nad nami latały samoloty, chyba angielskie lub amerykańskie. Ostrzeliwali wszystko wkoło, ale do nas nie strzelali. Chyba widzieli, że to grupka cywilów.

Opowiadając o ucieczce z transportu obozowego w Weiden, Mama niejednokrotnie podkreślała, że tylko dzięki Gieni zdecydowała się dołączyć do uciekinierek. Nasza kuzynka wspomina Mamę opowieść, jak to Gienia dobierała sobie koleżanki do uciekającej grupy, wśród których znalazła się Lucyna. Przyjaciółka Mamę zapytała, czy Lolka też może z nimi uciekać.

Gienia zgodziła się i tak rozpoczął się kolejny etap obozowej wędrówki grupki koleżanek.

W zachowanych kilku listach Mamy do Lucyny – tych od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku – Mama ciągle powraca do lat obozowych i tych kilku szczęśliwych miesięcy przeżytych po odzyskaniu wolności w Weiden. Nie było właściwie listu niezawierającego takich wątków. W liście do Lucyny z 8 lutego 1999 roku Mama tak wspomina okoliczności ucieczki z transportu z Wolkenburga:

[...] całe moje życie młode jest związane z Tobą. Razem przeżyliśmy te trudne chwile w Weberei i później w Wolkenburgu przy tej maszynie, o niczym nie myśląc, tylko o jedzeniu, bo zawsze byliśmy głodne. I później ta tragiczna ewakuacja, kiedy było już prawie beznadziejnie na jakąkolwiek nadzieję na życie, na uratowanie życia. Nagle spłynęła na nas Łaska Boża, że ta Gienia taka odważna, postanowiła ostatni desperacki krok – ucieczkę. I Ty o mnie nie zapomniałaś, wrobiłaś mnie w tę ostatnią szansę na ratowanie życia, a była to już ostatnia chwila, a wolność była tuż tuż. Gdyby nie Ty, to ja bym sama nigdy nie odważyła się na taki krok, bo, jak sama wiesz, nie było to łatwe, a wręcz było to bardzo ryzykowne, bo wszędzie byli Niemcy. Ja zawsze o tym myślę, że Tobie zawdzięczam życie.

## Lucyna

Gienia w jakiś sposób rękami zrobiła w drzwiach dziurę i wyszła, a potem pomogła wyjść mnie. Ale zanim zdążyłam wyjść, skończył się nalot i wyszła aufzejerka i cofnęła mnie z powrotem do wagonu. Ale Gienia, która była na zewnątrz, dostała się do wagonu z żywnością, zabrała chleb, smalec i przyniosła to ze sobą. Potem zaczęła kłócić się z aufzejerką, żeby otwarła wagony. Po jakimś czasie Niemka otworzyła wagon i wyszliśmy wszystkie. Zabrałyśmy tę żywność i uciekałyśmy – ja, Gienia, Lolka, Hania. Znow zaczął się alarm, ale już nie zważałyśmy na nic, tylko biegłyśmy, aby dalej od tego peronu. Dobiegłyśmy do lasu, gdzie płynął strumyk. Znalazłyśmy puszki, które Niemcy wyrzucali, набраłyśmy w nie wody i zaczęłyśmy jeść chleb i kiełbasę zdobyte przez Gienię.

## Alodia

Podobne wspomnienia o tych zdarzeniach zachowała Mama:

Szybko oddalałyśmy się od stacji i naszego pociągu. Weszłyśmy do lasu i trafiłyśmy na małą polanę. Pod nogami wyczułyśmy wodę, te-

ren był dosyć podmokły. Ucieszyliśmy się z tego, bo miałyśmy okazję obmyć się wreszcie po trudach podróży w bydłym wagonie, brudnym i śmierdzącym. Rozebrałyśmy się do naga i wytarzałyśmy w tej mokrej trawie. Ależ to była radość! Po długim czasie mycia się byle jak i na rozkaz, zawsze pod nadzorem obozowych strażniczek, mogłyśmy pławić się w tej pachnącej, podmokłej łące do woli. Któraś z nas miała prawdziwy skarb – kawałek mydła, którym nacierałyśmy się nawzajem. Trudno to było nazwać mydłem – nie pieniało się, a jedynie zabieliło, ale to także nie zamąciło radości z tej nietypowej kąpieli.

Śmiałyśmy się jak dzieci, chlapałyśmy się wodą. I prawie zapomniałyśmy, jak i dlaczego znalazłyśmy się na tej łące, gdy tę sielankę przerwał wyłaniający się z lasu niemiecki żołnierz w pełnym rynsztunku, z wycelowanym w nas karabinem. Zaczął na nas krzyczeć, że robimy za wiele szumu, a w dodatku rozłożonymi na krzakach ubraniami dajemy atakującym samolotom znaki. Miał na myśli nasze ubrania, które uprałyśmy i rzeczywiście rozwiesiłyśmy na drzewach i krzakach. Sądzę, że ten żołnierz zdezerterował z wojska, ukrywał się w tym samym lesie i obawiał się, że swoim zachowaniem ściągniemy na polankę uwagę pilotów amerykańskich samolotów. Szybko pozbierałyśmy swoje rzeczy i naogo uciekłyśmy do gęstszego lasu. Tam dopiero ubrałyśmy się.

## Maria

Maria znalazła się w tym samym transporcie do Dachau, jednak w innej grupie więźniarek niż Alodia i Lucyna. Píše o pierwszym dniu tej podróży:

Wieczorem dotarłyśmy do Zwickau. Nocowałyśmy w jakiejś pustej fabryce. Rano załadowano nas do towarowych pociągów. Podróż odbywała się z przeszkodami. Co kilkadziesiąt minut nadlatywały samoloty i ostrzeliwały pociąg. Początkowo w czasie nalotów wypuszczano nas z wagonów. Potem tylko władze się chroniły, a nas zostawiano w zamkniętych wagonach. Panika zapanowała, kiedy wagon zaczął się palić. Nadludzkimi siłami wyłamałyśmy deski i wydostałyśmy się z wagonu. Nie zważając na strzały, pędziłyśmy w stronę widocznego na horyzoncie lasu. Z przerażeniem dostrzegłyśmy tam ukryte w krzakach grupki żołnierzy z Wehrmachtu. Nie reagowali na naszą obecność, byli to dezertyrzy z wojska.

## Alodia

Schroniłyśmy się w pobliskim lasku. Nieopodal zauważyłyśmy grupkę żołnierzy – nie pamiętam już, jakie to było wojsko. Coś do nas z da-



leka krzyczeli, machali rękami, ale nie wiedzieliśmy, o co im chodzi. Dopiero później zorientowaliśmy się, że nas ostrzegali, żeby nie biec w czasie nalotu, paść na ziemię, gdzieś się schronić. W lasku odpoczęliśmy trochę i zjadliśmy część paczki żywnościowej, zorganizowanej przez Gienię. Kiedy wyszliśmy na peron, Gienia zauważyła tę paczkę przygotowaną do wysłania, chyba dla jakiegoś żołnierza. Obejrzała ją dokładnie i odkryła, że jest w niej żywność. Właśnie ta paczka miała być głównym celem ucieczki, Gienia wiedziała, że jej ujawnienie na peronie nie dawałoby szans na zjedzenie czegokolwiek. Paczka okazała się bardzo atrakcyjna, był w niej chleb, ciasto, duży kawałek kielbasy. Szykowałam się na ucztę, a tymczasem każda z nas zjadła wszystkiego po małym kawałku i już byliśmy pełne. Po prostu miałyśmy tak zasuszone i odzwyczajone od normalnego jedzenia żołądki, że musiało upłynąć dużo czasu, zanim wróciły do normy.

Słuchając nagranej opowieści Mamy, zastanawiałam się, jak możliwe było zdobycie paczki żywnościowej przez Gienię i co to znaczyło, że Gienia ją „zdobyła”. Wy tłumaczenie znalazłam w książce Cziborry. Historyk ten zdaje szczegółową relację o przybyciu 17 kwietnia 1945 roku transportu więźniarek z Wolkenburga do Weiden, korzystając z dokumentów Amerykańskiego Urzędu Śledczego. Jeden ze świadków obrony, kolejarz, zeznał, że transport ten dotarł podczas jego dyżuru do stacji kolejowej w Weiden. Transport kobiecy przybył rano, dwa lub trzy wagony z więźniarkami dołączono do zwykłego pociągu pasażerskiego. Cały ranek trwał nalot i kiedy świadek wyszedł ze schronu, „ujrzał grupę więźniarek, które na peronie mocowały się ze sobą o paczki z żywnością”. Paczki te więźniarki wykradły z magazynu znajdującego się na stacji. Kobiety następnie wróciły do wagonów. Transport więźniarek z Wolkenburga zapamiętał także inny świadek – administrator kolei państwowych w Weiden. Zeznał, że pamięta także szczególnie silny nalot tego dnia. Po nalocie zobaczył grupę więźniarek rozrywających na peronie paczki pocztowe. W tym czasie nie było tam strażników. Z dokumentów wynika, że więźniarki rozproszyły się, znaczna część wróciła do wagonów, ale 160 uciekło<sup>2</sup>.

Wiadomo już, jak Gienia zdobyła paczkę żywnościową, której zawartością podzieliła się z koleżankami. Wzięła udział w ograbieniu poczty przewożonej w ich pociągu. Desperacja i głód kobiet biorących w tej kradzieży udział musiały być nie do opanowania. Zapewne strażnicy, gdyby nie uciekli do schronów, nie wahaliby się strzelać do walczących ze sobą o żywność kobiet. Za znacznie mniejsze przewinienia karano więźniarki śmiercią. Wszak życie uwięzionych nie liczyło się, nie miało żadnej wartości dla tych, którzy więzili.

---

<sup>2</sup> Ibidem, s. 61–62.

## Alodia

Szłyśmy dalej lasem, coraz gęstszym. Wiedziałyśmy, że nikt za nami nie biegnie, psy nie szczekają, nikt nas nie szuka. Wobec tego postanowiłyśmy odejść jak najdalej od Weiden i naszego transportu. Drogę obierałyśmy według własnego rozeznania. Wydawało się, że przecież gdzieś dojdziemy, do jakichś zabudowań. Las rozciągał się na pagórkowatym terenie. Był dosyć rzadki, więc nie szło nam się źle, ale zaczęło się zmierzchać, więc dobrze byłoby dojść do jakichś zabudowań. W przeciwnym razie noc zastałaby nas w lesie. Nie bałam się tego jakoś specjalnie, bo czego można się jeszcze bać po dwóch latach obozu koncentracyjnego, ale w nocy w lesie nie jest przyjemnie. Byłyśmy poza tym bardzo zmęczone, każda myślała już tylko o jakimś odpoczynku. Na jednym z pagórków widniała wieża kościoła. I tam postanowiłyśmy iść.

## Lucyna

Lucyna dodaje, że po drodze do tego małego kościoła spotkały kolejnych pięć więźniarek z ich transportu i w dalszą drogę postanowiły pójść razem. Ze wspomnień Lucyny i Mamy wynika, że w tej spotkanej po drodze grupie była Maria i jej siostra Mieczysława. Kolejny raz zatem splotły się losy Koleżanek z jednej obozowej pryczy.

## Maria

Marysia nie pisze o tym w swoich wspomnieniach. Tak natomiast opisuje pierwszy dzień po ucieczce z transportu:

Minęło radosne oszołomienie wolnością. Zaczęłyśmy się zastanawiać, co robić dalej. Na rękach miałyśmy wytatuowane numery. Obawiałyśmy się, że komendant zarządzi pościg za nami. Obiecywał, że każdy uciekinier będzie rozstrzelany. Nie miałyśmy odwagi wyjść z lasu. Głód dokuczał okrutnie. Był początek kwietnia, w lesie kiełkowała już trawa. Skubałyśmy kielki, popijając wodą ze strumyka. W nocy wtulałyśmy się jedna w drugą i próbowałyśmy spać. Było zimno, rano wszystkie drzewa były oszronione. Opuściłyśmy las i dotarłyśmy do pobliskiej wioski. Po bezskutecznych prośbach o nocleg w kilku domach, wreszcie jeden z gospodarzy pozwolił nam się przespać w chlewie ze świniami. Szczęśliwie ułożyłyśmy się na słomie. Było tak ciepłutko. Zjadłyśmy świniom połowę kolacji, zgniecionych ziemniaków z ospą.

## Alodia

Zdawało nam się, że to musi być bardzo blisko, w rzeczywistości musieliśmy przejść z 10 kilometrów, tak że zaczęło się ściemniać. Dotarliśmy do wioski na górze. Wy tłumaczyliśmy tamtejszemu sołtysowi (tłumaczyły te, które znały jako tako niemiecki), że jesteśmy z firmy i zbombardowano nas w Weiden, dlatego nie mamy przy sobie żadnych dokumentów. Że szef ma nasze papiery i gdzieś się zapodział w lesie. Sołtys zaproponował nam nocleg w wiejskiej szkole. Po tylu dniach i nocach naszej poniewierki, woźna szkółki zaprowadziła nas na prawdziwy nocleg. W miejscu, gdzie miałyśmy spać, stacjonowało wcześniej wojsko, które się wycofało, zostawiając żelazne łóżka i jakąś pościel. Sołtys tłumaczył się, że pościel jest niestety niezmienniona, a kiedyż my ostatni raz widziałyśmy pościel! Zamknął drzwi na klucz, bo wyglądało na to, że ma wobec nas jakieś podejrzenia. Zdjęliśmy tylko buty i zasnęłyśmy twardym snem, pomimo obolałych i poobcieranych nóg. Podobno tej nocy przelatywały samoloty, my tego jednak nie słyszałyśmy.

## Lucyna

Każda spała w osobnym łóżku, ale bałyśmy się przez cały czas. Jeszcze pozostał ten strach poobozowy. Zakrywałyśmy numery na rękach.

## Alodia

Noc minęła i trzeba było opuścić noclegownię. Woźna otworzyła drzwi z klucza. Nikt nas już o nic nie pytał, ale widziałyśmy, że sołtys nie uwierzył w opowieść o zagubionym szefie naszej firmy i utraconych dokumentach. Nie zaproponowano nam nic do jedzenia czy picia, ale miałyśmy przecież swoją paczkę. Postanowiłyśmy zjeść coś dopiero po wyjściu ze wsi. Wyszłyśmy za zabudowania wsi, szukając jakiegokolwiek szosy, byleby iść jak najdalej od Weiden. Maszerowałyśmy dosyć długo, cały czas podążając w odwrotnym kierunku niż ten, z którego przyszłyśmy. Spotkałyśmy młodego chłopca na brzegu następnego, wysokiego, rzadkiego, lasu. Chciałyśmy go wyminąć, ale on odezwał się do nas po polsku! Wiedział, że jesteśmy Polkami, bo przecież w małej wsi wiadomości rozchodzą się szybko. Obiecał, że jak jego niemiecki gospodarz pójdzie do domu na śniadanie, przyniesie nam trochę ziemniaków. Rzeczywiście, przyniósł spory worek kartofli i pokierował nas do małego domku na skraju wsi, gdzie mieszkało włoskie małżeństwo. Miał rację, że bez zbędnych pytań pożyczili nam garnek, w którym postanowiłyśmy – w lesie, żeby gospodarzy nie narażać na wizytę żołnierzy – ugotować zdrowe ziemniaki. Nie pamiętałam już, kiedy

ostatni raz jadłam coś ciepłego. Znalazłyśmy cegły, ułożyłyśmy z nich palenisko, w rowie wypłukałyśmy ziemniaki i zabrałyśmy się za ich gotowanie. Jak one pachniały! A jak smakowały! Nigdy już gotowane ziemniaki tak mi nie smakowały.

Baliśmy się zbyt długo po tej uczcie odpoczywać i ruszyłyśmy dalej szosą. Zrobiła się szarówka. Po długim marszu doszłyśmy do jakiejś miejscowości, zbliżyłyśmy się do jej opłotków i zobaczyłyśmy napis: „Weiden”. To załamało nas kompletnie. Po dwóch dniach wędrówki znów w punkcie wyjścia! Zbliżał się wieczór, należało pomyśleć o miejscu do spania. Znalazłyśmy jakiś mały lasek na przedmieściu. Zabrałyśmy się do zgarniania ściółki na posłania dla siebie, co zauważyli mieszkający nieopodal Niemcy. Zaprosili nas po dwie do swoich domów, oferując przenocowanie. Skorzystałyśmy oczywiście. Noclegu w normalnym domu odrzucić się nie dało. Dom, do którego trafiłam razem z Lucyną, był jak z bajki. Niemka, właścicielka, całkiem młoda, mieszkała sama. Nie miała dzieci, mąż poszedł na wojnę. Dała nam coś ciepłego do zjedzenia, położyła spać. Wygodne łóżka, piernaty i pierzyny – dla nas było to zbyt wygodne. Położyłyśmy się na chodniczkach obok łóżek i dopiero wtedy zasnęłyśmy. Rankiem gospodyni nakarmiła nas, ale na moje pytanie zadane tak jak umiałam, czy możemy u niej zostać, stanowczo odmówiła. Do zmierzchu radziłyśmy w pobliskim lasku o dalszych decyzjach. Postanowiłyśmy pójść do ludzi, u których nocowały poprzedniej nocy inne koleżanki, z prośbą o pozwolenie nam przez jakiś czas u nich przebywać. To byli mili państwo, starsze małżeństwo, córka i wnuk, nie starszy niż 10 lat. Pobyt polegał na tym, że gospodarze w dzień wychodzili na cały dzień do lasu, a my pilnowaliśmy im domu. W lesie chronili się przed nalotami, ale my nie baliśmy się niczego, więc zaproponowałyśmy im taki układ. Zgodzili się, chociaż dosyć niechętnie, jednak już wiadomo było, że ich żołnierze przegrali wojnę, więc byli skory do ugody z nami.

## Maria

Nie możemy zapytać już ani Mamy, ani pani Lucyny i pani Marii, której wspomnienia utonęły w niepamięci, jak to było z ich spotkaniem się w lesie po ucieczce. Z zapisków i nagrań wynika, że kilka grupiek uciekinierek spotkało się i przeczekało około dwóch tygodni w okolicach Weiden do wyzwolenia ich przez amerykańskich żołnierzy. Ale czy razem? Wydaje się, że jeżeli nie razem, to pozostając ze sobą w kontakcie. Grupka więźniarek, w której znalazły się Marysia i Miecia, także postanowiła uchodzić za pracownice zbombardowanej w Weiden fabryki. Ustaliły, podobnie jak Mama i Lucyna ze swoją grupą, że rozproszyły się w czasie nalotu, a ich szef

z dokumentami zostawił je i uciekł. Po nocy spędzonej w chlewie grupka Marysi i Mieci zbliżyła się do przedmieść Weiden.

I tu spotkało nas szczęście. Uboga kobieta zaprosiła nas na obiad. Mieszkała z kilkorgiem małych dzieci, mąż był w wojsku. Pozwoliła umyć się. Stół nakryła białym obrusem. Nalała do talerzy gęstej, gorącej zupy i zaprosiła do stołu. Patrzyła na nas ze zdziwieniem, bo cała szóstka oniemiała ze wzruszenia. Płakałyśmy. To był nasz pierwszy posiłek zjedzony w cywilizowany sposób.

Od tej kobiety dowiedziałyśmy się, że w lesie w Weiden znajdują się dziesiątki baraków, w których mieszkają cudzoziemcy przywiezieni na przymusowe roboty i są także Polki. Zaraz po obiedzie odszukałyśmy nasze rodaczki. Były to warszawianki przywiezione tu po powstaniu. Przyjęły nas z niechęcią, odmawiając wszelkiej pomocy. I kiedy tak stałyśmy zdesperowane, nie wiedząc co ze sobą robić, z sąsiedniego baraku wyszedł smagły, nieduży mężczyzna z czarnymi, kręconymi włosami. Przyglądał się nam ze współczuciem, wreszcie podszedł i zapytał po rosyjsku: „Co wy tu biednieńkie robicie?”. Opowiedziałyśmy wyuczoną bajeczkę o zbombardowanej fabryce i braku noclegu. Zaprosił nas do baraku, naradził się z kolegami. Opuścili jedną sztubę, w której znajdowały się trzy łóżka, stół, szafa i piecyk z rurą w suficie. Tam, w tajemnicy, Kola Armeńczyk ze swoimi kolegami przechowywali i żywili nas do wyzwolenia. Trwało to dwa tygodnie – do 22 kwietnia, w którym to dniu oswobodzili nas Amerykanie.



## Rozdział X

# WOLNOŚĆ – WEIDEN

To małe niemieckie miasteczko odegrało w życiu Mamy i jej Koleżanek ważną rolę. Tam zaczęły nowy etap swojego życia – pierwsze tygodnie i miesiące wolności. Dni bez strachu i lęku o swoje życie, bez głodu, a nawet w pewien sposób beztroskie.

### Alodia

Byłyśmy u nich, tych starszych Niemców, co najmniej przez tydzień, do wkroczenia Armii Amerykańskiej w niedzielę 22 kwietnia. To był najcudowniejszy dzień mojego życia. W oknach domów zobaczyłam białe flagi na znak poddania się.

Pewnego dnia zauważyłyśmy wychodzącego z lasu amerykańskiego żołnierza. Wojna dobiegła końca. Skierował się do furtki naszego domu, ostrożnie ją otworzył, a my bezmyślnie rzuciłyśmy się mu na spotkanie. Amerykanin tymczasem podniósł broń gotową do strzału, bo nie wiedział przecież, kto tak go wita – swój czy wróg. To nas nieco otrzeźwiło. Przeszedł koło nas, mierząc z tego karabinu i sprawdził, czy w domu nie ma niemieckich żołnierzy. Tymczasem od strony lasu nadjeżdżał cały oddział amerykańskiego wojska. Wrócili nasi gospodarze zdziwieni, że amerykańscy żołnierze nie wyrzucają ich z domu, nie krzyczą, nie strzelają, nie biją ich.

Po południu w koszarach zawieszono flagę amerykańską. Powiewała nad miastem, zwiastując nam wolność. Postanowiłyśmy iść do miasteczka zobaczyć, jak Amerykanie zajmują koszary i zaczynają okupację. Dla mnie największym wtedy zmartwieniem było to, że miałam buty nie do pary! Takie dostałam na drogę z jednego obozu do drugiego. Bardzo się tych butów wstydziłam, chociaż do tej pory wcale mi to nie przeszkadzało. Jak tu iść oglądać Amerykanów w różnych butach na nogach?



Wojsko amerykańskie zrobiło na nas wielkie wrażenie. Jechali na wielkich transportowych samochodach, uśmiechnięci, porządnie umundurowani. Tym, którzy im się przyglądali, rzucali papierosy. Z takim wojskiem nie miałyśmy nigdy do czynienia. Wśród Amerykanów słychać było polski język! Domyśliłam się, że w wojsku amerykańskim służą też Polacy, zapewne członkowie Polonii. To nie był czysto polski język, raczej polsko-angielski.

Amerykanie wprowadzili w zajętych przez siebie miejscowościach godzinę policyjną. Szybko dowiedziałyśmy się, co to znaczy. Z domu „naszych” Niemców wybrałyśmy się do miasta obejrzeć to amerykańskie wojsko, zrobiło się późno, zaczęło się ściemniać i ze wszystkich stron rozległy się głosy, że zaczyna się godzina policyjna. Nie miałyśmy gdzie się schować, do miejsca noclegu było daleko. Chodziłyśmy po Weiden, narażając się na zatrzymanie i w końcu zauważyłyśmy jakiś barak wyglądający na opuszczony. Udało nam się do niego dostać, postanowiłyśmy więc poczekać w nim do rana. Zostałyśmy na długo, ale nie bez kłopotów. Wkrótce po zajęciu tego pomieszczenia przyszedł Niemiec, chyba Bawarczyk, bo w krótkich skórzanych spodniach i w kapeluszu z piórkiem, i zaczął się domagać opuszczenia jego baraku. My jednak byłyśmy już zaprawione w bojach o przetrwanie, więc nie przestraszyłyśmy się tego Niemca. Pomimo jego krzyków zostałyśmy w baraku, który na pewien czas stał się naszym domem. Niemiec skarżył się na nas amerykańskim żołnierzom, a my skarżyłyśmy się na niego, że nas nieustannie wyrzuca na bruk, a my przecież nie mamy gdzie się podziać. Nasz prześladowca był szczególnie natrętny, przychodził codziennie upominać się o swoją własność. Amerykanie stanęli po naszej stronie w tym sporze. Czuliśmy się pewniejsze i więcej z właścicielem baraku nie rozmawiałyśmy. Byłyśmy oburzone, że on, Niemiec, zarzucał nam kradzież jego własności i bezprawie. Kto to mówił! Barak składał się z dwóch części. Jedną zajmowałyśmy my – dziesięć uciekinierek z transportu do Dachau. Później pozostało nas tylko pięć. Urządziłyśmy się w części, która kiedyś była biurem. Składała się z gabinetu, sali konferencyjnej, ubikacji i małej kuchenki w przedpokoju. Gabinet był naszą jadalnią i salonem, gdzie przyjmowałyśmy gości i urządziłyśmy potańcówki. Wkrótce miałyśmy gramofon i płyty, które ktoś do nas przyniósł. Z sali konferencyjnej zrobiliśmy sobie sypialnię, zsunęłyśmy stoły, a na nich położyłyśmy zdobyte na dworcu materace, poduszki i koce. Potem zdobyłyśmy nawet pościel. Nasze mieszkanie bardzo nam się podobało, z czasem zaczęło w nim przybywać różnych rzeczy, nawet radio.

Do drugiej części baraku wprowadzili się później niż my Polacy, także oczekujący na wyjazd do Polski. Wszyscy na to czekaliśmy, ale powrót do domu nie był prostą sprawą. Nie jeździły pociągi, a my w dodatku byliśmy ludźmi anonimowymi – bez jakichkolwiek dokumentów, zaświadczeń, a jedynie z wytatuowanymi numerami na rękach.

## Lucyna

Aż trudno było uwierzyć, że wreszcie nadeszła ta upragniona wolność. Ale jeszcze nie można było poruszać się swobodnie. Była godzina policyjna. Poszliśmy do miasta, żeby zdobyć odzież. Wprawdzie było tam dużo wojska, które pilnowało magazynów, ale jak się dowiedzieli, że jesteśmy z obozu, pozwolili nam zabrać, co potrzebowałyśmy. Później zajęliśmy czteropokojowy domek, gdzie było jakieś niemieckie biuro tytoniowe. Tam zamieszkałyśmy, a z miasta przynosiłyśmy potrzebne rzeczy – jakiś piecyk, jakieś sprzęty, coś do jedzenia. Na zapleczu też były różne rzeczy, a w piwniczce znalazłyśmy 60 jajek. Gienia z Helką przyniosły pół metra cukru, który zjadłyśmy w ciągu tygodnia. Potem utworzyły się różne komitety, zaczęły wydawać kartki żywnościowe, na które otrzymywałyśmy po litrze mleka, jajka, chleb. To było dla nas bardzo dużo.

## Alodia

Następne dni były już dniami wolności, w którą cały czas nie chciałyśmy uwierzyć, bojąc się, że Niemcy wrócą. Najważniejsze było jednak to, że już nie głodowałyśmy, miałyśmy dach nad głową.

Wśród amerykańskich żołnierzy znalazłyśmy przyjaciela. Był to żołnierz polskiego pochodzenia o imieniu Stefan. Często do nas przychodził i niejednemu raz wybawiał nas z kłopotów. Pomagał nam załatwiać różne codzienne sprawy.

W czasie naszego wyzwolenia przywieziono cały pociąg Polaków, jeńców wojennych, również wyzwolonych przez wojska amerykańskie. Jeńcy ci bardzo nam pomogli, mieli bowiem dobre zaopatrzenie od Amerykanów i dzielili się nim z nami – dla nas liczyło się tylko jedzenie. Należą im się serdeczne podziękowania. Niewiele wiemy o ich powojennych losach, słyszałyśmy jedynie, że jeden z nich, Józef Wałęsa, wyjechał do Australii. Pierwszy rzut amerykański poszedł naprzód, przyszli następni i oni zostali do końca naszego pobytu. Pamiętam tylko, że była to Dziewiąta Armia Pattona, więcej nie wiem – nie znałam się na polityce, więc nie wiem nawet, skąd przyszli. Polacy z tego drugiego rzutu wojska amerykańskiego nawiązali z nami szybko kontakt i często nas odwiedzali. Nie pamiętam wielu nazwisk, jedynie Steve'a Jaśkowiaka z Detroit i Leona Maciejewskiego z Milwaukee.

Dziewiątego maja cieszyliśmy się niezmiernie. Radości naszej nie podzielali zbytnio Amerykanie – dla nich został jeszcze konflikt z Japonią, którego bardzo się obawiali.

Pobyty w Weiden były dla Mamy, Lucyny i ich koleżanek z baraku czasem takiej radości, że czytelnikowi ich relacji może wydawać się przesadzona. Jednak przesadzona nie była – wszak był to czas spełnienia, zdawać by się mogło, nierzeczywistego marzenia: przeżycia i powrotu do tego drugiego, „normalnego” życia, w dodatku w atmosferze nieustannego świętowania zakończenia wojny, pokonania Niemców – oprawców tych młodych dziewcząt. Dla Mamy był to czas radości i bez troski.

W miasteczku zorganizowano zabawę na cześć zakończenia wojny. Oczywiście wybrałyśmy się na nią. Zorganizowały ją nasze koleżanki mieszkające w baraku, w lesie, już wolne dawne przymusowe robotnice. Pomagał im znajomy polski żołnierz zwolniony z niemieckiej niewoli. Potem była druga zabawa z tej samej okazji już o międzynarodowym charakterze. Wszyscy uczestnicy utworzyli wielkie koło i trzymając się za ręce, tańczyli. Ten taniec zainicjowali Jugosłowianie. To było prawdziwe braterstwo w zabawie.

Trzecią zabawę zorganizowano w Weiden. Trzeba było kupić na nią bilety, których Lucia i ja nie miałyśmy. Byłyśmy takie młode, rwałyśmy się do zabawy, a tu przeszkodą jest brak biletów. Z kłopotu wybawił nas niezastąpiony Stefan – wraz z innym żołnierzem zabrali nas na tę uroczystość. Oczywiście nie przeszkadzało nam to, że byłyśmy bardzo skromnie ubrane, nie miałyśmy przecież w co się przebrać. Obejrzałyśmy występ polskich artystów, a potem tańczyłyśmy do późnej nocy. Do tańca przygrywali profesjonalni muzycy wracający z obozów i niemieckiej niewoli. Do dzisiaj pamiętam tę piękną muzykę.

We wspomnieniach Mamy przewijają się takie właśnie radosne, bez troskie momenty i bardziej przykre wydarzenia. Niektóre wiążą się z postacią właściciela baraku, w którym zamieszkała grupka uciekinierów z transportu do Dachau. Mama nie wspominała go dobrze.

Ten Niemiec chciał nas koniecznie upodlić, poszedł do Amerykanów i nagadał, że my za Niemców byłyśmy prostytutkami i świadczyłyśmy usługi Niemcom. Wiem, że w Oświęcimiu na męskim obozie utworzyli legalnie taki dom publiczny, który nazywał się puff. Niemcy ogłosili na blokach, że jeżeli ktoś chce się tam zapisać, to może i będzie miał za to lepsze jedzenie i ubranie. Ten dom był dostępny dla więźniów funkcyjnych, blokowych, to byli lagerfierer, unterfierer. Niemcy mieli dla siebie Niemki, ale nas to nie interesowało, nas interesowało, czy nie wezmą nas tam przymusowo. Jednak wszystko to było legalne, która więźniarka się zgłosiła, już tam została, już nie przychodziła na swój lagier, do swojego bloku. Pamiętam, że jedna nasza koleżanka tam się zgłosiła, chciała sobie poprawić byt, ale poza nią żadna z naszego bloku nie zgłosiła się do tego puffa.

Tylko takie wspomnienia zachowała Mama o puffie. Maria wiedziała więcej, ale też nie znała szczegółów. Zapewne nie ujawniano ich szeroko. Nie wiedziały, że domy publiczne były także dla więźniów, poza Żydami, i że zatrudnione w nim były kobiety różnej narodowości, z wyłączeniem Żydówek.

Przez pomówienia właściciela baraku wszystkie jego mieszkanki spotykały nieprzyjemne sytuacje, a jedna z nich szczególnie zapadła Mamie w pamięć.

Amerykanie chyba na początku uwierzyli w to, co im Niemiec o nas mówił i bardzo ich to zaciekało. Niemiec był na nas szczególnie cięty, codziennie przychodził wyganiać nas z baraku, ale co miałyśmy zrobić, nie miałyśmy gdzie się wyprowadzić. Doszłyśmy do wniosku, że i tak niedługo wyjedziemy, to niech zostanie tak, jak jest.

Ale na drugi czy na trzeci dzień naszego pobytu kilku – nie pamiętam, dwóch czy trzech – podpitych żołnierzy amerykańskich przyjechało w nocy jeepem i zaczęli dobijać się do drzwi. Nie chciałyśmy ich wpuścić, ale przecież drzwi były bez szybek, klamka uszkodzona i choć był klucz, to i tak zamek nie działał. Jeden z żołnierzy włożył rękę przez wybitą szybkę do środka, nacisnął klamkę i drzwi się po prostu otworzyły. Byli na dyżurze, ale wiadomo, żołnierze jak żołnierze, w pierwszej chwili robili co chcieli, zanim ich władze nie utemperowały. Byli na froncie, mogli nie przeżyć, to uważali, że mają prawo używać życia. I w tym celu przyszli do nas w nocy, do niby dawnych prostytutek. Chcieli z nami legalnie załatwić usługi, byłyśmy przestraszone i po cichu, po polsku, porozumiałyśmy się, że będzie nam się ciężko wybronić. Trudno było się z nimi dogadać, nawet Gieni nie udało się to po niemiecku. Nagle jeden z żołnierzy ściąga spodnie i odwraca się do nas tyłem. Pokazuje, że na froncie gdzieś tam z tyłu został ranny, bo także nas bronił.

Nie było nam do śmiechu. Wiedziałyśmy, że z pijanymi żołnierzami nie ma żartów.

Umówiłyśmy się, że uciekniemy. Mieszkałyśmy na parterze, ale dosyć wysokim, a pod oknem rosły jakieś krzaki, to gdybyśmy zdecydowały się wyskoczyć, można było się mocno pokaleczyć. A co zrobić z najstarszą Franią, która miałaby z tym wyskakiwaniem kłopot? Innej drogi ucieczki jednak nie było. Gienia cały czas debatowała z żołnierzami, a my po kolei, po cichutku, wyskakiwałyśmy przez okno. Nie było gdzie się schować, bo w dalszej części baraku nikt jeszcze nie mieszkał. Później zamieszkały tam polskie rodziny czekające na transport do Polski, ale wtedy nie było nikogo, kto mógł nam pomóc. Niektóre z nas trochę się podrapały, ale najważniejsze, że żadna nie złamała nogi, bo to dopiero byłoby nieszczęście. Obeszłyśmy cały barak i przez małą

bramkę weszliśmy do jakiegoś pomieszczenia. Tę bramkę widziałyśmy za dnia, ale nigdy przez nią nie wchodziłyśmy. Zamknęłyśmy bramkę i zorientowałyśmy się, że jesteśmy w jakimś magazynie. Przed wojną właściciel baraku miał w nim trafikę i to był do niej magazyn. Na czas wojny magazyn opróżnił, bo przecież ktoś by mu te papierosy i tytoń ukradł albo zarekwirował. Zostały tylko puste półki i my poukładałyśmy się na nich jak najgłębiej i czekałyśmy co się stanie. Amerykanie chodzili z latarkami koło baraku i w końcu weszli do magazynu. Świecili latarkami, ale regały były głębokie, a my poukładałyśmy się przy samej ścianie, i nas nie zauważyli! Chyba nie przyszło im do głowy, że ktoś może się na półce schować. Myślałam sobie wtedy, że chyba poumieramy tu ze strachu, serce mi waliło, bałam się, że to żołnierze usłyszą. Amerykanie obeszlili magazyn, coś pokrzyczeli, byli wściekli, ale wyszli z baraku i odjechali. Jeszcze długo leżałyśmy na tych regałach, bo bałyśmy się ruszyć i wejść do naszej części braku. Czekaliśmy, żeby chociaż zaczęło świtać, to byłybyśmy bezpieczniejsze, w nocy nie miałyśmy szans uratować się. W końcu wyszłyśmy z tego magazynu i poszłyśmy do naszego mieszkania. Byłyśmy naprawdę szczęśliwe, że uciekłyśmy Amerykanom. Za dnia poszłyśmy obejrzeć magazyn, to był prawdziwy cud, że oni nas tam nie znaleźli, bo przecież wiedzieli, że nie zapadłyśmy się pod ziemię i gdzieś w pobliżu musimy być.

Kiedy opowiedziałyśmy tę historię Stefanowi, nie chciał w to wierzyć. Znał nas, wiedział, że Niemiec nie mówił o nas prawdy, mogłyśmy się z nim po polsku dogadać i wszystko mu wytłumaczyć. Mówił, że wojsko amerykańskie bardzo surowo karało żołnierzy za gwałty i w dzień nigdy taka wizyta jak u nas nie mogła się zdarzyć.

Przez całe swoje życie Mama często wspominała Weiden, życie w prostym baraku i przygody, jakie spotykały grupkę byłych więźniarek. Dla Mamy i jej Koleżanek to był dobry czas, choć naznaczony biedą i wrogością niemieckiego otoczenia. Dobry był dlatego, że stanowił tak wyraźny kontrast z obozową gehenną i strachem o życie podczas ucieczki z transportu. We wspomnieniach Mamy pozostały przede wszystkim przyjemne i radosne chwile spędzone w Niemczech; małe, nieistotne wydarzenia, niejednokrotnie humorystyczne. Tak było z rosołem:

Kiedys zachciało nam się rosołu i mówimy do pani Frani, która dla nas gotowała, że zjadłybyśmy prawdziwego rosołu, ona mówi, że też ma ochotę, ale przecież mamy tylko kartofle, a z kartofli wam rosołu nie zrobić. Pytamy, czy byłby rosół z gęsi, Frania mówi, że jakby była gęś, to rosół też. Postanowiłyśmy tę gęś ukraść. W czasie spacerów zauważyłyśmy, że przy jednym niemieckim domu był sadek i tam pasły się gęsi – jedna stara i stadko młodych, już dużych i dorodnych. Powiedziałam o tym Gieni, która niczego się nie bała i zdecydowała,

że gęś trzeba „zorganizować”, czyli porwać. Poszliśmy na ten spacer we trzy – Gienia, Lucia i ja. Gienia weszła w to stado gęsi, jedną złapała i schowała pod pachę, a reszta gęsi zaczęła gęgać, zrobił się taki harmider, że razem z Lucią uciekłyśmy. Gienia nie odpuściła, porwała tę gęś i dołączyła do nas z wymówkami, że ładnie jej pomogliśmy! Ale miałyśmy rosół, nie pamiętam, kto gęś oprawiał i z czym był ten rosół, ale marzenie się spełniło.

W swojej opowieści o czasie po zakończeniu wojny Mama zawarła ciekawy wątek – swoistą wersję prawa zwycięzców.

Jak się wojna skończyła, ktoś, chyba któryś z Polaków, którzy byli w pobliżu na robotach, przyniósł nam coś do jedzenia. Polacy wiedzieli, że nas jest sporo i że nie mamy dostępu do żywności. A ci Polacy gdzieś jedzenie zdobyli, bo panowało coś jak niepisane prawo, że jak się kończy wojna, to w pierwsze dni bierze się wszystko, co jest pod ręką – wszystko, co jest gdzieś do zabrania, bo jak wchodzi Ruscy albo Amerykanie na wszystkim, co zastają na przykład w sklepach czy magazynach, kładą rękę i już nie wolno niczego ruszyć. Zamykają wszystkie zakłady, wszystkie sklepy, chociaż w tych sklepach już niczego nie było. Poszliśmy do takiego sklepu coś zdobyć do jedzenia, a tam co nie było zrabowane, to było zdeptane, cukier wymieszany z solą, w błocie. Gdyby to ludzie brali spokojnie i podzielili się z innymi, dla nas też by coś zostało.

Pewnego dnia zobaczyliśmy ludzi idących z belami materiałów na ramionach. Postanowiliśmy odnaleźć miejsce skąd wynosili te materiały. Ja, Gienia i jeszcze ktoś, kogo nie pamiętam, zaczęliśmy iść w odwrotnym kierunku niż ludzie niosący materiały. Wreszcie odnalazliśmy poszukiwany magazyn. Pod bramą magazynu stali amerykańscy żołnierze i zaczęli go zamykać. Podeszliśmy szybko, wysyłając przodem jak zwykle Gienię. Zaczęliśmy od pokazania wytatuowanych numerów i mówiąc „koncentrazion lagier”, Gieni udało się jakoś wytłumaczyć tym żołnierzom, że chodzi nam o materiały. Widzieliśmy, że żołnierzom spieszy się, ale po krótkiej naradzie zgodzili się nas wpuścić. Jeden z nich pokazał na zegarku ile mamy czasu – pół godziny. Weszliśmy do środka. Panował tam nieopisany bałagan. Bele materiałów poniewierały się po podłodze, podeptane i brudne. Zaczęliśmy szybko wybierać materiały. Było jasne, że nie będziemy w stanie udźwignąć całych bel, więc zaczęliśmy odwijać kawałki materiałów i odrywać je zębami. Wszystko gromadziłyśmy pod drzwiami. Materiały były różne: cienkie na sukienki i bieliznę, ale też grubsze. Dla nas te materiały były wspaniałe, chociaż gatunek ich był na ogół bardzo kiepski. Zgromadzone materiały przepychałyśmy i przenosiłyśmy na drugą stronę drzwi. Amerykańscy żołnierze bardzo nam w tym pomagali. Gdy wszystko było zgromadzone, zaczęliśmy transportować je do naszego baraku. Jedna z nas



pilnowała materiałów, a dwie woziły je na rowerach. W baraku, mierząc materiały na łokcie, podzieliliśmy je sprawiedliwie tak, aby wystarczyło dla każdej z nas. Po podziale okazało się, że jeszcze sporo materiałów zostało. Zebraliśmy to wszystko i na rowerach pojechaliśmy do naszych Niemców. Podziękowaliśmy im i wręczyliśmy materiały jako prezent za to, że zachowali się wobec nas po ludzku. Wiedzieliśmy, że oni są zbyt starzy aby brać udział w szabrowaniu. My zaś niczego nie mogliśmy im podarować, by okazać wdzięczność. Niemcy powiedzieli nam, że mają maszynę do szycia, która nie jest im potrzebna. Pozwolili nam z niej korzystać. Mieliśmy więc materiały, maszynę do szycia i duże krawieckie żelazko, które przynieśli nam zaprzyjaźnieni polscy jeńcy. Lucyna zaczęła dla nas szyć sukienki i spodnie. Po raz pierwszy od lat mieliśmy nowe rzeczy.

Z jednego zdobycznego materiału ciocia Zosia miała suknię do ślubu – był kremowy i raczej nadawał się na podszewkę, ale jak się go wyprasowało, to nawet dobrze wyglądał. Lucia ze zdobycznego materiału uszyła swojemu mężowi koszulę do ślubu, była przecież krawcową.

Innym razem dostaliśmy zdobyczny cukier. Ktoś nam podrzucił, nawet nie wiem kto, worek cukru – chyba 40 czy 50 kilo. Stał pod ścianą w naszym baraku i aż do mojego wyjazdu korzystaliśmy z niego. Nie pamiętam też kto przyniósł nam woreczek czy dwa niemieckiego bilonu, monety po jednej i po pół marki. Ktoś pewnie zrabował te marki z banku, bo woreczki miały oznaczenia bankowe. Mieliśmy pieniądze na drobne zakupy. Nasza sytuacja poprawiła się, kiedy Amerykanie zainstalowali się w Weiden na dobre. Zaczęliśmy dostawać przydziały żywności. Nawet zdobyliśmy oficjalne dokumenty. Jedna z naszych koleżanek pojechała „na łebka” autem do Wolkenburga, żeby zdobyć nasze ostatnie papiery i rzeczywiście przywiozła je dla wszystkich z naszego baraku. To był dokument pisany po niemiecku: imię, nazwisko i numer obozowy z Flossenbürga. Nie mam tego dokumentu, chyba oddałam go do ZBoWiD-u, ale żałuję, powinnam zachować oryginał.

Chociaż Mama i jej Koleżanki przestały być wreszcie głodne, ciągle poszukiwały czegoś dobrego do jedzenia, nie wystarczyły im przydzielone produkty – nie wiem dokładnie, co zawierał przydzielony pakiet żywności, nigdzie nie znalazłam informacji na ten temat.

Po czasie dowiedzieliśmy się, że koło nas był jakiś sklep, który po wojnie zamknięto, ale właściciel Niemiec jednak obsługiwał swoich od tyłu. Ktoś nam powiedział, że ten Niemiec ma w sklepie zabita świnie do sprzedania, ale nie dla wszystkich, a dla nas na pewno nie. Nie chcieliśmy tego mięsa za darmo, wzięliśmy te nasze woreczki z bilonem i poszliśmy do sklepu. Poszedł z nami nasz znajomy amerykański żołnierz, Stefan, w hełmie na głowie, bo wojsko amerykańskie



taki miało nakaz i z karabinem przewieszonym przez ramię. Był też z nami kolega Jasio, który wpadł na pomysł, żeby Amerykanin pożyczł mu hełm i karabin i ten o dziwo się zgodził! Jasio i tak miał na sobie jakieś wojskowe ubranie, bo taka była wtedy moda. Weszliśmy do sklepu z Jasiem, Gienia poprosiła po niemiecku o mięso, Niemiec o nic nie pytał, ile chcemy tego mięsa, czy jaki kawałek, ale wyłożył na ladę pół wieprzka. Nie był to duży wieprzek, ale dla nas była to fura mięsa. Gienia wyjęła garść bilonu, wysypała go na kontuar, uznaliśmy, że tyle wystarczy i wyszliśmy ze sklepu. Jasiu przyniósł nam mięso do baraku. Pani Frania, najstarsza z nas, która gotowała nam na co dzień, złapała się za głowę: o matko, kiedyśmy tyle mięsa miały! W ogóle nie pamiętam, co Frania przygotowała z tego wieprzka, na pewno coś dobrego, ale niczego nie mogę sobie przypomnieć. Pamiętam dobrze smak rosółu z gęsi, ale z tego mięsa nie wiem, co jadaliśmy.

W styczniu 1943 roku Mama miała 17 i pół roku. Z dnia na dzień stała się numerem 30 504, więźniarką obozu koncentracyjnego. W Auschwitz-Birkenau weszła w swoją dorosłość. Nie wspomina o tym jak to było, kiedy skończyła 18 lat. Właściwie co to za różnica mieć w obozie 17 czy 18 lat, czy więcej; może tylko taka, że młodość dawała nieco większe szanse na przeżycie. Trudno sobie wyobrazić, że osiemnastoletnie dziewczyny snuły w obozie wyobrażenia o tym, jak będzie wyglądało ich dorosłe życie. Po co snuć takie myśli, skoro najważniejsze jest przeżycie kolejnego dnia? A nawet najbliższych godzin. Ale dwudzieste urodziny Mamy w Weiden to było wielkie przeżycie – pierwsze dorosłe urodziny na wolności, wśród bliskich Koleżanek i na ogół przyjaznych polskich i amerykańskich znajomych.

Czas szybko mijał. Nadszedł 15 czerwca 1945 roku – dzień moich dwudziestych urodzin. Nie wiedziałam, jaki mamy dzień, bo nie miałyśmy kalendarza, ale zapytałam naszego kolegę Józka Wałęsę z Zamojszczyzny, kolegę Luci, jaki mamy dzień, a on mówi czternastego czerwca. Jutro przecież miały być moje urodziny. Myślę sobie, kiedy ten czas uciekł, dopiero był koniec wojny, a teraz już czerwiec. Na drugi dzień rano patrzę, a na stoliku w naszym wspólnym pokoju stało na stole pełno kwiatów – w różnych puszkach i w czym się dało, bo przecież nie miałyśmy żadnych wazonów. Takie piękne były te róże – Józek tak wykorzystał to, że się do tych urodzin przyznałam.

Józek zalecał się do Luci, ale ona mówiła: „Co mi się będzie jakiś Wałęsa wałęsać w życiu”. Ale potem żałowała, że nie spojrzała na niego łaskawiej. To był bardzo sympatyczny i porządny chłopak. Ale my nie myślałyśmy o układaniu sobie tam, w Niemczech, życia. Mówiliśmy, że jeszcze dobrze nie ochłonęliśmy z tego, co przeżyliśmy, to nie będziemy się angażować w jakieś związki. Bałyśmy się też, że może nas ktoś oszukać. I Józek, i Jasio byli naszymi dobrymi kolegami, ale niejedną

Polak okłamał którąś naszą koleżankę, oszukał ją, wykorzystał, a potem gdzieś się stracił. Dlatego trzymałyśmy się z Lucią z daleka od bliższych znajomości, żeby się nie rozczarować.

Józek Wałęsa wyjechał z Niemiec do Australii. Napisał kiedyś do mnie, że pracuje tam jako tokarz, ożenił się chyba z Angielką, ale, o ile pamiętam, nie mieli dzieci.

W tym fragmencie opowieści Mamy pojawiają się Marysia i Miecia. Ze słów Mamy wynika, że mieszkali w Weiden gdzieś niedaleko ich baraku.

Jeden z kolegów naszych znajomych bardzo zalecał się do Mieci, miał na imię Florek. To on właśnie zorganizował tę pierwszą zabawę w Weiden z okazji zakończenia wojny. Poszłyśmy tam z Lucią, były też Marysia z Miecią. Florek ogłosił, że to jest zabawa tylko dla Polaków, że wszystkich innych przepraszamy, ale nie zmieszczą się wszyscy w baraku. Jednak jakoś dostali się na tę zabawę dwaj Włosi i poprosili Lucię i mnie do tańca. Pomyślałyśmy sobie, że przecież nie musimy tańczyć tylko z Polakami, że Włosi są muzykalni, dobrze tańczą i śpiewają, a my nie robimy niczego złego. Bawiłyśmy się z tymi Włochami do końca zabawy. Nasi polscy koledzy byli trochę obrażeni.

Inna historia znajomości i przyjaźni z Weiden wiąże się w opowieści Mamy z imieninami Lucyny.

Muszę jeszcze wspomnieć o imieninach Luci ostatniego czerwca. Postanowiłyśmy urządzić jakieś małe przyjęcie. Ale co przygotować na to przyjęcie, jak nie miałyśmy niczego atrakcyjnego do jedzenia? Poprosiłyśmy naszą panią Franję, żeby pomogła nam coś przygotować, coś, co podobne byłoby na przykład do kanapek. Przyjęcie zapowiadało się jako wielka impreza z muzyką. Z tą muzyką było tak: nasz kolega, wywieziony z Polski w okolice Weiden na roboty, dostał się do pracy do młodej, ładnej Niemki i wkrótce stali się parą. Oczywiście w wielkiej tajemnicy, bo przecież Polkom i Polakom nie wolno było zadawać się z Niemkami i Niemcami. Groziły za to wysokie kary. Po wojnie ten nasz znajomy został u swojej Niemki, mieli chyba na imię Elza i Stasiek. Niemka pięknie grała na akordeonie, przyszła ze Stasiem na imieniny Luci i przez cały wieczór przygrywała nam, ale nie pamiętam, czy do tańca, czy wtedy zabawa była z tańcami.

Od koleżanki, która później wróciła do Polski, Mama dowiedziała się, że Stasiek ożenił się z Elzą, ale nie był podobno dla niej dobrym mężem.

## Rozdział XI

# DROGA DO DOMU

### Alodia

Minął lipiec 1945 roku, zaczęły do nas dochodzić słuchy o szykowanym transporcie do Polski. Wyznaczono nawet datę – 6 sierpnia. Kto tylko się zgłosił, zajmował miejsce w towarowym wagonie i mógł jechać. Z nami różnie było – jedni chcieli jechać, inni nie. Prawie wszyscy pojechali właśnie tym transportem, ja z Lucią również. Z naszych koleżanek została w Niemczech Hela Zielińska, obecnie prawdopodobnie mieszkająca w Stanach, Gienia Sadzińska (jak już wspomniałam, wyjechała do Kanady – do Halifaxu) oraz Hania Tarkowska, która tam wyszła za mąż i dopiero po dwóch latach wróciła do kraju.

Ogłoszono, że będzie transport do Polski. Kto przyszedł, nie musiał się niczym okazywać i mógł jechać transportem kolejowym, w towarowych wagonach, oczywiście siedząc na podłodze. Niemcy ogłosili też, że nie wolno zabierać ze sobą takich trwałych rzeczy jak rower czy motor, może bali się, że wszystkie im Polacy wywiozą z Weiden. Ale widziałyśmy, że niektórzy i tak zabierali i rowery, i motory. Jakoś to przemycili.

Myślę teraz, że ten pierwszy transport nie był dla nas, Luci i mnie, najszczęśliwszy, trzeba było się jeszcze trochę rozejrzeć, jak już się tyle przeszło, może wyjechać gdzieś do innego kraju, lepszego, żeby sobie jakoś byt polepszyć. Tu, w Niemczech, też przecież nie było dobrobytu.

Razem z Lucią przyszykowałyśmy się wcześniej do tego wyjazdu. Już o świcie w dniu wyjazdu zawiozłyśmy pożyczonym wózekiem nasze bagaże na stację i wyładowałyśmy je koło pociągu. Do pociągu załadowali się prawie sami Polacy z całego miasta. Kto nie zdążył, musiał czekać na kolejny transport, chociaż nikt nie wiedział, kiedy to będzie.

Kiedy już siedziałyśmy w wagonie, zjawił się Steve, czyli Stefan Jaśkowiak. Nalegał, żebyśmy z Lucyną zostały w Niemczech, bo skoro

zrzucano bombę atomową na Hiroszimę, to wojna już skończona i Amerykanie nie pójdą na Japonię. Mówił: „Patrz, mam tu tego jeepa, możecie wsiąść i jechać ze mną”. Mówił: „Przecież nie jedziecie do dobrobytu, ale do biedy, tu macie lepiej, nie wiem, jak będzie dalej, ale tu w Niemczech jest lepiej niż w Polsce”. W Polsce może nawet chleba nie będziemy miały, różnie tam może być. Lucynie nic o tej rozmowie ze Stefanem nie mówiłam. Teraz myślę, że może ona poszłaby za mną, gdybym ja zeszła z tej platformy wagonu.

Stefan chciał, żebyśmy pojechały z nim do Ameryki, gdzie obiecał nas jakoś urządzić. Pochodził z Detroit i tam jakoś by nas pokierował, dał jakieś drogowskazy. Ale powiedziałam mu, że ja już z tego pociągu nie wysiądę, ten pociąg musi mnie dowieźć do domu, jak mnie tu umiał przywieźć. To był pierwszy pociąg z Weiden w stronę Polski, bo wcześniej tory były zniszczone. Dopiero kiedy linie kolejowe poprawiono, ogłoszono pierwszy transport.

Nie działała poczta, bo gdybym mogła porozumieć się z rodzicami, doradziłabym się, czy wracać, czy nie.

Nie miałyśmy siły wysiąść z tego towarowego pociągu, kiedy ojczyzna była blisko, dom, którego przez całą wojnę nie widziałam. Strasznie tęskniłam, płakałam nieraz nocami, nie wiedziałam, czy moi rodzice i brat przeżyli cały ten bałagan wojenny. Chciałam ich zobaczyć i być z nimi. Więc pojechałam.

Poprosiłam Stefana, żeby dał mi swój adres w Ameryce, że jak zajadę do Sosnowca, napiszę do niego, czy moja rodzina żyje, jak jest naprawdę z moim miastem i z moim krajem. Dał mi swój adres i po przyjeździe do Sosnowca zrobiłam tak, jak obiecałam, napisałam do niego list.

Podróż trwała cały tydzień. Pełna była przygód i niewygody, ale jakoś dotarliśmy do punktu repatriacyjnego w Czechowicach-Dziedzicach. Tego momentu nigdy nie zapomnę. Był tam punkt repatriacyjny dla przyjezdnych z południa, czyli z Niemiec, a mówili, że w Poznaniu był drugi dla przyjezdnych z północy. Wszystkie transporty z południa kierowano na tory do Czechowicz-Dziedzic.

Biuro repatriacyjne, o którym opowiadała Mama, to Specjalny Punkt Etapowy Zachodni w Dziedzicach, działający od maja 1945 roku w ramach Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (Oddziału w Katowicach). Przez dwa lata, do 1947 roku, kiedy został zamknięty, przeszło przez niego około pół miliona ludzi wracających po wojennej tułaczce do kraju. Był to punkt wlotowy, dla przybywających przez punkt graniczny w Zebrzydowicach, głównie dla repatriantów z amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, także z Austrii, Włoch i innych krajów z południa Europy. Mama ze swoimi

znajomymi znalazła się wśród 350 tysięcy przybyszów z Niemiec, którzy przewinęli się przez Dziedzice.

Z danych archiwalnych wynika, że po zakończeniu drugiej wojny światowej na zachodzie Europy znajdowało się 2,5 miliona Polaków – polskich żołnierzy, jeńców wojennych, powstańców warszawskich wywiezionych po upadku powstania do Niemiec, przymusowych robotników deportowanych do Rzeszy, więźniów hitlerowskich obozów koncentracyjnych z terenu Niemiec. Z tej liczby około 800 tysięcy osób wróciło do kraju na własną rękę jeszcze przed utworzeniem Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Do końca 1947 roku powróciło około 2 milionów wojennych tułaczy, 400 tysięcy pozostało na Zachodzie. Obok Dziedzic dominującą rolę w procesie repatriacji odgrywały punkty w Szczecinie i Gdańsku<sup>1</sup>.

Pociąg na stacji zatrzymał się, wszyscy musieli wysiąść i zarejestrować się w punkcie repatriacyjnym. Tam nocowaliśmy chyba dwie noce, bo pociągi ciągle przyjeżdżały, ludzi było coraz więcej, a nie miał kto ich obsługiwać, bo urzędników było za mało, żeby taką sytuację opanować. Spaliśmy na jakimś korytarzu, pamiętam, że było bardzo niewygodnie.

Każdy zarejestrowany dostał 100 złotych i bezpłatny bilet na podróż po całej Polsce. Pamiętam te 100 złotych, to nie było dużo, ale jakieś bułki można było za to kupić. Najważniejszy był bezpłatny bilet, wszyscy się z tego cieszyli, nikt nie miał przecież grosza przy duszy, a tak mógł jechać w różne miejsca szukać rodziny.

Rosły kolejki po te pieniądze i bilety, ludzie stali już nawet czwórkami i ciągle ich przybywało. Do naszej kolejki podszedł jeden z urzędników i powiedział, że jeżeli ktoś z nas chciałby się poświęcić, czuje się na siłach, żeby popracować i umie dobrze pisać, to może pomóc w rejestrowaniu przyjezdnych. Powiedziałam do naszych znajomych z podróży, chociaż dokładnie nie pamiętam, kto z naszych znajomych jechał tym pociągiem, że ktoś z nas musi się ruszyć, trudno, jak proszą, to trzeba pomóc. Sama się zgłosiłam, chętnie mnie przyjęli, posadzili przy jakimś stoliku czy na schodach, już nie pamiętam. Ta rejestracja odbywała się w jakimś zamku, wszystko było prowizorycznie urządzone, ludzie siedzieli na schodach i czekali na papiery. Usiadłam na dwie czy trzy godziny, wypisałam dokumenty wszystkim moim znajomym i wielu innym i zmienił mnie jakiś urzędnik. Dzięki tej mojej pracy nie musieliśmy kolejny raz nocować w Czechowicach-Dziedzicach.

---

<sup>1</sup> Informacje na temat punktu repatriacyjnego w Czechowicach-Dziedzicach pochodzą z pracy doktorskiej napisanej pod kierunkiem doc. dr. hab. Andrzeja Topola: H. MARKOWSKI: *Wojewódzki Oddział Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Katowicach 1945–1947*. Katowice 2007, [www.rebus.us.edu.pl/beatstream/20.5000.12128/5052/1/markowski\\_Wojewodzki\\_Oddzial\\_panstwowego\\_urzedu\\_Repatriacyjnego.pdf](http://www.rebus.us.edu.pl/beatstream/20.5000.12128/5052/1/markowski_Wojewodzki_Oddzial_panstwowego_urzedu_Repatriacyjnego.pdf) [dostęp: 19.11.2018].

Na stacji trzeba było bardzo uważać, bo kręciło się dużo Ruskich i bardzo interesowali się bagażami przyjezdnych. Każdy miał ze sobą jakieś tobołki, jakiś dobytek, coś zdobył. Niektórzy spędzili przecież w Niemczech całą wojnę, to coś sobie uciuli i chcieli zabrać do domu. Rosyjscy żołnierze mieli taką metodę, że jak ktoś spuszczał z pociągu swój bagaż na peron, podstawiali się niby jako tragarze i brali tobołki na swoje plecy. Trzeba było bardzo uważać. Ja miałam tylko jeden worek – taki, jak nosili żołnierze amerykańscy. Był bardzo porządny, z grubego brezentu, każdy żołnierz miał taki sam. Pamiętam, że miał szeroką rączkę, też zrobioną z brezentu, od góry klapę, którą po zamknięciu ściągało się sznurkiem i zapinało skuwki. Do dzisiaj mam ten cenny worek przed oczami. Dostałam go od Stefana i niektóre koleżanki zazdrościły mi go, a zwłaszcza Lucia. Też jej taki załatwiłam poprzez pana Stefana – tak się cały czas do niego zwracałam. Od Stefana dostałam też nowe buty, w których pojechałam do domu. Z nimi też wiąże się osobna historia. Amerykanie żyli sobie w Niemczech jak królowie, wszystko mogli zdobyć. Jeździli od czasu do czasu do czeskiego Pilzna – Weiden jest blisko granicy czeskiej – i przywozili wielkie beczki piwa. Mówili, że tam jest bardzo dobre piwo. Może przywozili je do kantyny albo sprzedawali, tego nie wiem. Kiedyś Stefan przywiózł mi nowe, bardzo ładne szare półbuty. Widział, że ciągle chodziłam w tych rozparowanych butach z Oświęcimia – każdy był inny, w dodatku były bardzo niewygodne, z jakiegoś brezentu i imitacji korka. Nowe buty leżały jak ulał, nie wiem, jak Stefan je dobrał na miarę. Nie pamiętam, czy go o to pytałam, czy nie. Włożyłam te buty i długo ich nie zdejmowałam, bo innych nie miałam, chociaż Stefan obstałował mi drugą parę na drogę, mówił, u niemieckiego szewca. Nie zdążyłam ich jednak przed podróżą odebrać.

Dotarliśmy z Lucią, panią Franią i Micią, siostrą Marysi Włodarczyk, do Katowic. Tam miałam przesiadkę, ale nie mogłam doczekać się na pociąg. Zostałam z swój bagaż koleżankom, i oznajmiłam im, że ja pojadę tramwajem do Sosnowca, bo to jest niedaleko, sprawdzę, jak tam jest i wrócę do Katowic, żeby wyprawić znajomych w dalszą podróż. Pojechałam tramwajem, ale nie mogłam się doczekać na mój przystanek, wysiadłam wcześniej koło domu naszych znajomych, wstąpiłam do nich i zapytałam o moją rodzinę, czy moi żyją, czy stoi nasz dom. Uspokoili mnie i dalej ruszyłam w drogę tramwajem i z wrażenia przejechałam przystanek koło naszego domu! Przez tych kilka lat zapomniałam, gdzie trzeba wysiadać – na Gdyni, czyli na przystanku koło restauracji „Gdynia”. Nie mogłam uwierzyć, że coś takiego mogło się zdarzyć.

Wysiadłam w końcu z tego tramwaju, idę w stronę domu i widzę, że ulicą idzie do pracy mój ojciec! Okazało się potem, że tato nie wiedział, że ja mam przyjechać właśnie w tym dniu. Szłam w jego stronę i uśmiechałam się, żeby jakoś go oswoić z tym spotkaniem. Ojciec poznał mnie od razu, a ja omal na kolana padłam, wycalaowałam mu ręce, broniłam

się, żeby nie płakać, żeby tacie nie robić przykrości i jakoś wytrzymałam. Tato zwolnił się z pracy i wrócił do domu. Mamy nie było w Sosnowcu, pojechała na wieś, nie pamiętam też, gdzie w tym czasie był brat Gienek. Na drugi dzień ojciec nie nadawał się do pracy, przeleżał cały dzień w łóżku, bo po takim wzruszeniu miał duże kłopoty z sercem.

Tymczasem wróciłam do Katowic i razem z Lucyną przyjechałyśmy do Sosnowca. Byłyśmy bardzo zmęczone. Siadłyśmy w moim domu przy stole i zaczęłyśmy się zastanawiać, po co właściwie przyjechałyśmy do kraju. W Weiden była strefa amerykańska, tam miałyśmy wszystko, miałyśmy dobre jedzenie, tam nas dobrze traktowali. Tu widzimy, że Rusczy się wszędzie kręcą, co nas najbardziej zaintrygowało, bo już w Czechowicach-Dziedzicach kolejarze ostrzegali nas przed nimi. Ale skoro już przyjechałyśmy do Polski, do domu, nie było od tego odwrotu. Moim rodzicom nie mówiłyśmy o tych naszych wątpliwościach.

Lucia musiała wracać do domu, na Zamojszczyznę, a miała do przejechania 400 kilometrów. Zostawiła u mnie większy bagaż, mniejszy wzięła ze sobą i pojechała z przesiadką w Krakowie. Cały czas miałyśmy poczucie, że wyjechałyśmy z Weiden za wcześnie, że popełniłyśmy błąd. Nawet nie obejrzałyśmy się za siebie, nie szukałyśmy innej drogi w życiu, a tyle już poniewierałyśmy się przez lata wojny. Mogłyśmy może wyjechać do Kanady czy Australii, bo podobno tylko te kraje przyjmowały takich jak my. Ameryka nie chciała takich powojennych rozbitków, tylko Kanada zgodziła się z litości ich przyjąć.

Inną nieco drogą wracała do Polski Maria. Dowiedzieliśmy się tego z relacji Mamy, Maria nie pisała o tym. Mama opowiadała o sytuacji, kiedy w Weiden zaczęto organizować różne transporty z chwilą uruchomienia przewozów kolejowych, ale także samochodowych. Wkrótce, po ustaleniu stref okupacyjnych na terenie pokonanych Niemiec, z Weiden, z amerykańskiej strefy okupacyjnej, zaczęto przewozić Rosjan do rosyjskiej strefy.

Jak już z Weiden zaczęły wychodzić transporty, pierwszymi wywozili Ruskich. W dużych amerykańskich autach wywozili ich do rosyjskiej strefy w Niemczech. Wokoło dużo było cywilnych Rosjan, też wojna ich tu przygnała. Kilka z nas poszło obejrzeć, jak ci Rosjanie wyjeżdżają. Nie miałyśmy daleko, bo w barakach obok nas dużo ich mieszało. Tam się pakowali i widziałam, że mieli bardzo dużo bagażu, zabierali wszystko, co się tylko dało, chyba tylko samochodów nie pozwolono im zabrać. Patrząc, a między tymi Ruskimi kręci się nasza Marysia. Widzę, że wchodzi na samochód i ma zamiar jechać z tymi Rosjanami. Dostałam się jakoś do niej i pytam, gdzie ona jedzie. Marysia odpowiada: do Polski. Ale wyjeżdżała bez Mieci, która miała jeszcze jakiś czas zostać w Niemczech. Marysia miała chyba w Sosnowcu narzeczonego, więc spieszyło jej się do domu. Poprosiłam ją, żeby wobec tego wzięła



do moich rodziców karteczkę z wiadomością ode mnie. Innej drogi nie było, bo przecież poczta jeszcze nie działała. Oderwałam kawałek z papierowego worka, nie pamiętam skąd wzięłam ołówek i nie tyle napisałam, co nabazgrałam parę słów do rodziców. Marysia wyjechała, a ponieważ w tym aucie amerykańskim jechał też bardzo przystojny Rosjanin, podobno aktor, ktoś rzucił plotkę, że Marysia pojechała z nim do Rosji. Oczywiście to nie była prawda, w którymś momencie podróży pożegnała się z Rosjanami i piechotą ruszyła w stronę domu.

Po drodze wsiadła do pociągu, przez punkt repatriacyjny w Czechowicach-Dziedzicach, i wcześniej niż ja dotarła do Sosnowca, do domu. Mieszkała niedaleko naszej ulicy, poszła tam i zaczęła rozpytywać o Kokoszów. Rozniosło się szybko kogo szuka i sąsiedzi pokazali jej nasz dom. Znalazła moich rodziców i oddała im ten mój niby-list, kawałek papierowego worka. Wyświadczyła mi bardzo dużą przysługę, byłam jej bardzo wdzięczna, że przekazała mamie i tacie wiadomość ode mnie. Dla nich to było ważne, że własnoręcznie napisałam, że żyję, że jestem tu i tu, że przyjadę, jak tylko będzie taka możliwość, ale na razie nie wiem jak.

Mieczysława, siostra Marysi, wyjechała z nami z Weiden tym samym transportem.

Kiedy tylko przyjechałyśmy z Lucią i Micią do Sosnowca, poszłyśmy odwiedzić Marysię. Siostry nie mieszkały już w starym mieszkaniu, ale w nowym, w ładnej kamienicy w centrum miasta. To było ładne mieszkanie, dosyć duże, mieszkały tam z bratem, rodzice już nie żyli. Brata cudem Niemcy nie zabrali do obozu, przeczekał wojnę u rodziny w Sosnowcu.

Mama wróciła do domu. W tym miejscu jej opowieść zatoczyła koło, do początku jej wojennej, jak mówiła, poniewierki – wróciła do Ludyni, na wieś.

Już zatarło mi się to w pamięci, ale wiem, że zaraz pojechałam na wieś, do mamy. Miałam jeszcze ten darmowy bilet, więc nie miałam z podróży kłopotu. Myślałam tylko o tym, co mnie czeka – wizyta u rodziny Kokoszów, żeby powiedzieć im o ich synu, moim kuzynie Stefanie, z którym zabrano mnie do Oświęcimia. Razem z naszym znajomym Jankiem Ernstem nie wrócili z obozu. Rodziny dostały pisma, że umarli w Auschwitz. Oni, młodzi jeszcze, zginęli, a ja przeżyłam, nie zginęłam i cóż mam im opowiadać, jak było źle? Co z tego, jak ja przeżyłam, a oni nie. Chciałam im wytłumaczyć, że mężczyzn traktowano gorzej niż kobiety, że naprawdę było ciężko. Jednak ojciec Stefka nie mógł się pogodzić z tym, że jego syn zginął.



Mama nie pamięta spotkania ze swoją matką w Ludyni. Mówi, że na pewno się ucieszyła, ale przede wszystkim myślała wtedy o trudnej wizycie u rodziców jej towarzysza drogi do Auschwitz Stefana Kokoszy i to pozostało w jej pamięci z powrotu do Ludyni.

\* \* \*

Tak zakończyła się wojenna tułaczka Koleżanek. Dla Mamy rozpoczęła w Sosnowcu, poprzez ukrywanie się w Ludyni, pierwszą łapankę uliczną w Kielcach i więzienie w tym mieście, KL Auschwitz-Birkenau, Wolkenburg, Weiden, po – wreszcie – powrót do Sosnowca i Ludyni. Czy to nie za wiele dla siedemnastoletniej dziewczyny? Nie wiem, czy Mama zadawała sobie wtedy pytanie, za co to wszystko ją spotkało. Wojna napiętnowała całe młode pokolenie dojrzewające w jej latach, ale nie wszyscy dorastali w sąsiedztwie „bloku śmierci” i krematorium. Trudno znaleźć słowa, które byłyby odpowiednim podsumowaniem relacji z wojennych przeżyć Alodii, Lucyny i Marii. Wszystkie wydają się zbyt banalne, nadużywane w publikacjach wspomnieniowych...



## Rozdział XII

### LISTY

Nie zachowało się ich wiele w przypadku Mamy i Lucyny, choć korespondowały ze sobą do końca życia Luci. Syn Lucyny, Jan, przekazał nam kilka listów napisanych przez Mamę do Lucyny, choć tylko od końca lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Mama nie zachowała listów od Lucyny, poza jednym, znalezionym w rodzinnym archiwum. Maria zachowała listy pisane z Oświęcimia do brata i narzeczonego wysyłane stamtąd nielegalną drogą. Listy te Maria przepisała na maszynie i dołączyła do swoich wspomnień. Za zgodą córki Marii, Barbary, zamieszczam ich fragmenty w niniejszej książce.

#### Maria

29 marca 1944 roku  
Mój kochany Jureczku,

[...] Dziś mam nowe zmartwienie. Miecia znów chora. Tym razem początki durszfału. Piszę tym razem, bo nad nią jakieś złośliwe fatum zawisło. Chyba już przeszła wszystkie choroby, jakie tu istnieją. Bóg jednak jest taki miłosierny, jakoś daje jej siły, że przetrzymuje wszystko bez opieki, bo jakże tu w lagrze może być opieka. Ja robię wszystko co można w tych warunkach, aby jej ulżyć, ale to imitacja opieki, jaką mogłaby otrzymać na wolności. Tym razem zorganizowałam dla niej tabalginę. Cały dzień urządziła głodówkę, siedziała na rozgrzanej cegle i teraz trochę lepiej. Durszfał, tyfus, malaria to trzy najważniejsze choroby w lagrze. Zwłaszcza dwie pierwsze zmiatają tysiące ludzi. Dla zorientowania się dam pewne liczby. W październiku, kiedy po kwarantannie przeszliśmy na lagier pracy, było 20 tysięcy kobiet. Przez dwa miesiące epidemii tyfusowej, zginęło 9 tysięcy, a więc prawie połowa. Ach, jakie ciężkie ja wtedy chwile przeżywałam. Najpierw zachorowała Miecia – silna gorączka, straszny ból głowy, brak apetytu. Tyfus, pomy-

ślałam, ale nie chciałam dopuścić tego do świadomości, bo widziałam, jak wokoło ludzie padają. Może grypa, łudziłyśmy się. Jak ognia bałam się posłać ją na rewir, bo może to grypa i tam dopiero zarazi się, bo spały po cztery na jednym łóżku, chore na najróżnorodniejsze choroby. Wobec tego chodziła do pracy, a tam nie ma tłumaczenia – jestem chora – trzeba robić. Na szczęście już wtedy pracowałyśmy w Weberce, gdzie wspólnie ze swoją koleżanką wykonywałam za nią normę. Łudziłam się, że może przejdzie. Tymczasem było coraz gorzej. W nocy rozpalona i prawie nieprzytomna szeptała mi, że to już koniec chyba, że pewnie tej nocy umrze. Płakałam i tuliłam się do niej w obawie, że to już może nasza ostatnia noc. Rano zносиłyśmy ją z koi i musiała stać na apelu, nieraz dwie godziny. [...] Potem wlokłam ją do zimnego baraku, gdzie pracujemy. Męczyłam się patrząc, jak ona okropnie wygląda. Żebrałam o coś gorącego dla niej. Było coraz gorzej. W końcu zdecydowałam posłać ją na rewir. Pożegnałam ją rano, czarną od gorączki, i posłałam do pracy – z myślą, że wysyłam ją na śmierć, że więcej się nie zobaczymy. Możesz sobie wyobrazić, jak się czułam. Wieczorem dostałam gorączki i sama się rozchorowałam. Przeszłam tyfus, codziennie chodząc do pracy. [...]

Takie miałam Święta Bożego Narodzenia. Wszystkie rzeczy z Waszych paczek przedświątecznych oddałam na zastrzyki dla Miei. Na święta zostałam przy porcji lagrowego chleba. [...] Akurat w pierwszy dzień Bożego Narodzenia obydwie przeszłyśmy kryzys. Leżałam sama na koi, bo wszystkie dziewczyny zeszły do choinki na środku bloku. Myślałam o Miei, Ojcu, Jurku o Tobie i wszystkich, zdawało mi się, że to już koniec i tak strasznie było żal. To była najgorsza choroba, jaką tutaj przechodziłyśmy. [...]

To wszystko pisałam w pracy, teraz kończę na bloku. [...] Żadna z nas, tu w lagrze, nie wierzy, że wróci kiedyś na wolność, bo lada epidemia i już jesteś w kominie. Zginęło tu 70 tysięcy numerowanych kobiet. A mężczyźni. Ile dziesiątek tysięcy ich się wykończyło. [...]

Drugi z trzech listów dołączonych przez Marię do jej wspomnień ma szczególny charakter – jest cennym dokumentem, relacją z wydarzeń, których Maria była świadkiem i szczegółowo je opisuje. Zawiera także wyjaśnienie – subiektywne, niemniej ważne – podłoża niełatwych stosunków pomiędzy więźniarkami Polkami i Żydówkami. Stawia niejako kropkę nad „i” w tej kwestii.

7 czerwca 1944 roku  
Kochani,

Znowu mam okazję do Was napisać. Nie wyobrażacie sobie, ile radości sprawiła nam wiadomość, że Tatuś nareszcie napisał. Wstąpiły w nas

nowe siły do życia. Wiara – że przecież można się jednak wydostać poza bramy Auschwitz.

Tutaj teraz piekło prawdziwe. Od miesiąca zwożą dziennie tysiące Żydów i palą ich. Na nieszczęście nasz obecny blok znajduje się tuż obok krematorium i tym samym jesteśmy skazane patrzeć na to wszystko. Człowiek staje się tu zwierzęciem. Pomyśl – żywi ludzie, piękne dziewczyny, dzieci, mężczyźni stoją w kolejce przed krematorium po śmierć, a my się śmiejemy, patrząc jak przeciskają się, żeby szybciej wejść. Oslaniają się parasolkami od słońca, panny pudrują się i malują przed drzwiami – oni nic nie wiedzą. Patrzą na lagier, na nas i cieszą się, że przyjechali do pracy.

Przeciętnie 2 tysiące idzie dziennie. W krematorium już się tylko gazuje, a stopy trupów pali się w lesie w dołach tuż koło Weberei. Ach, jak okropnie śmierdzą ludzkie ciała – tak mdławo-słodkawo. Pracujemy przy zamkniętych oknach, dusimy się od gorąca, ten dym przedziera się przez okna, dławi i gryzie w oczy. Nasze Żydówki są bardzo przygnębione. Zresztą jedne się cieszą, drugie płaczą. Na lagrze wzrosła organizacja. Okiem znawcy taksujemy transporty – piękne ubrania, swetry, buty, chustki. Wszystko to można spotkać na lagrze. Ileż wagonów wywozi te rzeczy. Patrząc na to, wierzę, że Niemcy są zdolni do wszystkiego. Żydówki są wściekłe, że nas nie biorą do krematorium. Pocieszają nas powiedzeniem: „My na śniadanie, wy na obiad”. One by na ochotnika szły do gazu, byle byśmy były razem z nimi. Jakżeż oni nas nienawidzą.

Jesteśmy strasznie przepracowane. Pracujemy 12 godzin bez wytchnienia. Apele, marsz z pracy i do pracy, komisje – wyczerpują strasznie. Śpi się 4–5 godzin dziennie. Co dwa tygodnie urządzają nam odwszenie (teraz, kiedy wszy nie ma wcale) – wtedy nie śpi się 36 godzin. Jesteśmy wiecznie zaspane. Śpi się, stojąc na apelu, siedząc przy pasie w pracy. Czasem oczy tak bołą, że nie można spuścić powiek.

Kiedyś rozmawialiśmy na temat – ostatnie życzenie przed pójściem do gazu. Wiesz, jaka była większość pragnień? Najeść się do syta dobrze okraszonych kartofli i wypaść się całe 24 godziny. Takie już zrobiłyśmy się mało wymagające. Doprawdy to niewysypianie się jest najgorsze ze wszystkich naszych tragedii. Już ze wszystkim innym jakoś dajemy sobie radę. Przecież już dawno przestałyśmy być mużułmanami. Taki dziesięciomiesięczny Haftling już nie da sobie w kaszę dmuchać. Tu, bardziej niż gdzie indziej – tylko silny ma prawo do życia. O, a my się już nie damy.

Żeby tylko Bóg dał zdrowie. Miecia, od tego ostatniego durszfału jest całkiem zdrowa. Z każdym dniem wygląda coraz lepiej, włosięta jej już odrastają. Już ani śladu nie ma z tego stracha na wróble, jakim była po tyfusie. Ma humor, śpiewa, jest pyskata (to tutaj bardzo ważne).

Oczywiście to wszystko dzięki Waszym paczkom. Wyobrażam sobie, ile tysięcy już połknęłyśmy. Gdybyście nawet wszystko sprzedali, to, co było możliwe do sprzedania, już dawno by brakło. Nie wiem, czy starczy mi życia, abym mogła się za to wszystko odwdziaczyć.

Trzeci udostępniony list Maria napisała także do swojego ówczesnego narzeczonego, później męża, Jerzego Rudzkiego.

11 czerwca 1944 roku  
Niedziela 11-go

Na lagrze zrobiło się cholernie. Zaledwie kilka dni, a już tak dużo zmian. Przede wszystkim podobno mamy wyjechać. Wszystkie Polki. Mówi się o tym już od pół roku, ale teraz podobno serio. Nikt dokładnie nie wie dokąd. Mówią o Ravensbrück, o wolnych pracach w Niemczech, o jakimś nowym lagrze pod Krakowem. W każdym razie, gdyby coś zaszło, nie mielibyście od nas wiadomości – wysyłajcie telegram z opłaconą odpowiedzią do Auschwitz i Ravensbrück, z zapytaniem, co się z nami stało. Na to zawsze dostaniecie odpowiedź. Tak się boję tego Ravensbrück. Podobno tam jeszcze straszniej. Tu się już człowiek trochę otrząsał, zna wszystkie kąty, a tam trzeba jechać na niepewne.

Zresztą wszystko jedno, już się przyzwyczaiłam do wszystkich, najbardziej przykrych niespodzianek. Kilka dni temu odebrano nam pończochy, swetry, bluzy. Nic nie wolno nosić poza ostemplowaną koszulą, majtkami i pasiakiem – to takie lumpy, które dostaje się przy kąpieli. Jakby na złość, codziennie leje deszcz. Przemakamy na apelach do suchych nitek i potem rano trzeba kłaść to wszystko mokre na siebie. Już i tak każda jest bardzo przeziębiona, a teraz piętnastego mają odbierać buty. Jeżeli nie przeziębimy się i nie ogrzejemy w kominie – no to wyjdziemy już chyba zdrowo. Dotychczas głów nie opuszczamy. Kiedy stoimy na lagerstrasse i dosłownie nic suchego nie mamy na sobie, śpiewamy – my młodzi, nam apel nie zaszkodzi.

Wyjątkowo na naszej koi mieszkają same dziewczęta. Aż jednaście w wieku od 16 do 24 lat. Razem podtrzymujemy się na duchu. Nie płaczemy nigdy. Jeżeli która chora, wspólnie ratujemy, i jakoś mija dzień za dniem. A przecież już tak dawno wyjechałyśmy. Zdaje mi się, że śniłam o tym, że kiedyś miałam długie włosy, nosiłam kapelusz, że jadłam na talerzu. Nie wiem, czy potrafię znów być cywilizowanym człowiekiem. To już tak dawno, od tego sielskiego życia wśród Was.

Całymi dniami opowiadamy o chwilach razem spędzonych, roztrząsamy najdrobniejsze szczegóły. Ach Jerzy, tak strasznie tęsknię za Tobą. Tak mocno chciałabym być znowu z Tobą. Nie mogę pisać, bo łązy i myśli tysiące ciśnie się na raz. Pamiętaj, że chcę Cię zastać takim jak zostawiłam najukochańszym, najlepszym pod słońcem.

A mój mały braciszek co porabia? Tyle radości sprawiają nam jego listy. Ja tutaj zamiast Ciebie wychowuję małą Gienię – dziewczynkę w Twoim wieku. Ja, Miecia i ona żyjemy jak jedna rodzina. Opowiadamy ciągle o Tobie. Wyobrażamy sobie, jaki jesteś już duży, Jureczku, braciszku mój jedyny, czyśmy kiedyś przypuszczali podczas beztroskich dni, kiedyśmy razem z ojcem dokazywali, że w ten sposób będziemy rozdzieleni?

Często wieczorem po pracy idę pod druty (dziś jedna Żydówka poszła na druty, przed chwilą widziałam, jak skonała). Patrzę, jak w dali zielenią się drzewa, łąki, wolność – tam niedaleko Wy – zaledwie 30 kilometrów. Tak blisko, a tak daleko. Oczy przyzwyczajone do szarych bloków, szarych szat lagierskich, szarych twarzy – rozszerzają się od pięknej zieleni. Wtedy człowiek wierzy, patrząc za druty, widząc gdzieś daleko pociąg, że istnieje jeszcze inny świat – normalne życie i normalni ludzie. Bo my nie jesteśmy normalne. Aufsierki, esesmani, którzy przyjeżdżają na kontrolę lagru, patrzą na nas jak na stado zbrodniarzy. [...]

Paczki otrzymujemy w porządku, są rewidowane, ale nic nie zabierają. Bardzo proszę wyślijcie nam w paczce Wasze zdjęcia. [...] Oprócz tego możecie listy na papierze pergaminowym zwinąć w rulonik i zapiec w cieście – w samym rogu – bo czasem kroją przez środek. Jeżeli możecie, wyślijcie paczkę jarzynową – kiszoną kapustę, marchew – taką extra paczkę. Zup lagrowych obecnie nie jemy. Codziennie prawie gotujemy – najczęściej kartoflanke. Teraz coraz trudniej z gotowaniem – za to grozi karne komando.

Zresztą i tak już wszystko jedno. W Weberei jest coraz gorzej. Prace coraz bardziej wyciągają, krzyczą, codziennie sport, żabki. Takie ćwiczenia z naszym szefem nie są bardzo przyjemne. To człowiek wyzutych z ludzkich uczuć. Jest mi wszystko jedno, byleby tylko razem z Mietką. [...]

Jerzy napisz mi, co słyszeć z wojną, ale szczerze, jak myślisz, ile lat to będzie trwało? U nas krążą takie piramidalne wiadomości z frontu – nauczyłam się w nic nie wierzyć. Napisz szczerze, co o tym myślisz. Przyślij mi dokładny adres ojca, może uda mi się do niego napisać. Pisz dużo o wszystkim. [...]

Kiedy wyczytują moje nazwisko na apelu i wręczają list, robi mi się niedobrze ze wzruszenia i wydaje mi się, że za chwilę upadnę. Patrzę przez łyzy – litery uciekają – nic nie widzę. Po godzinie dopiero zdołam się otrząsnąć. Wtedy czytam chyba sto razy, uczę się na pamięć. Naza jutrz znów to samo, aż do otrzymania kolejnego listu. Wtedy brudny, zalany łzami niszcę. Dzisiaj 10 miesięcy. Tyle długich, gorzkich dni. Tyle dni bez Was.

Całuję Cię tysiące razy i Jureczka –  
Marysia

Listy Marii odkrywają wiele nieznanych faktów związanych z życiem w obozie oświęcimskim, dopełniają wiedzę o nich i wyjaśniają je. Listy Mamy pisane do Lucyny mają charakter wspomnieniowy, pisane są po upływie wielu lat od zdarzeń, które Mama wspomina i komentuje.

## Lucyna

Jedyny list napisany przez Lucynę do Mamy jest szczególnie cenną pamiątką – został napisany wkrótce po powrocie Luci do Wisłowca, jej rodzinnej wsi. Emocje w nim zawarte mają więc źródło w tamtym czasie, nie są odtworzone po latach. Jest to też list o głębi przyjaźni.

Dnia 10.VIII.1945 r.

Kochana Lolka,

W pierwszych słowach mojego listu piszę Ci, że jestem zdrowa i szczęśliwie zjechałyśmy z siostrą do domu. W domu jest tak jak zwykle, jak Ci mówiłam. Kochana Lolka, ja teraz myślę jechać na Zachód, dlatego że tak mi się przykrzy, nie mogę sobie miejsca znaleźć [...], na każdym kroku myślę o Tobie, albo żeby tylko wyjechać na Zachód.

Kochana Lolka, napisz mi, czy znalazłaś już jakąś posadę i czy brat jest już zdrowy i co u Was słychać. Na tym, Kochana Lolka, kończę list, na razie nie mam Ci o czym więcej pisać. Tylko proszę Cię, odpisz mi jak najprędzej i jeżeli będziesz mogła, przyjedź do mnie jak najprędzej.

Pozdrawiam i całuję Cię i Twoich Rodziców i brata. Pozdrowienia od moich siostr i Mamusi dla Was wszystkich.

Do widzenia

Na odwrocie tego krótkiego listu Mama napisała: „Pierwszy list po powrocie do Polski po wojennej tułaczce”.

## Alodia

Pierwszy zachowany list Mamy do Lucyny został napisany 10 czerwca 1997 roku. Nie jest zbyt długi, chociaż Mama pisała dosyć długie listy. W listach do Lucyny Mama zawsze powracała do ich obozowej przeszłości, tak jakby z wiekiem wspomnienia z tego czasu wracały z nową siłą. Trudno się temu dziwić, minął okres budowania rodziny, pracy, pozostał czas na refleksje z przeszłości i, jak wynika z listów, podsumowania. Listy Mamy są po części dokumentami – zawierają opisy i wyjaśnienia różnych sytuacji i wydarzeń



z okresu pobytu Mamy i jej Koleżanek w obozie oświęcimskim, a przede wszystkim z Weiden, w którym pobyt Mama nazwała wczasami.

Ten list Mama napisała na różowym papierze listowym – lubiła ładne papeterie.

Sosnowiec 10.VI.1997

Kochana Luciu.

Piszę do Ciebie, bo wiem, że od Ciebie nie doczekam się pierwsza listu. [...]

Ja w ogóle, jak przyjdzie koniec kwietnia, to ciągle przeżywam to nasze wyzwolenie i tak do sierpnia, do naszego powrotu do Polski. Tak często myślę o tym wszystkim, co wtedy przeżywałyśmy, i jak nasze życie potoczyłoby się, gdybyśmy wtedy zostały. Nie wiadomo, czy byłybyśmy takie zadowolone jak nam się dzisiaj wydaje, różnie to mogło być. Ale ryzyko było niewielkie, bo gdyby nam coś nie wyszło, to zawsze mogłyśmy wrócić, a jeszcze byśmy trochę zażyły tego amerykańskiego raj. A co się tyczy naszego wyjazdu do Ameryki, to na pewno mogłyśmy liczyć tylko na siebie. Bo to, co Stefan nam obiecał, to na pewno by się nie spełniło. A jak jest wojna, to wszyscy są kawalerami i jak mogą, tak oszukują. No jak wiesz, byłyśmy młode, wierzyłyśmy w każde jego słowo, bo wydawało się, że można mieć do niego zaufanie. [...]

Teraz, jak byłam na wsi, to mi się śnił Stefan. A on mi się nigdy nie śni, chyba raz za te wszystkie lata, i to mnie natchnęło, żeby napisać do Ciebie. Bo chyba z zaświatów zmobilizował mnie do tego, bo wszystkie wspomnienia są związane z Tobą, z nim i jeszcze innymi.

Nie wiem nic o Gieni, może pisze do Ciebie, to napisz. Ja nie piszę do niej, bo jak się tak obraziła jak była u nas, to nie chcę się narzucać. Z Hanią z Wągrowca mam kontakt telefoniczny, nieraz dzwonimy do siebie, może nawet przyjedzie do mnie, bo obiecała. Była w tym roku w Niemczech na wczasach od Kolbego, była bardzo zadowolona, przysłała kartkę. W zeszłym roku była w Weiden, ma wszystko opowiedzieć jak przyjedzie. [...]

Co u Ciebie, co z Twoją rodziną, wnuki już chyba duże, jak żyją Twoje dzieci, to mi chociaż napisz. [...] Napisz mi o sobie i Twoich najbliższych, a jak możesz, przyjedź, bardzo bym się ucieszyła.

Pozdrawiam i całuję Cię serdecznie. Pozdrowienia dla wszystkich, A.G.

List Mamy do Luci z przełomu lat 1998/99 nie zawiera daty. Jego końcówką część Mama poświęciła, jak w każdym liście do Lucyny, wspomnieniom. Napisała w nim, że zarówno Jadzia, jak i ja byłyśmy w tym czasie w Ame-

ryce, w Stanach Zjednoczonych, ale obie orzekłyśmy, że nie chciałybyśmy tam mieszkać na stałe.

[...] Nie dziwię im się, ta dzisiejsza Ameryka to nie jest taka, jak my ją pamiętamy, tę częsteczkę Ameryki w Weiden. Ci ludzie byli inni i czasy inne. Ale też miałyśmy różne przeżycia, nie zawsze najlepsze, ale to była jeszcze wojna i wojna ma różne prawa. Pamiętasz chyba, jak żeśmy w nocy uciekały przez okno, kiedy nas odwiedzili pijani żołnierze. Tego się nie zapomni, ale chyba było tych szczęśliwszych dni więcej. Gienia miała szczęście, że nas tak wyprowadziła z tego nieszczęścia, a cywilni Niemcy nam pomogli. Bo jak Marysia Włodarczyk mówi, one też uciekły w piątkę, to Niemcy nic im nie pomogli, nie chcieli im dać nic do zjedzenia, jeszcze je psami szczuli, a spały po kryjomu w jakichś chlewikach, bo noce były chłodne, aż doczekały wyzwolenia. A my miałyśmy od początku pomoc od Niemców i nie spałyśmy ani jednej nocy pod gołym niebem. Nie wiadomo, czy Gienia jeszcze żyje, jej i Tobie dużo zawdzięczam. Tylko że tak szybko przyjechałyśmy, mogłyśmy jakieś trzy miesiące jeszcze zostać, bo dla nas były to takie wczasy, które nam się słusznie należały. Ja wciąż widzę Stefana, jak czekał do końca, aż odszedł pociąg, i namawiał nas, żebyśmy wysiadły z pociągu. I nawet był z autem, mówił, że wynajmie nam mieszkanie, ale myśmy za bardzo tęskniły, ten obóz bardzo nas wykończył. Hania przyjechała w 1947 roku, była już mężatką i miała dziecko. A Józek, pamiętasz? Najdłużej do nas przychodził, bo mu zależało na Tobie, ale Ty ani nie myślałaś o nim. Pamiętasz, jak przed naszym wyjazdem przyjechał do nas Józek z Jasiem pożegnać się z nami, ale gdybyśmy tylko chciały, toby z nami pojechali. Ale my nie, tak jakby ten transport był nasz, ani nie dałyśmy sobie powiedzieć, żeby z nami jechali, nawet nie chciałam dać adresu Jankowi, a prosił mnie o to. Byłyśmy za bardzo pewne siebie, myślałyśmy, że w Polsce nie wiadomo co nas czeka, a tu niestety, tak nie było. [...]

A. Gradek

Sosnowiec 8.II.1999 r.

Kochana Luciu!

Czekam i czekam na parę słów od Ciebie, ale czuję, że się nie doczekam. Nie wiem, co Cię tak wstrzymuje od napisania paru słów [...]. A jak sobie pomyślę, to całe moje życie młode jest związane z Tobą. Razem żeśmy przeżywały te trudne chwile w Weberai i później w Wolkenburg przy tej maszynie, o niczym nie myśląc, tylko o jedzeniu, bo zawsze byłyśmy głodne. I później ta tragiczna ewakuacja, kiedy było już prawie beznadziejnie, na jakąkolwiek nadzieję, na życie, na uratowanie życia, nagle spłynęła na nas Łaska Boża, że ta Gienia, taka odważna, postanowiła ostatni desperacki krok zrobić – ucieczkę. I Ty o mnie nie

zapomniałaś, wrobiłaś mnie w tę ostatnią szansę ratowania życia, a była to już ostatnia chwila, a wolność była tuż tuż. Gdyby nie Ty, to ja bym sama nigdy nie odważyła się na taki krok, bo jak sama wiesz, nie było to łatwe, a wręcz było bardzo ryzykowne, bo wszędzie byli Niemcy. Ja zawsze o tym myślę, że Tobie zawdzięczam życie. [...]

Jak wiesz, Hania była u mnie, wyszła drugi raz za męża, dobrze wygląda. Kontaktujemy się od czasu do czasu przez telefon. [...] Kontaktuję się też z Marysią Włodarczyk, byłam u niej, a często kontaktujemy się przez telefon. Bardzo miła i koleżeńska, tak jak była w obozie uczynna, jak i Miecia, obie są fajne. [...]

Pomimo chorób, które mnie nękają, zdobyłam się na napisanie takiego krótkiego opowiadania o moich przeżyciach, jest tego niewiele, 10 kartek maszynopisu. To już wnuczek przepisywał, a myśl ta zrodziła się po powrocie z Oświęcimia, jak byliśmy z Hanią. Pomyślałam sobie, niech coś zostanie, nawet dla tych moich dzieci. Jak zobaczyłam tę ciszę, która tam panowała, to aż mnie dreszcze przeszły, trawka rośnie, słońce świeci, tylko brak nas, ludzi i błota, w które nas wdeptywali. [...]

I te zburzone krematoria, ale żeby sobie to wszystko wyobrazić, ten ogrom zagłady totalnej, którą zgotowali ludzie ludziom, to wiemy tylko my. I tego nie da się nigdy zapomnieć.

Kolejny zachowany list do Lucyny Mama napisała prawie rok później, 27 maja 1999 roku. Był podziękowaniem za pozdrowienia przekazane Mamie przez jej znajomą, która w Częstochowie, w czasie pielgrzymki więźniów obozów koncentracyjnych, spotkała się z Lucyną. Mama chyba dwukrotnie uczestniczyła w takiej pielgrzymce, ale nie pamiętamy szczegółów tych wydarzeń. Maj 1999 to był smutny dla nas czas żałoby po zmarłym naszym ojcu, mężu i dziadku. Odszedł od nas 3 maja...

Kochana Luciu!

Dziękuję Ci serdecznie za pozdrowienia i uściski przekazane przez Zenię i za papieża, którego mam na widocznym miejscu. Za to, że mi dobrze życzysz i jesteś myślami ze mną. Jak wiesz, straciłam męża, jestem sama. Ale chorował na taką chorobę, której się nie wyleczy, a walczył z tą chorobą 7 lat. Skończył 77 lat, a wspólnie przeżyliśmy 49 lat. [...]

Jak mi się tak przykrzy, to oglądam zdjęcia i myślę sobie, gdzie też oni wszyscy są, kto z nich żyje. [...]

Marysia i Miecia są w Sosnowcu. Marysia dzwoniła do mnie, że Miecia choruje, jest w szpitalu. I tak już tego zdrowia to żadna z nas nie ma już za bogatego. Bo i lata już niemłode i ta starość. [...]

Jak to nas los oddalił od siebie, tak daleko, nieraz myślę o tym, że gdybyśmy zostały w Weiden, nasze życie na pewno by się ułożyło inaczej

i może byłobyśmy razem, ale to też nie wiadomo. Już teraz to nie ma znaczenia, tak musi być jak jest. A teraz, 13 czerwca, będzie 36 lat, jak Stefek nie żyje. Nie nacieszył się za długo na tym świecie. Ciekawe, czy ktoś jeszcze żyje z naszych znajomych. Nie wiadomo, bo świat taki wielki, a nie ze wszystkimi miałyśmy kontakt. Myślę, że oni też czasami o nas myślą, o ile gdzieś są.

Teraz jest ciepło, ładna pogoda, jak w 1945 roku, też nam to słońce i wolność sprzyjały. Dlatego tak trudno o tym zapomnieć. Myślę, że i Ty w tym czasie też wspominasz tamte czasy i tamto lato. Tyle nam zostało z tych młodych lat. [...] Ja zawsze o Tobie myślę jak przyjdzie ta pora roku, bośmy wtedy zawsze byli razem.

Twoja zawsze wierna Lola G.

Sosnowiec, 23 VIII 1999.

Kochana Luciu!

Piszę do Ciebie, bo nie było mnie w Sosnowcu. Byłam w Ludyni przez tydzień, bo u tej kuzynki, co jeździmy do niej, żenił się syn. Było wesele bogate, w lokalu w miasteczku, ale nam teraz wesela nie pasują, byłyśmy na ślubie i trochę na sali. [...] Jeszcze po weselu trochę pobylam na wsi, bo w domu jestem sama, a tam chociaż między ludźmi. Żyje jeszcze najmłodsza siostra mojej mamy [Zosia – H.R.], o rok ode mnie młodsza, to z tego roku co Ty, to mam do kogo iść i porozmawiać o dawnych czasach, a szczególnie o czasach wojennych, bo stamtąd się dostałam do obozu.

Widzisz Luciu, czas tak szybko leci, że już lipiec się kończy. Tak bardzo bym chciała, żebyś przyjechała do mnie, tak na rozmowę i wspomnienia o dawnych czasach młodości, a mamy o czym mówić, tyle wspólnie przeżyłyśmy złego, a później dobrego, czego nie da się zapomnieć. [...]

We wtorek pochowaliśmy Micię Włodarczyk, siostrę Marysi. Miała tyle lat co ja, niedługo nawet chorowała. Czas już nie pracuje na naszą korzyść, wręcz przeciwnie, każdy dzień to bliżej wiesz gdzie. [...] Czekam z utęsknieniem na spotkanie z Tobą.

Twoja Lola

Sosnowiec 17.IV.2000 rok

Kochana Luciu!

Zdecydowałam się napisać do Ciebie, bo to pora i okazja do wspomnień. Akurat przed Świątami będzie 55. rocznica naszego wyzwolenia. Ja zapamiętałam datę 22 kwietnia 1945 roku, kiedy uzyskałyśmy wolność. Jak witałyśmy żołnierza amerykańskiego w furtce domu, gdzie zatrzymałyśmy się. Tak bardzo te chwile utkwiły w mojej pamięci, że zawsze

się do nich wraca, szczególnie w kwietniu. A jeszcze wcześniej, w czasie ucieczki, jak cudem nam się udało uratować przed nalotem samolotów amerykańskich, bo myśmy uciekały na oślep, przez odkrytą przestrzeń, a była to jakaś łąka, oni mogli nas skosić, bo nas mieli jak na dłoni. Ale nie zrobili tego, chyba wyczuli, że to jakieś osoby zagubione, że nie wiedzą, że w czasie nalotu nie ucieka się. Wiesz, że nieraz myślę o nich i jeżeli żyją, dobrze im życzę, że tak nas wtedy potraktowali po ludzku. Ale jeszcze to nie było wszystko, jeszcze trzeba było podnieść się z tej łąki i iść naprzeciw żołnierzom niemieckim uzbrojonym po zęby, a my ludzie bez miejsca, bez dokumentów, tylko numery miałyśmy wytatuowane, które nas mogły pograżyć w jeszcze większe nieszczęście. A co dalej, to Ty wiesz, ale zawsze wraca się do tych dni. Ja myślę, że Gienia miała taką szczęśliwą rękę, że nas tak szczęśliwie wyprowadziła z tej wojennej matni. Bo inne tak nie miały. Marysia, Miecia, Ala jak się udały po pomoc do Niemców, to ich szczuli psami. A nam do samego wyzwolenia jakoś się udawało w miarę gdzieś doczekać.

Później te trzy miesiące zleciały tak szybko, że aniśmy się nie obejrzały, jak trzeba było się zbierać w podróż. Tylko dziwi mnie to, że zawsze żeśmy się dogadywały, nawet wtedy, gdy nas opuściły koleżanki, a my ciągle byłyśmy razem. [...]

Nie potrafiłyśmy się zdobyć na to, żeby wysiąść z tego pociągu i spróbować życia na własną rękę, chociaż trochę jeszcze posiedzieć w Weiden. Nawet żeśmy nie mówiły o tym, tylko czekałyśmy, żeby ten pociąg ruszył, żeby nie widzieć tego Stefana, który czekał na nas cały czas. I wtedy nasze drogi rozeszły się na zawsze. Wybacz Luciu, że ja tak wałkuję tę sprawę przez tyle lat, ale myślę, że jak przychodzi kwiecień, to Ty też jesteś nieraz myślami w Weiden. [...]

Na zakończenie pozdrawiam Ciebie i Twoją liczną rodzinę [...]

Całuję Cię z całego serca

Tvoja Lola 30 504

Sosnowiec 6–VIII–2000

Kochana Luciu.

Piszę do Ciebie, bo niestety, ale nasze plany co do wyjazdu do Ciebie trochę się zmieniły i z różnych względów nie pojedziemy z Halusią do Ciebie. A najważniejszy powód to to, że ja ze zdrowiem nie najlepiej stoję, a podróż do Ciebie jest daleka. Kiedyś jechałam i nic mi się nie działo, ale byłam dużo młodsza, a teraz, w czerwcu, skończyłam 75 lat, to też zaważyło na moim życiu. A tak przecież niedawno obchodziłam 20. urodziny w tym naszym Weiden i tyle kwiatów co wtedy nie miałam nigdy w żadne urodziny, dlatego tak to długo pamiętam. Zresztą, tak jak i Twoje imieniny ostatniego czerwca też w Weiden, to przecież było cudowne przeżycie, a takich chwil miałyśmy więcej, dlatego tak długo

pamiętamy tamte czasy. I pewnie nie zapomnimy nigdy. Dopiero jak byłaś u mnie, przypomniawszy mi, że ja miałam pierwszy rower, pierwszy zegarek, pierwsze buty. Nasi wnukowie nie mogliby tego zrozumieć, a dla nas to była największa radość i chęć do życia. Bo jakże iść przez życie bez butów? Nie da się w żaden sposób, a my to rozumiemy i wiemy. [...]

Może uda nam się jeszcze kiedyś spotkać. Nam to chyba by zawsze brakło czasu na wspomnienia, tyle ich mamy.

Planowałam, że napiszę do Gieni, ale nie wiem, czy żyje. Ona ma nasze adresy, jak by chciała, to też mogłaby napisać, ale widocznie nie czuje potrzeby napisania do nas. To tylko dla nas co było tam, to było wszystko wspaniałe, myśmy nikogo nie obrażyły, nikogo nie wykorzystały, to i nas szanowali i odjeżdżałyśmy z czystym sumieniem. Dlatego tak tęsknimy przez tyle lat do tamtych czasów. Gdyby nas spotkało coś przykrego, pewnie by było inaczej. [...]

W tych dniach jest rocznica naszego wyjazdu z Weiden. Znowu związane z tym wspomnienia, które do dziś nas dręczą, czy myśmy dobrze zrobiły, opuszczając ten raj, który tam miałyśmy. Ale wspomnieniami się nie użyje, trzeba żyć tym, co się ma i dokąd się da. [...]

Na tym kończę te parę słów. Pozdrawiam Ciebie i całą Twoją rodzinę oraz Gabrysię i p. Basię.

Twoja myślą i sercem koleżanka

A. Gradek 30 504

Sosnowiec 16–XII–2000

Kochana Luciu.

[...] Byłam dzisiaj w sklepie, widziałam się z Józią, przesałam jej życzenia od Ciebie, bardzo Ci dziękuję za pamięć i życzenia i Tobie również przesyła moc życzeń świątecznych. [...]

Tak sobie nieraz myślę, gdzie są Ci wszyscy ludzie, z którymi zetknęliśmy się w tych trudnych czasach, którzy nieśli nam pomoc. Ilu ich jeszcze żyje i gdzie? Porozrzucani po całym świecie, ale w myślach zawsze im dobrze życzę, gdziekolwiek się znajdują. A najlepiej i najlepsze życzenia należą się Gieni. [...] Ona po tylu perypetiach losowych wylądowała najlepiej z nas, nie musiała się tak naszarpać z tym życiem jak my. Ale i my nie mamy co narzekać, bo kłopoty ma każdy, nawet ci bogaci. [...]

Nieraz się zastanawiam, jak przeżyłyśmy ten koniec wojny, sponiewierane, głodne, bez dachu nad głową. Ale to chyba młodość zwyciężyła. No i sam Bóg, który nas chronił od zagłady. Tak myślę o tych naszych koleżankach, z którymi mam kontakt – Hania jest chora, ma kłopoty z drogami oddechowymi, dzwoniła do mnie, że więcej czasu spędza

w szpitalu niż w domu. Tylko Ala P. w tym roku ma 81 lat i widać tak bardzo nie narzeka na zdrowie, a życia też nie miała łatwego.

[...] A Tobie i Twoim dzieciom, Boże, jak ja ich dawno nie widziałam, chociaż je wszystkie znam, i Twoim wnukom, których nie znam, wszystkim Wam życzę spokojnych Świąt.

Gdy zasiądziesz do Wigilii, pomyśl o mnie, ja też myślami będę z Wami.  
Twoja koleżanka  
Lola G.

Sosnowiec 2-V-2003 rok  
Kochana Luciu.

Nadeszła pora wiosny. Kwiecień, czas naszego wyzwolenia. Tyle się pięknych i szczęśliwych rzeczy dla nas działo. Po tych koszmarach obozowych najpiękniejsze było wyzwolenie i koniec obozowych drutów, że ja, jak i Ty, nie zapomnimy tego nigdy. Tyle tylko, że to był, jak Ty mówisz, krótki błysk słońca, ale taki, który pamięta się przez całe życie. To były tylko trzy miesiące, ale były najcudowniejsze w naszym wtedy młodym życiu. Nie zawsze umiałyśmy sobie radzić w sytuacjach, które nas spotykały, ale myślę, że nie zrobiliśmy nic takiego, czego musiałybyśmy się wstydzić.

Lucia, to już minęło 58 lat, dużo lat. Wiele osób z tego grona z Weiden już odeszło na zawsze, na pewno zostało nas niewiele. Nie zdążyło się powiedzieć czegoś miłego osobom, które na to zasłużyły, bo czas tak szybko ucieka, tak, że nieraz nie nadążamy za nim. Dobrze, że dzięki Stefanowi mamy z tamtych czasów parę zdjęć, które zatrzymały tamten czas i możemy się napiatrzyć, że naprawdę tak było. Niestety, one nie przemówią. Ciekawe, czy Józek Wałęsa jeszcze żyje, ale miałby już po osiemdziesiątkę. Kiedy to zleciało, trudno uwierzyć, że tak szybko. Pozostały tylko wspomnienia. [...]

Napisałam, bo gdy nadchodzi nasze wyzwolenie, to jakoś odżywają wspomnienia. Szkoda tylko, że tak daleko od siebie mieszkamy i nie możemy się często spotykać, bo byśmy dużo miały do opowiadania. Obie przeżyłyśmy tyle od obozu po szczęśliwe oswobodzenie, że jak teraz źle mówią o Amerykaninach za tę wojnę... to ja naprawdę nigdy im źle nie życzę. Bo pamięć jak najlepszą o nich zachowałam, to oni przynieśli nam wolność i to wszystko, co nas najlepszego po wojnie mogło spotkać. [...]

Całuję Lola G.

Ostatni zachowany list Mamy do Lucyny nosi datę 28 sierpnia 2006 roku. Dwa lata przed śmiercią Lucyny, która już od dłuższego czasu chorowała, czuła się coraz gorzej. Być może z tego powodu korespondencja po-



między przyjaciółkami stawała się coraz rzadsza. Wiem, że Mama dzwoniła do Lucyny od czasu do czasu i te rozmowy zastąpiły listy.

Kochana Lucia!

Ponieważ córka moja Hala jedzie służbowo do Zamościa, chciałam napisać do Ciebie parę słów i posłać drobny upominek. Wiem, że na pewno masz dużo rzeczy, ale to ode mnie na pewno Ci się przyda. A kiedyś w młodości w Weiden ubierałaś nas wszystkie, bo gotowych rzeczy nie było, a Ty jedna umiałaś szyć, wtedy to było na wagę złota. Ja nigdy tego nie zapomnę, jak inne latały po Weiden i okolicach, a Tyś siedziała przy maszynie, a pogoda była piękna, bo to było lato, pierwsze na wolności. Tego też nie da się zapomnieć. W ogóle Weiden w naszym życiu to było miasto naszej młodości, wolności i miłości. Dlatego zostało w naszej pamięci na zawsze.

Teraz jestem w Ludyni. [...] Pogody nie ma nadzwyczajnej, ale jest przyjemnie i sporo grzybów. Ale ja do lasu nie chodzę, bo niestety moje nogi nie chcą mnie nosić, tak koło domu z trudem się poruszam, ale dalej to już nie dla mnie. Ta starość przyszła tak szybko, że nie wiadomo, kiedy człowiek stał się niedołączy. Ale na to też nie ma rady.

Lucia, nieraz sobie myślę, kiedy te lata minęły i o czym. Za szybko ten czas leci, żeby tylko człowiek jako tako się poruszał, to też można Bogu serdecznie dziękować. Dużo można jeszcze napisać, ale byłyby to same narzekania, to już kończę.

Wypada Cię tylko serdecznie pozdrowić i życzyć tego cennego zdrowia jak najdłużej. [...]

Całuję mocno

A. Gradek

Nie wydaje się, żeby do listów Mamy potrzebny był jakikolwiek komentarz. Mama zawarła w nich wszystko to, co było dla niej najważniejsze, o czym wraz z upływającymi latami nieustannie myślała i co na nowo przeżywała. Właśnie ze względu na to ciągle pamiętanie Mamy, ale także Lucyny, postanowiłam włączyć do książki o Koleżankach z Birkenau fragmenty tych osobistych dokumentów.



## ZAKOŃCZENIE

Jest w naszym domowym archiwum specyficzny notes – nieduży, oprawiony w czarną skórę, z niemieckimi napisami na wewnętrznej stronie okładki, kołonotatnik, jak byśmy powiedzieli. Mama przywiozła go z Weiden. Zawiera różne treści, najwyraźniej zamieszczone tam już po uzyskaniu wolności, prawdopodobnie spisane w Niemczech i po powrocie do Polski.

Pierwsze, pożółkłe i ponadrywane kartki zawierają obozową poezję, być może obecną w „literaturze obozowej”, już gdzieś opublikowaną. To wiersze-opowieści o życiu w obozie, wyraz buntu przeciwko losowi, szukaniu winnych. To między innymi wiersz *Wschód w Oświęcimiu*, któremu w notatniku Mamy towarzyszy data: VIII/44. Jest długi, a kończą go zwrotki wyrażające tę powszechną, porażającą bezradność wobec tak silnego przeciwnika jak obóz nazistowski, ale też pełne emocji odgrazanie się oprawcom – co stanie się z nimi, kiedy wreszcie ci ciemniezeni odzyskają wolność, a ta musi przecież przyjść:

12. Waszym marzeniem przez długie lata  
Zwozić transporty z całego świata.  
Oj wiemy my dobrze, że wy chcecie  
Świat cały zamknąć w wielkim K-Z-ecie  
I wmówić już małemu dziecku  
Że śmiać się wolno, lecz po niemiecku.

13. Lecz pamiętajcie, że miliony ludzi  
Z jedną myślą się budzi  
I maszerując tak w tej gromadzie,  
Marzą o nowej defiladzie,  
A w duszy bez przerwy śpiewa:  
„Lewa, lewa, lewa”.

14. To nasza wizja przyszłości...  
Bo przecież przyjdzie dzień wolności,  
Nadejdzie nasz 3-ci Maj,  
Wolności dzień będziemy frai.

15. A za to wszystko zapłata musi być.  
Czyn i tylko czyn,  
Bo za ten marsz będziemy bić w twarz  
Bez końca rżnąć, bez końca prać.  
Orkiestra? Też Wam będzie grać.

16. Za tyle ran, wylanej krwi  
Wy zapłacicie – nikt! Tylko wy!  
Będziecie wyć, że macie dość!!!  
A my na złość! A my na złość!

17. Za tyle krwi, wylanych łez  
Niech każdy z was zdechnie jak pies!  
I aby raz odetchnął świat  
Zatrzemy po was wszelki ślad!

18. Na wielkim grobie stanie sfinks  
I będzie krzyczał:  
„Links, Links und Links!”

Kolejne kartki notatnika to słowniczek polsko-angielski, a potem list napisany po angielsku do Stefana Jaśkowiaka, do Stanów Zjednoczonych, z pozdrowieniami i informacją, że Mama wróciła już do Sosnowca i zastała tam rodzinę w komplecie i w dobrym zdrowiu. Potem znowu wiersze pisane odręcznie – nie przez Mamę; kilka stron z adresami przyjaciół z obozu i Weiden. Jedna kartka poświęcona jest osobistemu kalendarium Mamy – oznaczonym datami etapom Jej wojennej wędrówki od września 1939 roku do listopada 1945 roku.

Wśród zapisanych adresów są także adresy Koleżanek: Luci, Marysi i Mieci, Gieni, Hani. Nazwałam je Koleżankami, ale po napisaniu o nich książki, mam wątpliwości, co do słuszności tego wyboru. Koleżeństwo wydaje mi się za słabym określeniem na więzy pomiędzy bohaterkami. To, co je łączyło przez całe życie, i jak wynika z wielu przekazów, co łączy wszystkich dawnych więźniów obozów koncentracyjnych, to jakby nierozrywalne nici, z których nie da się po prostu wyplątać, porzucić ich. To więź dostępna tylko wtajemniczonym – tym, którzy „wiedzą, jak to było”. To więź szczególnego charakteru, wymykająca się naukowym analizom dokonywanym przez tych, którzy stoją na zewnątrz. Wiąż obozowa – odrębna kategoria tego, co może łączyć ludzi, właściwa tylko tym „wybranym”. Oparta na

wzajemnej zależności, często wymuszonej okolicznościami solidarności, wzajemnej pomocy warunkującej przeżycie i tej niedanej nikomu innemu wiedzy o tym, jak to jest być pozbawianym człowieczeństwa.

Notatnik Mamy to zaledwie około dwudziestu kartek, ale na jego stronach Mama zawarła wszystko to, co zostawiło największy ślad, piętno na Jej życiu. Na życiu, czyli na tożsamości, którą ukształtowało, jak u wszystkich, wiele wydarzeń, zwrotów, życiowych etapów. Ale prawie każdy człowiek może wskazać elementy swojego życia, które w największym stopniu uformowały go jako człowieka, jego sposób postrzegania świata i ludzi. Szkoda, że w życiu Mamy były to dwa lata młodości wytrącone z normalnego życia, spędzone w obcym, jakby nierzeczywistym, wynaturzonym świecie obozu koncentracyjnego.





Ilustracja 1: Alodia Kokosza – zdjęcie wykonane w Auschwitz-Birkenau; zima 1943 roku



PAŃSTWOWE  
MUZEUM  
OŚWIĘCIM  
BRZĘZINKA

NBP OŚWIĘCIM  
KONTO 718-92-7

CENTRALA TELEF.  
20-21 - 20-24

MUZEUM CZYNNE  
CODZIENNIE  
W GODZ. 8-15  
OPRÓCZ  
PONIEDZIAŁKÓW  
I DNI  
POŚWIĄTECZNYCH

PRZYJAZD  
ZWIEDZAJĄCYCH  
NALEŻY  
WCZESNIEJ  
ZGŁOSIĆ

Oświęcim - Brzezinka, dn. 12.06.1989 r. 19 r.

L. dz. IV-8521/1522/1976/89

00621

Pani Alodia Gradek  
ul. Z.M.P. 11a m18  
41-200 SOSNOWIEC

Państwowe Muzeum w Oświęcimiu stwierdza, że numer 30504 posiadała była więźniarka K O K O S Z A Alodia ur. 1925 r., która została przywieziona do obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka /KL Auschwitz-Birkenau/ w dniu 22.1.1943 r. transportem z Radomia.-----  
W obozie oznaczona, jako więźniarka Polka polityczna /P.POI Pod datą: 15.5.1943 r. notowana jako przebywająca w KL Auschwitz-Birkenau.-----

Innych danych o wyżej wymienionej Muzeum nie posiada.

PODSTAWA informacji:

-----numerowe wykazy transportów przybyłych do obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka, zbiór fotografii więźniów, list pisany z obozu do rodziny w dniu 15.5.1943 r., zbiór ankiet.-----



D Y R E K T O R

*[Signature]*  
/mgr Kazimierz Smoleń /

BN

Ilustracja 2: Dokument określający status Alodii Kokoszy jako więźniarki KL Auschwitz



**Ilustracja 3:** Koleżanki i ich znajomi przed barakiem – domem Koleżanek; Weiden, wiosna 1945 roku



**Ilustracja 4:** Koleżanki – od lewej Lucyna i Alodia; Weiden, lato 1945 roku





**Ilustracja 5:** Alodia i Lucyna; Wiślowiec, lato 1968 roku



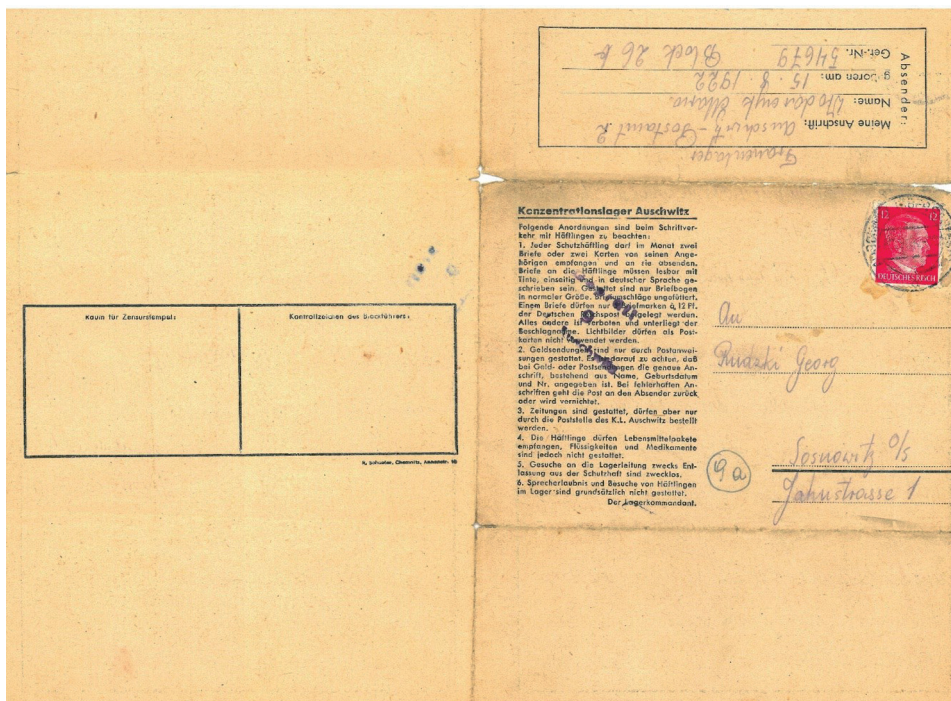
**Ilustracja 6:** Maria Włodarczyk przed barakiem nr 26 w obozie B w Brzezince. Zdjęcie wykonano w czasie pierwszej i jedynej wizyty Marii w obozie Oświęcim-Brzezinka po zakończeniu drugiej wojny światowej; jesień 1945 roku



[illegible]

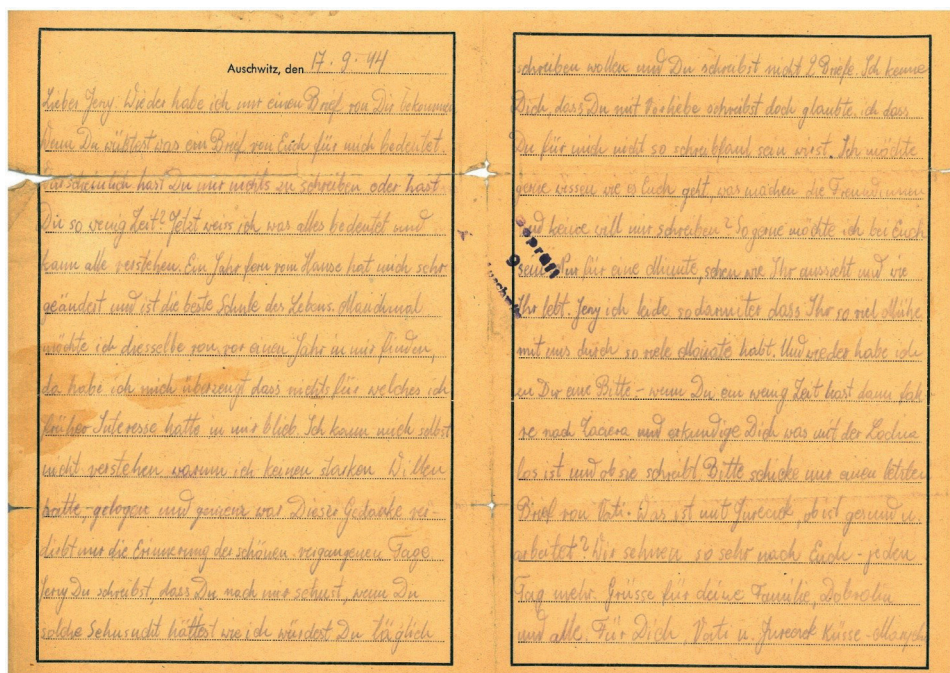
Weterany nieumie zarparować, spi się słoje  
na apelu, jedzący mię pasie w pracy. Ciężkie  
oczy tak bolą, że nie można spojrzeć powiek.  
Medycy rozmawiałyśmy u tenat. Ostatnio  
zyciłem przed popsech do gami. Kiedy jaka  
była mi kresie pragmen — ujęcie się do zeta  
dobnie obrażonych kadoch i wyspać się  
całe 24 godzin. Takie już archetypy są  
mimo wynurzenia. Doprawdy to niechwyty p  
nie się jest ujęzione za umysłach nowoj  
tragedii. Już ze strony kam i innych jak  
dopisywać sobie rade. Trzeci już dawno  
pniestoty są być mowni pianum. Tak  
dniergao. Uwagęmy już bing, pić nie  
do sobie w karte dmucho. Tu białej  
nie gdzie indziej tylko silny nie prawo do życia  
O a my się już nie damy. Aby tylko Bog dał  
zobowią. Albo od tego ostatniego dół dół  
jaki całkowite adrobie. Charytue dnuen. Wygląda  
ogor lepiz, utężata są już odstarog. Tuż dui  
stade nie ma z tego strachu nie wrócić jak  
była po tyfusia. Wygląda naprawdę o wiele  
gorzej niż na wolności. Choć miewa się pawa

**Ilustracja 7:** List wysłany do rodziny przez Marię Włodarczyk nielegalną drogą z obozu oświęcimskiego; 7 czerwca 1944 roku



Ilustracja 8: Oficjalny list wysłany z obozu przez Marię Włodarczyk do narzeczonego Jerzego Rudzkiego; Oświęcim, 17 września 1944 roku





Ilustracja 9: Oficjalny list wysłany z obozu przez Marię Włodarczyk do narzeczonego Jerzego Rudzkiego; 17 września 1944 roku

Kto znajdzie tę kartkę, zechce uprzejmie  
podać wiadomość na adres:

Jerzy Rudzki  
Sośnowitz, Jahnstrasse 1  
ze ślubem i Marycha wyjechały  
transportem z Auschwitz.  
7.10. do ciemnego wnie-  
sione. Zgony bardzo długie  
Dwie siostry

Kto znajdzie tę kartkę,  
zechce uprzejmie podać  
wiadomość na adres:

Jerzy Rudzki  
Sośnowitz  
Jahnstrasse 1  
ze ślubem i Marycha  
wyjechały transportem  
z Auschwitz  
7.10. do Niemiec  
w nieznaną. Zgony  
bardzo długie  
Dwie siostry

Stu

Jerzy Rudzki

Sośnowitz

Jahnstrasse  
Nr 1

Szanowny Panie sędziem  
z kartki na Torach Kolejowych  
i myślałem już

Kartka rzucona  
podczas transportu  
z Auschwitz do  
Flossenbürga  
na dworcu  
z myśłowicami  
7 października  
1944 r.

Ilustracja 10: Kartka rzucona z pociągu przez Marię Włodarczyk w czasie transportu z obozu w Oświęcimiu do obozu we Flossenbürgu; 7 października 1944 roku. Kartkę odnalazł przy torach kolejowych przypadkowy przechodzień i odesłał na adres Jerzego Rudzkiego, narzeczonego Marii



Oboz dla kobiet  
Auschwitz - Postamt 2  
Włodarczyk Maria  
urodz 15.08.1922  
nr więzienn. 54679  
Block nr 26b

Auschwitz 17 września 1944r.

Do  
Jerzy Rudzki  
Sosnowitz o/s  
Jahustrasse 1

Kochany Jerzy.

Znowu w ubiegłym miesiącu otrzymałam tylko 1 list od Ciebie. Czy mi udało się czas napisać do mnie. Wiem przecież, jakże z naczeniem ma każdy list od Ciebie. Jeśli długo mi otrzymuję listu, wydaje mi się, że stało się coś z tego.

Rok spędzony z dala od domu zupełnie mnie odmienił, był najlepszą szkołą życia. Jestem już zupełnie inną osobą i wydaje mi się, że już nigdy nie potrafię być taką jak dawniej. Staran się być twardą, żyć bezwzględnie, szwając, odrzucać wspomnienia, ale niestety to mi się nie udaje i ciągle wracam myślami do tych pięknych dni mojego życia, które uinęły bezpowrotnie.

Wiśiesz, że bardzo tęsknię. Jeśli to prawda, opisz Wasze codzienne życie. Tak chciałabym wszystko o Was wiedzieć. Co porabiają moje przyjaciółki - czemu nie dopisują się do listów? Bardzo chciałabym zobaczyć na jednog unimie być z Wami, zobaczyć, jak wyglądacie.

Jerzy, tak mi przykro, że sprawiam Ci tyle kłopotów. Przez tyle miesięcy, poświęcasz tyle troski i trudu mojej rodzinie. Już mam do Ciebie prośbę. Musisz dowiedzieć się u Zdzisławów, co dzieje się z doświad, czy mają od niej wiadomości.

Bardzo proszę, przyslij mi ostatni list od Tatusia. Co porabia braciśzek, czy jest zdrowy i czy pracuje. Tęsknię bardzo za Wami - z każdym dniem coraz więcej. Cóż, Ciebie, Tatusia i Brata.

Pozdrowienia dla całej Twojej rodziny, Dobroli i wszystkich znajomych

Ilustracja 11: List napisany przez Marię Włodarczyk do narzeczonego Jerzego Rudzkiego; 17 września 1944 roku



Dnia 10 VII 1945 r.

Kochana Lolka.

W pierwszym słowach mojego listu piszę Ci że  
jestem zdrowa, i serdecznie zapiechalimy z Siostrą  
do domu, u nas w domu to jak zwykle, tak  
jak iem Ci mówiła. Kochana Lolka ja  
teraz myślę jechać na zachód, dlatego że tak  
mnie się przykry nimogę sobie znaleźć miejsce,  
po prostu zależy, na każdym kroku, myślę o Tobie,  
a jak mi to idzie tylko wyjechać na zachód.

Kochana Lolka napisz mi czy znalazłaś już  
jakąś posesję, i czy Brat jest już zdrowy, i  
co u was słychać. Skądże Kochana Lolka

kończąc list narazić nie mam co Ci więcej  
pisać; tylko proszę Ci bardzo odpisać mi  
jak najprędzej; jeżeli bynajmniej mogła  
to przyjeść do mnie jak najprędzej.

Pozdrawiam i całuję Cię i Twoich

Podziwów i Bratów. Pozdrawienia od  
moich Siostrów i Mamusi oraz was wszystkich.

Powidełnia.

Ilustracja 12: Pierwszy list Lucyny do Alodii; 10 sierpnia 1945 roku



Kocham ci Luciu.

Sosnowiec 2. V. 2003 rok

Nadeszła pora wiosny, kwiecici czas naszego wyzwolenia. Tyle się pięknych i słodkich rzeczy dla nas dzieło. Po tych koszmarnych oborowych w najpiękniejsze to było wyzwolenie i koniec oborowych drutów. Le ja jak i ty nie zapomniemy tego nigdy, tyle tylko że to był tylko, jak ty mówisz, krótki błysk słoneczny, ale taki który pamięta się przez całe życie, to były tylko trzy miesiące, ale były najudowniejsze w naszym wtedy istnieniu. Nie dawaliśmy sobie rady w sytuacjach które nas spotykały, ale myślę że nie żałujemy nic takiego czego musielibyśmy się wstydić. Luciu to już minęło 58 lat temu lat. Długo obojętne i tego obojętne z Weiden już odeszło na dawne, na pewno zostało nas niewiele. Nic nie dało się powiedzieć coś miłego osobom które nas to nasłuchiwały, bo nas tak szybko u licha, tak że nikt nas nie usłyszał. Dobrze że dzięki Stefanowi mamy z tamtych osób parę ludzi, które dotrzymali tamten czas i możemy się upamiętnić że naprawdę tak było, ale niestety oni nie pamiętają. Ciężko mi być jak Natasza jeszcze żyje, ale miałaby już po 80<sup>tych</sup> kiedy to zleciało, trudno uwierzyć że tak szybko. Pokochały tylko wspomnienia, już edować nie to mogli. Boli ci w głowie sam musi iść do sklepu bo by chyba nie było a i do lekarza, też trzeba chodzić, bo tylko to pastylki się tylko. Odezwijsz się Luciu, co w Ciebie jak że edoniemu dajesz sobie radę. Napisałam, że gdy nadchodzi nasze wyzwolenie to jakos, odkrywając wspomnienia szkoda tylko że tak daleko od siebie mieszkać i nie możemy się często spotykać, bo byśmy dwie miały do oprowadzania. Gdybyś się wybrała do Kęstochowy to już tak blisko mnie bardzo ale to bardzo Cię zapraszam i bardzo by to było szczęśliwe gdybyś mnie odwiedziła. Bo wiesz nam, już z góry nie wiadomo ile nam jeszcze zostało. A my obie przeżyłyśmy tyle od oboru po szczęśliwe oswobodzenie że jak teraz tak mówię, że o Amerykanach że to wojnę w to ja naprawdę nigdy im nie żałuję bo pamięć jak najlepszą o nich zachowałam. To oni przynieśli nam wolność i to wszystko co nas najlepsze po wojnie mogło spotkać. Pozdrawiam Ciebie i Gebysie serdecznie, oraz cały i wasz rodzinny zespół z Łobez.

Ilustracja 13: Jeden z zachowanych listów Alodii do Lucyny; 2 maja 2003 roku



## BIBLIOGRAFIA

- BABBIE E.R.: *Badania społeczne w praktyce*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2004.
- BEDNARZ-ŁUCZEWSKA P., ŁUCZEWSKI M.: *Podejście biograficzne*. W: *Badania jakościowe. Metody i narzędzia*. T. 2. Red. D. JEMIELNIAK. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2012.
- BRENNER H.: *Frauen in den Aussenalgeren des KZ Flossenbürg* (Regensburg: Arbeitsgemeinschaft ehem KZ Flossenbürg e. V., 1999).
- CEBO L.: *Więźniarki w obozie hitlerowskim w Oświęcimiu-Brzezince*. Katowice, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 1984.
- CIESIELSKA M.: *Szpital obozowy dla kobiet w KL Auschwitz-Birkenau (1942–1945)*. T. I. Warszawa, Biblioteka Muzeum Historii Medycyny Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego, 2015.
- CZIBORRA P.: *KZ Wolkenburg. Todesmarsch nach Dachau*. Bielefeld, Wydawnictwo Lorbeer Verlag, 2018.
- DUJARDIN J.: *Rozważania o zagładzie. Odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego?.* W: *Auschwitz. Konflikty i dialog*. Red. M. GŁOWNIA, S. WILKANOWICZ. Kraków, Wydawnictwo Krakowska Fundacja Centrum Informacji, Spotkań, Dialogu, Wychowania i Modlitwy, 1988.
- Epoka upamiętniania, rozmowa z Pierre'em Norą*. W: J. ŻAKOWSKI: *Rewanż pamięci*. Warszawa, Wydawnictwo Sic!, 2002.
- GAŁAŚ J., NEWIAK S.: *Flossenbürg. Nieznany obóz zagłady*. Katowice, ZBoWiD, Wydawnictwo „Śląsk”, 1975.
- GAŁAZKA W.: *Obozowe wspomnienia Marii Rudzkiej-Kantorowicz z Sosnowca*. „Gazeta Wyborcza. Magazyn Katowice” 27.01.2005.
- GĄSKOWA S.: *Kobiety w Oświęcimiu*. „Biuletyn” nr 18. Wydanie specjalne. Red. A. MOLEND. Katowice, Towarzystwo Opieki nad Oświęcimiem, 1993.
- HALBWACHS M.: *Społeczne ramy pamięci*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2008.
- KĄŻMIERSKA K.: *Autobiograficzny wywiad narracyjny – kwestie etyczne i metodologiczne w kontekście archiwizacji narracji*. „Studia Socjologiczne” 2014, 3 (214).

- KAŹMIERSKA K.: *Biografia i pamięć. Na przykładzie pokoleniowego doświadczenia ocalonych z zagłady*. Kraków, Zakład Wydawniczy Nomos, 2008.
- KUBICA H.: *Zagłada w KL Auschwitz Polaków wysiedlonych z Zamojszczyzny w latach 1942–1943*. Oświęcim–Warszawa, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, 2004.
- KULA M.: *Nośniki pamięci historycznej*. Warszawa, Wydawnictwo DiG, 2002.
- KWIATKOWSKI P.T., NIJAKOWSKI L.M., SZACKA B., SZPOCIŃSKI A.: *Między codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2010.
- LANGBEIN H.: *Ludzie w Auschwitz*. Oświęcim, Wydawnictwo Państwowego Muzeum Oświęcim-Brzezinka, 1994.
- MAJKUT J.: *Lucyny wigilie różne*. „Tygodnik Zamojski” 1984, nr 51/52.
- Nowa Encyklopedia Powszechna*. T. 2. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2004.
- PIELAS J.: *Zbory we włoszczowskim i ich patroni w XVI–XVIII wieku*. W: *Reformacja w powiecie włoszczowskim. Materiały z konferencji zorganizowanej w ramach III Europejskich Dni Dziedzictwa pod hasłem „Korzenie tradycji: od ojcowizny do ojczyzny” w dniu 12 września 2008 r.* Red. R.C. PACANOWSKI. Włoszczowa, Włoszczowskie Towarzystwo Historyczne, 2008.
- REES L.: *Auschwitz. Naziści i „ostateczne rozwiązanie”*. Warszawa, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, 2005.
- ROSENTHAL G.: *Badania biograficzne*. W: *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów*. Red. K. KAŹMIERSKA. Kraków, Zakład Wydawniczy Nomos, 2012.
- RUDZKA-KANTOROWICZ M.: *Przeżyłam piekło w Auschwitz-Birkenau*. Styczeń 2002 rok, maszynopis.
- SCHÜTZE F.: *Analiza biograficzna ugruntowana empirycznie w autobiograficznym wywiadzie narracyjnym. Jak analizować autobiograficzne wywiady narracyjne*. Tłum. K. WANIEK. W: *Metoda biograficzna w socjologii. Antologia tekstów*. Red. K. KAŹMIERSKA. Kraków, Zakład Wydawniczy Nomos, 2012.
- SILVERMAN D.: *Prowadzenie badań jakościowych*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2009.
- STRZELECKA I.: *Kobiety w KL Auschwitz*. „Głosy Pamięci” nr 12. Oświęcim, Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau, 2016.
- SZACKA B.: *Czas przeszły: pamięć – mit*. „Współczesne Społeczeństwo Polskie wobec Przeszłości”, t. 3. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2015.
- SZCZEPAŃSKI J.: *Odmiany czasu teraźniejszego*. Warszawa, Wydawnictwo Książka i Wiedza, 1971.
- SZPOCIŃSKI A.: *Pamięć społeczna jako czynnik integracji i źródło konfliktów*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2008.
- SZPOCIŃSKI A., KWIATKOWSKI P.T.: *Przeszłość jako przedmiot przekazu*. Warszawa, Wydawnictwo Naukowe Scholar, 2006.
- WESELI A.: *Puff w Auschwitz*. „Polityka”, 4.11.2009.
- WILKANOWICZ S.: *Auschwitz. Problem Niemców, Polaków i Żydów*. W: *Auschwitz. Konflikty i dialog*. Red. M. GŁOWNIA, S. WILKANOWICZ. Kraków, Wydawnictwo Krakowska Fundacja Centrum Informacji, Spotkań, Dialogu, Wychowania i Modlitwy, 1988.

ZALESKI M.: *Formy pamięci. O przedstawianiu przeszłości w polskiej literaturze współczesnej*. Warszawa, Wydawnictwo słowo/obraz, terytoria, 2004.

ZIÓŁKOWSKI M.: *Pamięć i tożsamość narodowa. Przypominanie i zapominanie w służbie polityki*. „Athenaeum. Polskie Studia Politologiczne” 2011, nr 28.

## Netografia

Archiwum Historii Mówionej. Relacje biograficzne, <https://relacjebiograficzne.pl>

CYRA A.: *70. rocznica Akcji „Oderberg”*, <https://dzieje.pl/aktualności/70-rocznica-akcji-oderberg>

MARKOWSKI H.: *Wojewódzki Oddział Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Katowicach 1945–1947*. Katowice 2007. Praca doktorska napisana pod kierunkiem doc. dr. hab. Andrzeja Topola, [www.rebus.us.edu.pl/beatstream/20.5000.12128/5052/1/markowski\\_Wojewodzki\\_Oddzial\\_panstwowego\\_urzedu\\_Repatriacyjnego.pdf](http://www.rebus.us.edu.pl/beatstream/20.5000.12128/5052/1/markowski_Wojewodzki_Oddzial_panstwowego_urzedu_Repatriacyjnego.pdf)

SZACKA B.: *Jak opowiadamy przeszłość?*. „Znak” kwiecień 2012, nr 683, <http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6832012barbara-szackajak-opowiadamy-przeszlosc/>

<http://auschwitz.org/media/slownik-pojec/>

[http://www.70.auschwitz.org/index.php?option=com\\_content&view=article&id=146&Itemid=176&lang=pl](http://www.70.auschwitz.org/index.php?option=com_content&view=article&id=146&Itemid=176&lang=pl)

<http://www.auschwitz.org/historia/zycie-w-obozie/wyzywienie>

<https://www.gedenkstaette-flossenbuerg.de/index.php?id=2&L=3>

[www.auschwitz.org/historia/podobozy/](http://www.auschwitz.org/historia/podobozy/)

[www.auschwitz.org/historia/zycie-w-obozie/porzadek-dnia/](http://www.auschwitz.org/historia/zycie-w-obozie/porzadek-dnia/)

[www.bergenbelsen.co.uk/pages/Staff/Staff.asp?CampsStaffD=85](http://www.bergenbelsen.co.uk/pages/Staff/Staff.asp?CampsStaffD=85)

[www.nsz.com](http://www.nsz.com)

[www.sjp.pwn.pl/szukaj/esej](http://www.sjp.pwn.pl/szukaj/esej)





Halina Rusek

## **Friends from Birkenau. An essay about remembering**

### Summary

The friends from the title of this book are a group of female prisoners of KL Auschwitz-Birkenau (1943–1945), whose paths crossed several times during around two years of camp life in Birkenau. At different times they lived in one block of the women's camp, slept in one bunk, together left Auschwitz to work in the Wolkenburg camp, and several of them escaped together from transport to Dachau, from a freight wagon, at the small German station of Weiden. Together they also survived one of the most beautiful, as they say, periods in their lives – a few months of miraculously regained freedom, spent in Weiden under the protection of the American army. Several of them also took a long, difficult journey home.

Preserved memories of three of these friends – including the Mother of the book's author, are the central axis of this essay. It presents the process of shaping the way of perceiving the world and the identity of individuals who came across actions aimed to annihilate human beings. They came into contact with the essence of a concentration camp, which was based on depriving people of all rights and even exterminating them.

The approach chosen by the author is the biographical method which focuses on the study of what is individual, related to assessments, values, experiences. It is a book about trying to find an answer to the question of how it happened that some people expressed indescribable cruelty to other people and decided to dehumanize and annihilate them. The book is also about the forces you must find in yourself in order to survive such an experience and start living an ordinary life afterwards.

The author's intention is to bring the recorded memories of the Friends to a possibly wide audience, to the public sphere and also, or perhaps above all, to the consciousness of those whose way of thinking is far from scientific.





Halina Rusek

## **Freundinnen aus Birkenau. Ein Essay über das Erinnern**

### **Zusammenfassung**

Die Freundinnen sind eine Gruppe von Häftlingen des KL Auschwitz-Birkenau (1943–1945), deren Lebenswege sich in Birkenau in rund zwei Jahren mehrmals gekreuzt haben. Zu verschiedenen Zeiten lebten sie in einem Frauenlagerblock, schliefen in derselben Kojen, verließen Auschwitz, um im Wolkenburg-Lager zu arbeiten, und einige von ihnen flohen gemeinsam vom Transport nach Dachau in Weiden in der Oberpfalz, in Bayern. Zusammen überlebten sie auch eine der schönsten, wie sie sagen, Perioden ihres Lebens – einige Monate wiedererlangter Freiheit, die sie in Weiden unter dem Schutz der amerikanischen Armee verbrachten. Einige von ihnen machten auch eine lange, schwierige Heimreise.

Die Erinnerungen von drei von dieser Freundinnen – darunter auch der Mutter der Buchautorin – bilden die zentrale Achse dieses Essays. Er zeigt den Prozess der Gestaltung der Wahrnehmung der Welt und der Identität von Personen, die auf Aktionen gestoßen sind, die darauf abzielen, Menschen zu vernichten. Sie kamen in Kontakt mit der Essenz eines Konzentrationslagers, das darauf beruhte, Menschen aller Rechte zu berauben und sie sogar auszurotten.

Der von der Autorin gewählte Ansatz ist die biografische Methode, die sich auf die Untersuchung des Individuellen im Zusammenhang mit Einschätzungen, Werten und Erfahrungen konzentriert. Es ist ein Buch über den Versuch zu beantworten, wie es dazu kam, dass einige Menschen unbeschreibliche Grausamkeit gegenüber anderen Menschen ausübten und beschlossen, sie zu entmenslichen und zu vernichten. Das Buch handelt auch von den Kräften, die man in sich selbst finden muss, um solche Erfahrung zu überleben und danach ein normales Leben zu führen.

Das Ziel der Autorin ist es, die Erinnerungen der Freundinnen einem möglichst breiten Publikum zu verteilen, und auch – oder vor allem – dem Bewusstsein der Leser und Leserinnen, deren Denkweise nicht wissenschaftlich ist.

Redakcja: ANNA PIWOWARCZYK  
Projekt okładki: Sławomir Ćwiek  
Redakcja techniczna: MAŁGORZATA PLEŚNIAR  
Korekta: MONIKA ROSOŁOWSKA  
Łamanie: BARBARA WILK

Copyright © 2019 by  
Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego  
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISSN 0208-6336  
ISBN 978-83-226-3801-9  
(wersja drukowana)  
ISBN 978-83-226-3802-6  
(wersja elektroniczna)

Wydawca  
**Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego**  
**ul. Bankowa 12B, 40-007 Katowice**  
[www.wydawnictwo.us.edu.pl](http://www.wydawnictwo.us.edu.pl)  
e-mail: [wydawus@us.edu.pl](mailto:wydawus@us.edu.pl)

---

Wydanie I. Ark. druk. 11,25. Ark. wyd. 11,5.  
Papier offset, kl. III, 90 g   Cena 34,90 (w tym VAT)

---

Druk i oprawa: [Volumina.pl](http://Volumina.pl) Daniel Krzanowski  
ul. Księcia Witolda 7-9, 71-063 Szczecin



ISSN 0208-6336

Cena 34,90 zł (w tym VAT)

ISBN 978-83-226-3801-9



9 788322 638019

Więcej o książce

